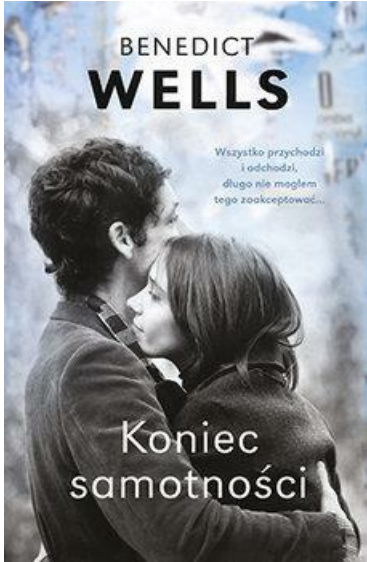




BENEDICT
WELLS

Wszystko przychodzi
i odchodzi,
długo nie mogłem
tego zaakceptować...

Koniec
samotności



Koniec samotności

Benedict Wells

Tytuł oryginału: ***Vom Ende der Einsamkeit***

Mojej siostrze

Przysuń krzesło

aż do skraju otchłani,

to opowiem ci swoją historię.

F. Scott Fitzgerald

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

Nurty (1980)

Na rozstaju (1983–1984)

Krystalizacja (1984–1987)

Reakcje chemiczne (1992)

Żniwa (1997–1998)

CZĘŚĆ DRUGA

Droga powrotna (2000–2003)

Lot czasu (2005–2006)

Narodziny strachu (2007–2008)

To, co niezmiennie (2012–2014)

Inne życie

Podziękowania

CZĘŚĆ PIERWSZA

Śmierć znam już od dawna, teraz i ona zna mnie.

Ostrożnie otwieram oczy, mrugam kilka razy. Ciemność ustępuje powoli. Puste pomieszczenie, rozjaśnione jedynie żarzącymi się na zielono i czerwono światełkami małych aparatów oraz jasnym promieniem padającym przez uchylone drzwi. Szpitalna cisza nocna.

Mam wrażenie, jakbym obudził się z trwającego kilka dni snu. Tępy, ciepły ból w prawej nodze, mój brzuch, moja klatka piersiowa. W głowie ciche dudnienie, które staje się coraz silniejsze. Powoli przypominam sobie, co się wydarzyło.

Przeżyłem.

Pojawiają się obrazy. Jak wyjeżdżam na motocyklu z miasta, przyspieszam, przede mną zakręt. Jak koła tracą przyczepność na szosie, widzę zbliżające się drzewo, daremnie usiłuję je ominąć, zamykam oczy...

Co mnie uratowało?

Spojrzałem na siebie. Kołnierz ortopedyczny, prawa noga unieruchomiona, zapewne gips, obojczyk zabandażowany. Zawsze miałem dobrą kondycję, jak na swój wiek nawet bardzo dobrą.

Być może to właśnie mnie uratowało.

Przed wypadkiem... Chyba było tam jeszcze coś, ale co? Jednak nie chcę sobie tego przypominać, wolę myśleć o dniu, w którym nauczyłem dzieci puszczać kaczki na wodzie. O gestykującym bracie, kiedy ze mną dyskutuje. O wycieczce z żoną do Włoch, jak spacerowaliśmy wczesnym rankiem wzdłuż zatoki na wybrzeżu Amalfi – wokół nas rozjaśniał się dzień, a morze pieniało się łagodnie, uderzając o skały...

Zasypiam. We śnie stoimy na balkonie. Ona patrzy mi uważnie w oczy, jakby mnie przejrzała. Podbródkiem wskazuje na podwórze, gdzie nasze dzieci bawią się właśnie z chłopcami sąsiadów. Córka odważnie wspina się na mur, syn pozostaje na uboczu i tylko obserwuje innych.

– Ma to po mnie – mówię.

Słyszę, jak się śmieje, i łapię ją za rękę.

Zapiszczało kilka razy. Pielęgniarka zawieszona nowy worek z płynem infuzyjnym. Nadal jest środek nocy. *Wrzesień 2014*, tak jest napisane na kalendarzu ściennym. Próbuje usiąść.

– Jaki dzień jest dzisiaj? – Mój głos brzmi obco.

– Środa – mówi pielęgniarka. – Był pan dwa dni w śpiączce.

Mam wrażenie, jakby mówił o kimś obcym.

– Jak się pan czuje?

Opadam ponownie na poduszkę.

– Trochę kręci mi się w głowie.

– To zupełnie normalne.

– Kiedy mogę zobaczyć dzieci?

– Jutro z samego rana powiadomię pana rodzinę. – Pielęgniarka idzie do drzwi, potem zatrzymuje się na chwilę. – Jakby coś się działo, proszę dzwonić. Zaraz jeszcze zajrzy do pana pani ordynator.

Nie odpowiadam, a on wychodzi.

Co sprawia, że życie jest takie, jakie jest?

W ciszy słyszę każdą swoją myśl i nagle odzyskuję pełnię świadomości. Zaczynam przyglądać się poszczególnym etapom swojej przeszłości. Pojawiają się twarze, które miały zostać zapomniane, widzę siebie jako nastolatka na boisku internatu oraz czerwone światło w mojej ciemni w Hamburgu. Początkowo wspomnienia są nieostre, ale w następnych godzinach stają się coraz wyraźniejsze. Myśli zapadają się głębiej w czasie przeszłym, aż docierają w końcu do katastrofy, która rzuciła cień na moje dzieciństwo.

Nurty

(1980)

Kiedy miałem siedem lat, pojechaliśmy całą rodziną na urlop do południowej Francji.

Mój ojciec, Stéphane Moreau, pochodził z Berdillac, wsi niedaleko Montpellier. Tysiąc osmiuset mieszkańców, piekarnia, piwiarnia, dwie winnice, stolarnia i drużyna piłki nożnej.

Odwiedzaliśmy babcię, która w ostatnich latach nie opuszczała już tego miejsca.

Ojciec, jak podczas wszystkich długich podróży autostradą, miał na sobie starą jasnobrązową skórzaną kurtkę, a w kąciku jego ust tkwiła fajka. Matka, która przez większą część jazdy drzemała, włączyła kasetę z piosenkami Beatlesów.

– Dla ciebie, Jules.

Paperback Writer, wtedy moja ulubiona piosenka. Siedziałem za mamą i nuciłem tę melodię. Jednak moje rodzeństwo skutecznie zagłuszało muzykę. Siostra uszczypnęła brata w ucho.

Martin, zwany przez nas Marty, krzyknął głośno i pożalił się rodzicom.

– Ty głupia skarżypyto! – Liz ponownie uszczypnęła go w ucho.

Zaczęli się głośno kłócić, aż matka odwróciła się i na nich spojrzała. Wyraz jej oczu był jedyny w swoim rodzaju. Odbijało się w nich jednocześnie zrozumienie dla Marty’ego gnębionego przez wredną siostrę, jak i dla Liz wkurzonej denerwującym zachowaniem brata. Ale przede wszystkim to spojrzenie sygnalizowało, że kłótnie są bez sensu, a poza tym dawało do zrozumienia, że na najbliższej stacji benzynowej na grzeczne dzieci czekają może lody. Moje rodzeństwo natychmiast się uspokoiło.

– Dlaczego musimy każdego roku odwiedzać babcię? – zapytał Marty. – Dlaczego choć raz nie możemy pojechać do Włoch?

– Ponieważ tak wypada. A także dlatego, że wasza *mamie* cieszy się z tych odwiedzin

– powiedział ojciec po francusku, nie odrywając wzroku od drogi.

– Nieprawda. Ona nas wcale nie lubi.

– Poza tym ona dziwnie pachnie – dodała Liz. – Starymi pluszowymi meblami.

– Wcale nie, ona pachnie stęchłą piwnicą – powiedział mój brat.

– Nie mów takich rzeczy o waszej *mamie*!

Ojciec wjechał samochodem na rondo.

Spojrzałem przez okno. W dali rozciągały się krzewy tymianku, garig i sosny karłowate.

Powietrze w południowej Francji było aromatyczne, kolory bardziej intensywne niż w domu.

Włożyłem rękę do kieszeni i bawiłem się monetami frankowymi, które zostały z ubiegłego roku.

Pod wieczór dojechaliśmy do Berdillac. Z perspektywy czasu ta wieś wydaje mi się podobna do mrukliwego, ale w zasadzie sympatycznego staruszka, który przez cały dzień sobie drzemie. Domy, jak w wielu innych miejscach w Langwedocji, były zbudowane z piaskowca.

Miały proste okiennice i rudawe dachówki zanurzone w miękkim świetle zachodzącego słońca.

Żwir zatrzeszczał pod kołami, kiedy kombi zatrzymało się przed domem na końcu rue Le Goff. Budynek robił niezwykle wrażenie, zewnętrzną fasadę porastał bluszcz, dach był spróchniały. Pachniało przeszłością.

Pierwszy wysiadł ojciec i ruszył sprężystym krokiem do drzwi. Był wtedy, jak to się mówi, w kwiecie wieku, po trzydziestce. Miał jeszcze gęste czarne włosy, do każdego odnosił się z uprzejmą życzliwością. Często widziałem, jak gromadzili się wokół niego sąsiedzi oraz koledzy i słuchali zafascynowani tym, co do nich mówi. Tajemnica leżała w jego głosie: łagodnym, niezbyt głębokim, niezbyt wysokim, z lekko tylko słyszalnym akcentem, którym oplatał słuchaczy jak lassem i przyciągał bliżej do siebie. W swoim zawodzie rewidenta był bardzo ceniony, jednak dla niego liczyła się wyłącznie rodzina. Gotował dla nas każdej niedzieli, zawsze miał czas dla nas, dzieci, a jego młodzieńczy uśmiech świadczył, że jest optymistą. Kiedy później oglądałem jego zdjęcia, dostrzegłem jednak, że już wtedy coś było nie w porządku. Jego oczy.

Pojawiał się w nich cień smutku, być może także strachu.

W drzwiach stała babcia. Miała wykrzywione usta i nawet nie spojrzała na swojego syna, jakby się czegoś wstydziła. Uściskali się.

Obserwowaliśmy tę scenę z samochodu. Podobno babcia była w młodości znakomitą pływaczką i ulubienicą całej wsi. To musiało być chyba sto lat temu. Teraz jej ramiona robiły

wrażenie wiotkich, głowa i szyja przypominały pomarszczoną głowę żółwia i wyglądało na to, że z trudem znosi hałas, który robią jej wnuczeta. Baliśmy się jej oraz skromnie wyposażonego domu ze staromodnymi tapetami i żelaznymi łózkami. Pozostawało dla nas zagadką, dlaczego ojciec chciał tutaj przyjeżdżać każdego lata. „Jakby musiał co roku wracać do miejsca swoich największych upokorzeń”, powiedział kiedyś później Marty.

Ale pamiętam również zapach kawy. Promienie słoneczne na wyłożonej płytkami podłodze salonu. Delikatne dźwięki dochodzące z kuchni, kiedy moje rodzeństwo przygotowywało sztuce na śniadanie. Ojciec zatopiony w swojej gazecie, matka snująca plany na cały dzień. Potem wędrówki po jaskiniach, wycieczki rowerowe albo partia pétanque w parku.

Wreszcie, pod koniec sierpnia, coroczne święto wina w Berdillac. Wieczorem grała kapela, domy były ozdobione lampionami i girlandami, a po ulicach snuł się zapach grillowanego mięsa. Siedziałem z rodzeństwem na dużych schodach przed ratuszem i patrzyliśmy, jak dorośli tańczą na głównym placu wsi. Mam w rękach aparat fotograficzny, który powierzył mi ojciec.

Ciężka i droga mamiya; dostałem zadanie zrobienia zdjęć z festynu. Uważałem to za zaszczyt, ojciec nikomu innemu nie dawał swoich aparatów. Cały dumny zrobiłem kilka fotografii, podczas gdy on elegancko prowadził matkę po parkiecie.

– Tato jest dobrym tancerzem – powiedziała Liz tonem znawcy.

Moja siostra, wysoka dziewczyna z jasnymi lokami, miała jedenaście lat. Już wtedy charakterystyczne dla niej było to, co z bratem nazywaliśmy „chorobą teatralną”: Liz zachowywała się zawsze tak, jakby stała na scenie. Uśmiechała się promiennie, jakby skierowane były na nią wszystkie reflektory, i mówiła głośno i wyraźnie, żeby nawet ludzie w ostatnich rzędach doskonale ją słyszeli. Przed obcymi chętnie udawała wczesnie dojrzałą, ale w rzeczywistości dopiero teraz przezwyciężyła fazę księżniczki. Rysowała i śpiewała, chętnie bawiła się z dziećmi sąsiadów, czasem nie myła się przez kilka dni, chciała zostać wynalazcą, później marzyła, aby być elfem; wydawało się, że w jej głowie dzieje się tysiąc rzeczy naraz.

W tamtym czasie większość dziewczyn wyśmiewała się z Liz. Często widziałem, jak matka siedzi u niej w pokoju i próbuje ją uspokoić, kiedy koleżanki ze szkoły dokuczyły jej albo schowały tornister. Potem i ja wchodziłem do pokoju Liz, a ona obejmowała mnie gwałtownie.

Czułem jej gorący oddech na skórze, a ona opowiadała mi raz jeszcze wszystko, o czym mówiła już matce, a zapewne jeszcze więcej. Kochałem swoją siostrę jak nikogo innego na świecie i to się nie zmieniło także i wówczas, gdy wiele lat później bardzo się na niej zawiodłem.

*

Po północy nad wsią unosiła się nadal wilgotna duchota. Mężczyźni i kobiety, którzy znajdowali się jeszcze na parkiecie – nasi rodzice także – zamieniali się partnerami po każdej nowej melodii. Zrobiłem jeszcze jedno zdjęcie, mimo że z trudem już trzymałem mamię w rękach.

– Daj mi aparat – powiedział mój brat.

– Nie, tato dał go mnie. Mam na niego uważać.

– Tylko na chwilę, chciałem zrobić jedno zdjęcie. Ty już raczej nie dasz rady.

Marty wyrwał mi aparat.

– Nie bądź dla niego taki wredny! – zawołała Liz. – Tak się cieszył, że go potrzyma.

– No tak, ale jego zdjęcia są marne, nie umie nastawiać przysłony.

– A ty jesteś taki mądrała, nic dziwnego, że nie masz przyjaciół.

Marty zrobił kilka zdjęć. Był tym dzieckiem pośrodku. Miał dziesięć lat, ciemne włosy, bladą, niczym się niewyróżniającą twarz. Liz i ja byliśmy wyraźnie podobni do rodziców, on, jeżeli chodzi o wygląd zewnętrzny, nie miał z nimi nic wspólnego. Jakby przybył z jakiegoś Nigdzie, obcy, który zajął miejsce między nami. Nie lubiłem go ani trochę. W filmach, które oglądałem, starsi bracia byli zawsze bohaterscy i bronili swojego młodszego rodzeństwa.

Natomiast mój brat był odludkiem. Siedział przez cały dzień w swoim pokoju, bawił się farmą mrówek albo badał próbki krwi pobrane od salamander i myszy poddanych sekcji – jego zapas martwych małych zwierząt wydawał się niewyczerpany. Niedawno Liz nazwała go „wstrętnym dziwakiem”, co bardzo do niego pasowało.

Z tego urlopu we Francji pozostało mi w pamięci, oprócz owego dramatycznego wydarzenia na końcu, tylko parę fragmentarycznych wspomnień. Pamiętam jednak dokładnie poczucie wyobcowania, jakie nas ogarnęło, gdy razem z rodzeństwem obserwowaliśmy na festynie francuskie dzieci grające na placu w piłkę nożną. Wszyscy troje urodziliśmy się w Monachium i czuliśmy się Niemcami. W naszym domu nie było nic, oprócz pewnych specjalnych potraw, co wskazywałoby na francuskie korzenie, i bardzo rzadko rozmawialiśmy ze sobą po francusku. Ale nasi rodzice poznali się w Montpellier. Ojciec przeprowadził się tam po szkole, ponieważ chciał uciec od swojej rodziny. Matka z kolei zamieszkała tam, ponieważ kochała Francję. (I ponieważ chciała uciec od swojej rodziny). Opowiadając o tamtym czasie, wspominali zazwyczaj wieczory, które spędzali w kinie albo podczas których matka grała na gitarze, pierwsze spotkanie na zabawie studenckiej u wspólnego przyjaciela albo wyjazd – wtedy matka była już w ciąży – do Monachium. Po wysłuchaniu tych opowieści ja i moje rodzeństwo mieliśmy zawsze poczucie, że znamy dobrze swoich rodziców. Ale później, kiedy już ich zabrakło, musieliśmy przyznać, że nic o nich nie wiedzieliśmy, absolutnie nic.

*

Poszliśmy na spacer. Ojciec nie powiedział nam, dokąd idziemy, a po drodze prawie się nie odzywał. Wspięliśmy się w piątkę na wzniesienie i dotarliśmy do lasu. Ojciec zatrzymał się przed potężną sosną na wzgórzu.

– Widzicie, co tu jest wyręte? – zapytał, ale robił wrażenie nieobecnego myślami.

– *L'arbre d'Eric* – przeczytała Liz. – Drzewo Erica.

Patrzyliśmy na sosnę.

– Tutaj ktoś złamał gałąź. – Marty wskazał na okrągłe zgrubiałe miejsce na drzewie.

– A, rzeczywiście – wymamrotał ojciec.

Nigdy nie poznaliśmy naszego wujka Erica, mówiło się, że zginął przed wieloma laty.

– Dlaczego to drzewo tak się nazywa? – zapytała Liz.

Twarc ojca się rozjaśniła.

– Ponieważ mój brat pod tym drzewem uwodził dziewczyny. Przyprawdzał je tutaj, siadali na ławce, spoglądali na dolinę, recytował im wiersze, a potem je całował.

– Wiersze? – zdziwił się Marty. – I to działało?

– Za każdym razem. I dlatego jakiś żartowniś wyrzył te słowa w korze.

Spojrzał w zimny poranny błękit nieba, matka przytuliła się lekko do niego. Popatrzyłem na drzewo i powtórzyłem po cichu: *L'arbre d'Eric*.

*

A potem nadszedł koniec wakacji i ostatnia wycieczka. W nocy znowu padało, na liściach wisiały grube krople rosy, czułem świeże poranne powietrze na swojej skórze. Wstałem o świcie

i ogarnęło mnie, tak jak zawsze, cudowne uczucie, że ten dzień należy do mnie. Niedawno poznałem miejscową dziewczynę, Ludivine, i opowiedziałem o niej matce. Ojciec, jak zawsze pod koniec urlopu we Francji, był wyraźnie rozluźniony: wreszcie miał to za sobą, i to na cały rok. Zatrzymywał się niekiedy, aby zrobić zdjęcie, i gwizdał sobie pod nosem. Liz szła przodem, Marty truchtał ostatni, ciągle musieliśmy na niego czekać.

W lesie natknęliśmy się na pełną otoczków rzeczka, przez którą przerzucony był pień drzewa. Ponieważ i tak musieliśmy dostać się na drugą stronę, zapytaliśmy rodziców, czy możemy po tym przejść.

Ojciec wszedł na pień, aby sprawdzić jego wytrzymałość.

– Może być niebezpiecznie – powiedział. – Ja na pewno po tym nie przejdę.

Także i my wskoczyliśmy na pień. Dopiero teraz zobaczyliśmy, jak kamienista i szeroka jest rzeczka, jak wysoko nad nią leży pień i jak śliską ma korę. Był długi na jakieś dziesięć metrów, a jeśli ktoś poślizgnąłby się i spadł, z pewnością by się poranił.

– Tam niżej pewnie jest most – orzekła Liz.

Mimo że zawsze wszystko usiłowała wypróbować, tym razem wolała nie ryzykować i poszła dalej, Marty pobiegł za nią. Zostałem tylko ja. Wtedy nie wiedziałem, co to strach: kilka miesięcy wcześniej, jako jedyny z klasy, odważyłem się zjechać na rowerze po stromym zboczu.

Po kilku metrach straciłem panowanie nad kierownicą, przekoziółkowałem i złamałem sobie rękę. Jednak jak tylko złamanie się zrosło i zdjęto mi gips, zacząłem szukać kolejnej niebezpiecznej przygody.

Chwilę wpatrywałem się w pień leżący przede mną i nie namyślając się dłużej, ruszyłem po nim krok po kroku.

– Zwariowałeś – zawołał Marty, ale ja go nie słyszałem.

Nagle poślizgnąłem się. Na widok kamienistego dna rzeczki zakręciło mi się w głowie, ale byłem już w połowie drogi. Serce zabiło mi szybciej. Ostatnie dwa metry przebiegłem i szczęśliwie dotarłem na drugą stronę. Z ulgą wyrzuciłem rękę w górę. Moja rodzina szła po lewej stronie rzeczki aż do mostu, a ja stałem sam po prawej, patrzyłem na nich i szczerzyłem zęby w uśmiechu. Nigdy jeszcze nie byłem z siebie tak dumny.

*

Dalej rzeka wypływała z lasu. Stała się szersza, nurt przyspieszył, a deszcz z poprzednich dni podniósł poziom wody. Brzegi były pokryte szlamem i rozmokłe, tabliczka ostrzegała spacerowiczów, aby nie podchodzili zbyt blisko.

– Kto tam wpadnie, utonie. – Marty spoglądał na rwącą wodę.

– Mam nadzieję, że wpadniesz z pluskiem i wreszcie się ciebie pozbędziemy

– powiedziała Liz.

Chciał ją kopnąć, ale ona uchyliła się zręcznie i wzięła matkę pod rękę w sposób tak oczywisty i niewymuszony, jak tylko ona potrafiła.

– Znowu byłaś niegrzeczna? – zapytała matka. – Wygląda na to, że będziemy musieli zostawić cię jednak u babci.

– Nie! – powiedziała Liz z na wpół udawanym, a na wpół prawdziwym przerażeniem.

– Proszę, nie.

– Nie dajesz nam wyboru. Babcia dobrze się tobą zajmie. – Naśladowała karcące spojrzenie naszej babki, a Liz parsknęła śmiechem.

Matka była bez wątpienia gwiazdą naszej rodziny, w każdym razie dla nas, dzieci. Była

atrakcyjna i smukła, miała przyjaciół w całym Monachium i wydawała przyjęcia, na które przychodzili artyści, muzycy i aktorzy teatralni poznani przez nią Bóg wie gdzie. Nawiasem mówiąc, kiedy nazywam ją „atrakcyjną” czy „smukłą”, absolutnie nie oddaje to naszego podziwu dla niej. To nieadekwatne określenia, które nie są w stanie wyrazić tego, co czuliśmy: że przypadkowo mamy za matkę połączenie Grace Kelly z Ingrid Bergman. Kiedy byłem dzieckiem, wydawało mi się zupełnie niezrozumiałe, dlaczego nie została słynną aktorką, lecz jedynie zwykłą nauczycielką. Ona sama wypełniała obowiązki domowe z kpiącym i jednocześnie pełnym serdeczności uśmiechem i dopiero później dotarło do mnie, jak bardzo musiała się czuć ograniczona takim życiem.

Odpoczywaliśmy na łące przy brzegu rzeki. Ojciec nabijał fajkę, a my jedliśmy przyniesione ze sobą bagietki z szynką. Później matka zagrała na gitarze kilka piosenek Gilberta Bécaud.

Kiedy ojciec z matką zaczęli je śpiewać, Marty przewrócił oczami.

– Proszę, przestańcie. Nie wstyd wam?

– Ale przecież tutaj nikogo nie ma – stwierdziła matka.

– Nieprawda, a ci tam!?

Mój brat wskazał na przeciwległy brzeg, gdzie usadowiła się jakaś rodzina. Dzieci były w naszym wieku, miały młodego psa mieszańca, który biegał między nimi rozbawiony.

Zrobiło się południe, słońce stało wysoko na niebie. W tym upale ja i Marty zdjęliśmy podkoszulki i położyliśmy się na kocu. Liz mazała coś w bloku: małe rysunki opatrzone zawsze jej imieniem. Wtedy wypróbowała różne rodzaje pisma, szukając najładniejszego, i wszędzie zapisywała swoje imię, na papierze, na stole, w segregatorze czy na serwetkach. *Liz, Liz, Liz*.

Rodzice poszli na spacer i powoli znikali w oddali przytuleni do siebie, my zostaliśmy na łące. Okolica była przesiąknięta słońcem. Marty i Liz grali w karty, jak brzdąkałem na gitarze i obserwowałem rodzinę na drugim brzegu rzeki. Dobiegały do mnie śmiechy przerywane szczeniem. Jeden z chłopców rzucał kijek, który pies natychmiast mu przynosił, aż w końcu chłopcu pewnie się to znudziło i schował kijek pod koc. Pies chciał jednak bawić się dalej, biegał od jednego dziecka do drugiego, a potem ruszył nieco dalej w dół rzeki. W krzakach na brzegu zaplątała się wielka gałąź. Pies próbował ją wyciągnąć, ale mu się nie udawało. Nurt był w tym miejscu bardzo rwący i silny. Jako jedyny obserwowałem tę scenę i poczułem, jak włosy jeżą mi się na karku.

Młody pies ciągnął za gałąź i w swojej lekkomyślności coraz bardziej zbliżał się do rzeki.

Właśnie chciałem zwrócić na to uwagę rodzinie z drugiego brzegu, kiedy usłyszałem skowyt.

Kawałek brzegu po prostu się oderwał, a pies wpadł do wody. Tylko przednimi łapami i zębami trzymał się kurczowo gałęzi. Piszczął i usiłował dostać się na osypujący się brzeg, ale prąd był

zbyt silny. Jego piski stawały się coraz głośniejsze.

– O mój Boże – powiedziała Liz.

– Nie da rady – orzekł Marty. Zabrzmiało to tak zdecydowanie, jakby był sędzią w tej scenie.

Rodzina po drugiej stronie pobiegła do psa. Prawie go mieli, ale wtem gałąź oderwała się od krzaków i rzeka porwała ją razem ze zwierzęciem.

Przez jakiś czas utrzymywał się jeszcze na powierzchni, a potem zniknął. Dzieci na drugim brzegu krzyczały i płakały, a ja odwróciłem się i spojrzałem na moje rodzeństwo. Nigdy nie zapomnę ich spojrzeń.

Wieczorem w łóżku nadal słyszałem skowyt psa. Liz chodziła cały dzień przybita, Marty prawie się nie odzywał. Najdziwniejsze jednak, że kiedy to się wydarzyło, nie było przy nas rodziców. Oczywiście po swoim powrocie usiłowali nas pocieszać, co jednak nie zmieniało faktu, że ja i moje rodzeństwo przeżyliśmy coś, co wstrząsnęło tylko nami.

Przez pół nocy przewracałem się w pościeli. Nie umiałem przestać myśleć o tym, jak w ciągu kilku sekund legło w gruzach beztrioskie szczęście rodziny z drugiego brzegu.

Przypomniałem sobie znowu wuja Erica, o którym powiedziano nam kiedyś, że „zginął”.

Dotychczas moje życie biegło spokojnie i bezpiecznie, ale najwidoczniej istniały niewidzialne siły i nury zdolne wszystko nagle zmienić. Wyglądało na to, że los oszczędza niektóre rodziny, a na inne zsyła nieszczęścia. Tej właśnie nocy zadałem sobie pytanie, czy moja rodzina do nich przypadkiem nie należy.

Na rozstaju
(1983–1984)

Trzy i pół roku później, grudzień 1983: ostatnie święta Bożego Narodzenia z rodzicami.

Wczesnym wieczorem stałem przy oknie w swoim dziecięcym pokoju, a oni dekorowali salon.

Tak jak każdego roku zawołają mnie dopiero wtedy, kiedy wszystko będzie już gotowe, ale jak długo może to jeszcze trwać? Słyszałem marudzenie brata, jasny, pojednawczy śmiech matki.

Słyszałem, jak Liz dyskutuje z ojcem, który obrus wybrać. Aby nie myśleć o tym, co się tam dzieje, spojrzałem na podwórze, na zimowe nagie konary, huśtawkę i domek na drzewie. Wiele zmieniło się w ostatnich latach, ale nie widok ukochanego podwórza.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł ojciec, miał na sobie granatowy kaszmirowy sweter i przygryzał fajkę. Dobiegał już czterdziestki. Jego czarne włosy były na przedzie nieco przerzedzone, znikł też młodzieńczy uśmiech. Co się z nim stało? Kilka lat temu był jeszcze wesoły i pewny siebie, a teraz stał pochylony.

On i matka rzadko robili coś razem, ojciec zniknął często na całe godziny, aby fotografować. Nigdy jednak nie pokazywał nam swoich zdjęć. Nawet kiedy bawiłem się z kolegami, czułem za plecami jego obecność oraz karcące spojrzenie. Z jego punktu widzenia świat był miejscem pełnym niebezpieczeństw. Na przykład podczas jazdy samochodem, kiedy za kierownicą siedziała matka. („Jedziesz zbyt szybko, Leno, jeszcze nas wszystkich pozabijasz”).

Albo kiedy chciałem wtedy przejść przez rzekę po tym pnium drzewa. („Jules, ja już naprawdę nie mogę na to patrzeć, spadniesz i skręcisz sobie kark!”). Albo kiedy Liz z koleżankami ze szkoły wybierała się na koncert. („Zabraniam ci, nie wiadomo, jacy ludzie tam się kręcą!”). Gdyby mój ojciec napisał poradnik, to zapewne nosiłby tytuł: *Lepiej tego nie rób*.

Był rozluźniony tylko wtedy, kiedy w parku grał w nogę z przyjaciółmi. Podziwiałem, jak sunie po boisku z piłką przy nodze i zrećnie omija swoich przeciwników. We Francji jako nastolatek grał w drużynie i wciąż miał nieomylnie wyczucie przestrzeni, potrafił przewidzieć zagrania przeciwnika i we właściwym momencie znajdował się we właściwym miejscu. Jakby był jedynym, który tak naprawdę rozumie tę grę.

Ojciec stanął koło mnie przy oknie. Pachniał tytoniem i swoją wodą po goleniu o cierpkiej woni mchu.

– Cieszysz się na święta, Jules?

Przytaknąłem, a on pogłaskał mnie po ramieniu. Dawniej, kiedy wracał wieczorem z pracy, chodziliśmy na spacer po Schwabingu. Istniały jeszcze wtedy te stare narożne

knajpy i bary kawowe, brudne żółte budki telefoniczne i sklepiki, w których kupowało się czekoladę, wełniane skarpetki oraz – moje ulubione – certyfikowane działki na Księżycu. Dzielnica robiła wrażenie nieco zbyt rozbudowanej wsi, w której czas biegł wolniej niż gdzie indziej. Niekiedy jedliśmy jeszcze lody w parku, a ojciec opowiadał, jak za młodu pracował przez pół roku w porcie w Southampton, aby zarobić na studia i nauczyć się angielskiego, albo o figlach swojego brata Erica w dzieciństwie – te historie lubiłem najbardziej.

Szczególnie zapadła mi w pamięć rada, którą dał mi podczas naszego ostatniego spaceru.

Początkowo niewiele rozumiałem z jego słów, ale z biegiem lat stały się dla mnie czymś w rodzaju jego ostatniej woli.

Mój ojciec powiedział wtedy:

– Najważniejsze, Jules, abyś znalazł prawdziwego przyjaciela. – Zorientował się, że nie rozumiałem, i spojrzał na mnie przenikliwie. – Prawdziwy przyjaciel to ktoś, kto zawsze jest przy tobie, kto przez całe życie idzie u twojego boku. Musisz go znaleźć, to jest ważniejsze od wszystkiego, także od miłości. Miłość bowiem czasem przemija. – Chwycił mnie za ramiona.

– Słyszysz?

Bawiłem się kijem, który znalazłem na ziemi, i teraz go odrzuciłem.

– A kto jest twoim prawdziwym przyjacielem? – zapytałem.

Ojciec tylko potrząsnął głową.

– Straciłem go – powiedział z fajką w ustach. – Czy to nie dziwne? Tak po prostu straciłem.

Nie wiedziałem, jak mam to wszystko rozumieć, i wyczuwałem, że z tych przyjaznych słów przebija jego własne rozczarowanie. Pomimo to jego rada zapadła mi w pamięć. Wolałbym jednak, aby tak się nie stało.

– Słyszałem, że dostaniesz naprawdę wspaniały prezent – powiedział ojciec po francusku, kiedy opuszczał pokój.

– Naprawdę? Kiedy?

Uśmiechnął się.

– Musisz być jeszcze cierpliwy przez parę minut.

Nie było to łatwe. Z głębi słyszałem już grę na pianinie – *Stille Nacht* oraz *À la venue de Noël*. A potem, nareszcie, przybiegli Liz i Marty i otworzyli gwałtownie drzwi.

– No, chodź!

Sięgająca sufitu choinka w dużym pokoju była ozdobiona kolorowymi bombkami, drewnianymi figurkami i świeczkami, a pod spodem piętrzyły się prezenty, pachniało woskiem i gałęziami jodły. Na stole znajdował się wielki indyk, do tego ziemniaki au gratin, ragoût z jagnięciny, rostbef, borówki do mięsa, ciasto z kremem maślanym oraz pasztety. Zawsze było tego za dużo, tak że resztki jadło się przez następne dni jako zimne przekąski, co bardzo lubiłem.

Po jedzeniu śpiewaliśmy kolędy, potem następował rytuał przed wielkim rozpakowywaniem prezentów: matka grała na gitarze *Moon River*. Za każdym razem była to dla niej jedna z największych przyjemności.

– Naprawdę chcecie posłuchać tej piosenki? – pytała.

– Tak – wołaliśmy wszyscy.

– Ach, sama nie wiem. Myślę, że jesteście tylko uprzejmi.

– Nie, naprawdę chcemy posłuchać! – krzyczeliśmy głośniejszym głosem niż poprzednio.

– Potrzebuję nowej publiczności – wzdychała z rozczarowaniem matka. – Ta tutaj jest

nasycona i już mnie nie chce.

Krzyczeliśmy coraz głośniej, aż w końcu brała gitarę do ręki.

Matka była dla nas bezdyskusyjnie najważniejszą osobą. Kiedy była w pobliżu, kłótnie mojego rodzeństwa przemieniały się w dziecinne utarczki wzbudzające śmiech, a kryzysy w szkole przekształcały się w mało znaczące niepowodzenia, które dawało się bez trudu przezwyciężyć. Gdy Liz rysowała, była jej modelką, oglądała z zainteresowaniem wyniki badań dokonywanych przez Marty'ego za pomocą mikroskopu. Mnie nauczyła gotować i zdradziła mi nawet tajny przepis na swoje „ciasto, któremu nie można się oprzeć”, kleistą czekoladową breję, każdy natychmiast się od niego uzależniał. I pomimo że była nieco leniwa – klasyczna scena: matka leży na kanapie i prosi nas o przyniesienie czegoś do jedzenia z lodówki – i paliła potajemnie papierosy, to wszyscy chcieliśmy być tacy jak ona.

Wreszcie zaczęła śpiewać, a jej głos wypełniał cały pokój.

Moon River, wider than a mile,

I'm crossing you in style some day.

To była ta chwila w całym roku, kiedy wszystko było takie, jakie być powinno. Liz słuchała z otwartymi ustami, mój brat, wzruszony, poprawiał okulary, a ojciec słuchał ze smutnymi wprawdzie oczami, ale za to z zachwytem. Obok niego siedziała ciotka Helene, starsza siostra matki, wesola, duża kobieta, która mieszkała samotnie w dzielnicy Glockenbach i za każdym razem przynosiła nam ogromne prezenty. To była cała nasza rodzina, nie licząc babki w dalekiej Francji: malutkiej gałązki na drzewie genealogicznym Moreau.

Podczas rozdawania prezentów najpierw złapałem ten od ojca, był masywny i duży.

Rozdarłem opakowanie: stara mamiya. Ojciec patrzył na mnie wyczekująco. Aparat wydał mi się znajomy; ale przecież od festynu w Berdillac nie robiłem już zdjęć. Do tego mamiya była stara i porysowana, miała soczewkę jak ogromne oko cyklopa, a pokręta trzeszczały przy nastawianiu.

Rozczarowany odłożyłem ją na bok i otworzyłem inny podarunek.

Od matki dostałem czerwony notes ze skóry i trzy powieści: *Przygody Tomka Sawyera*, *Małego Księcia* i *Krabata*. Nadal czytała mi wieczorami, ale coraz częściej kazała mi czytać na głos i szczerze mnie chwaliła, kiedy robiłem to poprawnie. Niedawno po raz pierwszy sam napisałem opowiadanie, o zaczarowanym psie. Matce bardzo się podobało. Wziąłem czerwony notes do ręki i później, kiedy inni siedzieli nad grammi planszowymi, zapisałem w nim swoje myśli.

*

Tuż przed Nowym Rokiem, po raz pierwszy i ostatni w życiu, zobaczyliśmy naszego ojca płaczącego. Leżałem tego popołudnia na łóżku i pisałem nowe opowiadanie. Akcja działa się w bibliotece, w której książki w nocy potajemnie ze sobą rozmawiały, chwaliły się swoimi autorami albo narzekały na kiepskie miejsce w drugim rzędzie na regale.

Do pokoju weszła bez pukania moja siostra. Uśmiechnęła się konspiracyjnie i zamknęła za sobą drzwi.

– Co jest?

Właściwie to jej odpowiedzi mogłem dokładnie przewidzieć. Liz miała już czternaście lat i istniały jedynie trzy sprawy, którymi się interesowała: rysowanie, kiczowate filmy miłosne i chłopcy. Była teraz najładniejszą dziewczyną w klasie: blondynka z lokami, o niskim głosie i uśmiechu, który sprawiał, że każdego potrafiła owinąć sobie wokół palca. Podczas przerw na podwórzu szkolnym otaczał ją wianuszek dziewcząt, a ona opowiadała, z którym chłopakiem i

kiedy się całowała, jakie to było nudne, względnie, w najlepszym razie, takie sobie. Nigdy nie było dobrze i zawsze byli to starsi chłopcy z miasta, chłopcy z jej klasy nie mieli żadnych szans.

Próbowali niekiedy szczęścia, ale Liz nie zwracała na nich najmniejszej uwagi.

Usiadła na moim łóżku i trąciła mnie łokciem.

– Ty zdrajco!

Słuchałem i dalej pisałem swoje opowiadanie.

– Dlaczego zdrajco?

– Całowałeś się z dziewczyną.

Moje policzki zaczęły płonąć.

– Skąd wiesz?

– Widziała cię jedna z moich przyjaciółek. Mówi, że było to tutaj, przed drzwiami domu, i że włożyłeś tej dziewczynie język do gardła. Jak dwa labradory, powiedziała.

Liz roześmiała się, wyrwała mi notes i zaczęła rysować jakieś figurki i pisać wszędzie swoje imię. *Liz, Liz, Liz.*

To z całowaniem było prawdą. Z dziewczynami potrafiłem rozmawiać tak, jakby były chłopakami, i od czasu do czasu otrzymywałem listy miłosne podawane pod ławką. Życie wydawało się pełne obietnic, a moja pewność siebie rosła. Mimo że byłem przewodniczącym klasy, często wtrącałem się niepytany na lekcji albo kładłem z nonszalanckim uśmiechem nogi na ławce i czekałem, aż nauczyciel zwróci mi uwagę. Później uznałem swoje ówczesne zachowanie za aroganckie, ale wtedy lubiłem dominować wśród kolegów i pozostawać w centrum uwagi.

Zadawałem się ze starszymi chłopakami i często się biłem. Jeżeli na przykład ktoś nowy w grupie powiedział coś na mój temat, natychmiast się na niego rzucałem. Nigdy nie było to tak całkiem na poważnie, ale też nie były to żarty. Kilku ze starszych chłopaków paliło już i piło alkohol, ja jednak wahałem się, kiedy mi to proponowali; nie rozpowiadałem też, że lubię czytać czy też że wymyślam sobie różne historie. Wiedziałem, że wyśmialiby mnie i że muszę się z tym dobrze ukrywać.

– No i jakie było to całowanie? – Liz rzuciła mi notes na kolana.

– Nie twoja sprawa.

– Nie bądź taki, powiedz. Przecież zawsze mówimy sobie wszystko.

– Tak, ale teraz nie chcę.

Wstałem i poszedłem do gabinetu ojca, pachnącego zawsze zakurzonymi aktami i starym papierem. Siostra poszła za mną, udawałem więc, że jestem zajęty, i bezmyślnie grzebałem w szufladach biurka. W większości znajdowały się tylko etui na okulary, kałamarze i połówki kartki z notatkami. W najniższej natknąłem się jednak na aparat Leica. Czarna obudowa, srebrny obiektyw. Był w oryginalnym opakowaniu, nigdy też nie widziałem, aby ojciec robił nim zdjęcia.

W szufladzie leżał jeszcze list napisany po francusku nieznanym mi charakterem pisma.

Drogi Stéphane, ten aparat jest dla Ciebie. Ma Ci przypominać, kim jesteś, oraz o tym, czego w życiu nigdy nie wolno niszczyć. Spróbuj, proszę, mnie zrozumieć.

Od kogo był ten list? Odłożyłem go z powrotem do szuflady i obejrzałem aparat, otworzyłem klapkę na film i kręciłem obiektywem. W świetle wpadającym przez okno tańczył

kurz.

Liz odkryła właśnie siebie w małym lustrze. Wielce zadowolona z tego widoku oglądała się

ze wszystkich stron, potem znowu zwróciła się do mnie.

– A jeżeli ja nigdy się jeszcze nie całowałam?

– Co?

Moja siostra przygryzła dolną wargę i milczała.

– Przecież opowiadasz nam cały czas, z kim to się nie obściskowałaś. – Aparat dyndał na moim przedramieniu. – O niczym innym nie mówisz.

– Ten pierwszy pocałunek musi być czymś wyjątkowym...

Coś zaskrzypiało. Nasz brat, który bezbłędnie wyczuwał, kiedy i gdzie w mieszkaniu odkrywane są tajemnice, pojawił się w drzwiach. Jego szatański uśmiech był pewnym dowodem na to, że nas podsłuchiwał.

Marty, odludek i kujon w niklowanych okularach, chudy i blady jak kawałek kredy, miał wtedy trzynaście lat. Dziecko, które nienawidzi dzieci, lgnie do dorosłych, a poza tym świadomie wybiera samotność. Zawsze stał w cieniu siostry, która go prowokowała, gdzie i jak tylko się dało, ignorowała go w szkole i wyśmiewała się z niego, ponieważ nie miał prawie żadnych kolegów. Ale teraz wpadły mu w ręce – prawdziwy dar niebios – tajne informacje, które mogłyby w sekundę zrujnować reputację jego siostry w szkole.

– Interesujące – odezwał się. – Czy to dlatego dajesz wszystkim chłopcom kosza, że masz stracha? Bo jesteś nadal małym dzieckiem, które woli rysować kiczowate obrazki i tulić się do mamy?

Liz potrzebowała dobrej chwili, aby dojść do siebie.

– Jeżeli komuś o tym powiesz, to...

– To co? – Marty roześmiał się i zaczął naśladować głośne pocałunki.

Liz rzuciła się na niego. Szarpali się za włosy i kopali. Próbowałam ich rozdzielić, nie zauważyłem, które z nich trafiło w aparat, widziałem tylko, jak przefrunął przez pokój i uderzył obiektywem o...

– Cholera!

Natychmiast zrobiło się cicho. Podniosłem leicę, obiektyw był rozbity.

Przez chwilę naradzaliśmy się, co robić.

– Odłóżmy go po prostu z powrotem do szuflady – zaproponowała Liz. – Może w ogóle tego nie zauważy.

Nasza siostra, jak zawsze, miała ostatnie słowo.

Tego dnia ojciec wrócił do domu zadziwiająco wcześnie. Robił wrażenie

zdeenerwowanego i natychmiast zniknął w swoim pokoju.

– Chodźcie! – rozkazała Liz.

Przez szparę w drzwiach obserwowaliśmy w trójkę, jak ojciec przez jakiś czas krąży nerwowo po pokoju i raz za razem przejeżdża dłonią po włosach. Nagle wziął do ręki słuchawkę zielonego telefonu z tarczą i wybrał numer.

– To znowu ja – powiedział ze swoim miękkim akcentem – Stéphane. Chciałem panu powiedzieć, że popełnia pan błąd. Nie może pan tak po prostu...

Jego rozmówca nie dał mu dokończyć, ojciec wyraźnie się podłamał. Nieustannie usiłował przerwać temu komuś: „Ale pan...” albo „Dobrze, ale...”, a raz nawet

wypowiedział

ślagałne „Proszę”, ale nie zdołał się przebić.

– Mógłby pan przynajmniej dać wcześniej do zrozumienia – powiedział w końcu ojciec.

– Po dwunastu latach. Ja nie mogę przecież...

Znowu ten ktoś mu przerwał. Po tym odłożył po prostu słuchawkę.

Przeszedł na środek pokoju i stał nieruchomo przez kilka sekund, jakby ktoś odłączył mu zasilanie. Upiorne.

Wreszcie wróciła mu energia. Podeszedł do biurka, a ja od razu wiedziałem, do której szuflady sięgnie. Najpierw przeczytał list, potem wyjął leicę z opakowania. Kiedy zauważył rozbity obiektyw, wzdrygnął się cały. Odłożył list i aparat do szuflady i podeszedł do okna.

A potem zaczął płakać. Nie byliśmy pewni, czy z powodu telefonu, aparatu fotograficznego, czy też może przytłoczyło go brzemie, jakie musiał dźwigać przez ostatnie lata. Wiedzieliśmy tylko, że nie powinniśmy i nie chcemy tego oglądać, i w milczeniu rozeszliśmy się do swoich pokoi.

*

Po Nowym Roku rodzice postanowili wyjechać na weekend. Spontaniczna wycieczka, która wydawała się związana ze zwolnieniem ojca, ale matka powiedziała nam, że zamierzają odwiedzić przyjaciół w Montpellier, a my nie możemy z nimi pojechać. Będzie pilnowała nas ciotka.

– Nie potrzebujemy żadnej opiekunki – powiedziała Liz. – Mam już czternaście lat.

Matka pocałowała ją w czoło.

– To raczej dla twoich znajomych rodzaju męskiego.

– Dzięki, słyszałem – burknął Marty, nie podnosząc wzroku znad gazety.

W naszym domu w Monachium wynajmowało mieszkania jeszcze dziewięć innych osób, w tym Marleen Jacobi, młoda, wyjątkowo piękna wdowa, która nosiła tylko ciemne ubrania.

Spotykało się ją zawsze samą, dla mnie było to nie do pojęcia, że można żyć tak samotnie.

Liz natomiast szczerze ją podziwiała i za każdym razem, kiedy spotykała ją na klatce schodowej albo na ulicy, była podekscytowana; szczypała mnie wtedy w ramię albo dawała kuksańca.

– Ona jest taka piękna! – mówiła zachwycona.

Jej fascynacja doprowadziła do tego, że ja i Marty zaczęliśmy siostrze dokuczać.

– O, właśnie przechodziła Jacobi – powiedzieliśmy pewnego popołudnia do Liz.

– Przegapiłaś ją tylko o kilka sekund. Wyglądała tak pięknie jak nigdy.

– E tam – mruknęła Liz z udawanym znudzeniem. – W ogóle wam nie wierzę.

– Ależ tak, pytała o ciebie – ciągnęliśmy. – Chce się z tobą ożenić.

– Jesteście dziecienni, głupki. – Liz położyła się obok matki na kanapie w dużym pokoju.

– Mamo – wyszczerzyła do mnie zęby – zgadnij, kto niedawno po raz pierwszy pocałował dziewczynę?

Matka natychmiast spojrzała na mnie.

– Czy to prawda? – zapytała, i myślę, że powiedziała to z uznaniem.

Nie pamiętam już, o czym potem rozmawialiśmy, ale utkwilo mi w pamięci, jak matka nagle wstała z kanapy i włączyła płytę z piosenką *Via con me* Paola Contego. Wyciągnęła do mnie rękę.

– Jules – powiedziała, kiedy tańczyliśmy – jeżeli chcesz zdobyć dziewczynę, to zatańcz z nią do tej piosenki. Przy tej melodii na pewno ją zdobędziesz.

Matka się roześmiała. Dopiero lata później uświadomiłem sobie, że to był pierwszy raz, kiedy rozmawiała ze mną jak równy z równym.

Tuż przed wyjazdem rodziców miałem krótką rozmowę z ojcem i będzie chyba najlepiej, jeżeli opowiem ją tak, jak utkwiała mi ona w pamięci.

Przechodziłem przypadkowo koło sypialni, w której ojciec pakował walizki. Robił

wrażenie zestresowanego.

– Dobrze, że jesteś – powiedział. – Muszę z tobą porozmawiać.

Stałem w otwartych drzwiach.

– O co chodzi?

Nie powiedział od razu, tylko zaczął od swoich starych zastrzeżeń, że nie podobają mu się moi starsi koledzy, że wpadłem w „złe towarzystwo”. Potem zaczął mówić o swoim podarunku bożonarodzeniowym, aparacie fotograficznym.

– Nadal leży w kącie. Nie zrobiłeś nim ani jednego zdjęcia, prawda? Nawet nie obejrzałeś go dokładnie.

Nagle zrobiło mi się ojca żal, odwróciłem wzrok.

– Ten aparat jest naprawdę wartościowy. W twoim wieku bardzo bym się z niego ucieszył.

– Nie wiem, jak nim fotografować. Jest taki ciężki i stary.

Ojciec wyprostował się i podszedł do mnie. Wyjątkowo wysoki i niezgrabny mężczyzna.

– To jest klasyk, rozumiesz? – Przez moment jego twarz miała znowu w sobie coś młodzieńczego. – Lepszy od wszystkich nowych aparatów. Ma duszę. Kiedy wrócimy, pokażę ci, jak robi się nim zdjęcia i je wywołuje. Zgoda?

Przytaknąłem z wahaniem.

– Masz dobre oko, Jules. Bardzo bym się cieszył, gdybyś zajął się kiedyś fotografią

– powiedział ojciec, a ja nigdy nie zapomniałem także i tych słów.

Co jeszcze zapamiętałem z tamtego wieczoru? Z całą pewnością to, jak matka pocałowała mnie w czoło na pożegnanie. Już z tysiąc razy w życiu myślałem o tym ostatnim pocałunku i ostatnim uścisku, o jej zapachu i kojącym głosie. Tak często o tym myślałem, że nie jestem już pewny, czy to była prawda.

*

Weekend spędziliśmy z rodzeństwem w domu. Z ciotką graliśmy w „Barykadę” (jedynym celem Liz, jak zawsze, było zamurowanie Marty’ego za pomocą tych małych białych klocków), a wieczorem zrobiłem dla wszystkich omlet z grzybami według przepisu, który dostałem od matki.

W sobotę poszedłem z Liz do kina, tak że kiedy ojciec zadzwonił z drogi, w domu był tylko Marty. Rodzice postanowili nagle zostać we Francji jeszcze przez kilka dni. Wynajęli samochód, aby zrobić wypad do Berdillac.

Nie miałem nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie: cieszyłem się na małe prezenty i sery, które z południowej Francji przywiozła.

A potem nadszedł 8 stycznia, niedziela. W ciągu następnych lat często usiłowałem wmówić sobie mgliste przeczucie, ale to była zapewne bzdura. Pod wieczór zadzwonił telefon.

Ciotka podniosła słuchawkę. Natychmiast odczułem zmianę nastroju i usiadłem. Także Marty nagle się zatrzymał. Wszystkie inne szczegóły wypadły mi z pamięci. Nie pamiętam, jak wyglądał poranek, co robiłem po telefonie ani dlaczego siostry nie było tego wieczoru w domu.

To, co pozostało mi z tego dnia, to jedynie ostatnie wspomnienie, którego znaczenie uświadomiłem sobie jednakże dużo później.

Owego popołudnia wpadłem rozemocjonowany do dużego pokoju. Liz malowała właśnie jakąś historyjkę obrazkową, brat siedział obok niej i pisał swoim koślawym, drobnym pismem list do Gunnara Nordahla. To był jego przyjaciel korespondencyjny w Norwegii, ale Liz

i ja twierdziliśmy zawsze, że nie ma żadnego Gunnara Nordahla, a Marty po prostu go sobie wymyślił.

Stałem przed bratem w postawie boksera. Byłem wtedy w fazie uwielbienia dla

Muhammada Alego i uważałem siebie za znakomitego jego naśladowcę, zachwycali mnie zwłaszcza jego zarozumiałe przemowy przed walkami.

– Hej – powiedziałem do Marty’ego. – Dzisiaj przyszła kolej na ciebie, ty szczurze. Jesteś tylko wujem Tomem.

– Jules, wkurzasz mnie. Poza tym nie masz pojęcia, co oznacza wuj Tom.

Dałem mu kuksańca w ramię. Kiedy nie zareagował, jeszcze jednego. Marty uderzył mnie, ale odskoczyłem i udawałem, że toczę walkę bokserską z cieniem.

– Latać jak motyl, żądlić jak pszczoła.

Chyba nie byłem dobrym naśladowcą Alego, ale jego *shuffle*, szybkie przesuwanie nogami w miejscu, miałem opanowane całkiem nieźle.

Liz patrzyła na nas z ciekawioną.

Znowu trąciłem Marty’ego.

– W drugiej rundzie cię załatwię! – wrzasnąłem z szeroko otwartymi oczami.

– Walczyłem już z aligatorem, założyłem kajdanki błyskawicy i zapudłowałem piorun.

W ostatnim tygodniu zamordowałem skałę, zraniłem kamień i zbiłem na kwaśne jabłko cegłę.

Ale ty jesteś tak brzydki, że podczas walki nie będę na ciebie patrzył.

– Nie przeszkadzaj mi.

– Właśnie, nie przeszkadzaj mi – wtrąciła drwiąco Liz. – On znowu pisze do swojego wyimaginowanego przyjaciela z Norwegii.

– Ale jesteście nudni – powiedział Marty.

Tym razem uderzyłem go w tył głowy tak mocno, że obsunęła mu się ręka przy pisaniu.

Mój brat poderwał się gwałtownie i ruszył za mną w pogoń. Tłukliśmy się, początkowo wyglądało to poważnie, ale kiedy zacząłem piszczeć i wrzeszczeć, że jestem najlepszy, Marty musiał mimowolnie się roześmiać i daliśmy spokój.

Mniej więcej w tym samym czasie rodzice wsiadali do wypożyczonego renaulta, aby odwiedzić naszą babcię w Berdillac. A młoda prawniczka zajęła miejsce w swojej toyocie. Była umówiona na kolację w Montpellier i nie chciała się spóźnić. Jej samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni, zjechał na przeciwległy pas i zderzył się z renaultem moich rodziców. Dwie osoby poniosły śmierć na miejscu.

Młoda prawniczka cudem przeżyła.

Krystalizacja

(1984–1987)

To, co nastąpiło później, to było mroczne zdziwienie i gęsta mgła, przez którą rzadko przebijają się krótkie fragmenty wspomnień. Stoję w swoim pokoju w Monachium i patrzę przez okno na podwórze z huśtawką i domkiem na drzewie, widzę światło poranka uwięzione w konarach. To ostatni dzień w naszym całkowicie już pustym teraz mieszkaniu, słyszę wołanie Marty’ego.

– Jules, idziesz?

Odwracam się niechętnie. Przelatuje mi przez głowę, że nigdy już nie spojrzę na ukochane podwórze, jednak nic nie czuję, nawet tego, że moje dzieciństwo się skończyło.

Krótko potem pierwsza noc w internacie; przyjechaliśmy bardzo późno i zostałem rozdzielony z rodzeństwem. U boku wychowawcy idę z walizką w ręku pustym, wyłożonym linoleum, pachnącym octem korytarzem. On idzie zbyt szybko, pozostaje nieco w tyle. W końcu otwiera jakieś drzwi. Pomieszczenie z trzema łóżkami, z tego dwa już zajęte. Dzieci mrugają zaspane. Aby im nie przeszkadzać, gaszę światło i rozbieram się w ciemności. Chowam pluszowe zwierzątko pod poduszkę. Leżę w swoim nowym łóżku, myślę o rodzicach i rodzeństwie, które jest w pobliżu, a mimo to bardzo daleko, ale nie płaczę ani przez sekundę.

Przypominam sobie jeszcze jeden dzień w zimie, kilka tygodni później. Porywisty wiatr szaleje po pagórkowatej, zaśnieżonej okolicy. Zapinam skafander, trzymam ręce przed twarzą i brnę przez zasy. Leci mi z nosa, butami rozgniatam świeży śnieg. Zimno jest szokiem dla moich płuc. Po godzinie siadam na lodowatej ławce i patrzę w dolinę. Robi wrażenie milczącej i obcej. Wyobrażam sobie, jak skaczę w dół i już kilka metrów za świecącym brzegiem zamarniętego śniegu unosi mnie warstwa powietrza. Ta chwila zapiera dech w piersiach.

Wznoszę się szybko, pędzę w górę coraz szybciej, wiatr dmucha mi w twarz, a potem z rozpostartymi ramionami lecę w stronę horyzontu, tak po prostu. Spoglądam na internat, tak przyjemnie oddalony. Co oni tam robią beze mnie? Jeżdżą na sankach i rozmawiają o dziewczynach, wygłupiają się i wzajemnie prowokują, niekiedy przekraczając miarę, by za chwilę już o tym nie pamiętać. Powoli w coraz głębszym mroku pojawiają się pierwsze światła, a ja myślę o swoim dawnym, przeciętym przez przypadek życiu w Monachium, jednak tęsknota za domem jest już tylko ledwie widoczną blizną.

Kiedy wracam do internatu, jest już całkiem ciemno. Otwieram główne drzwi. Ze stołówki dolatują mnie rozbawione głosy oraz intensywny zapach jedzenia, potu i dezodorantu.

Powietrze przesiąknięte oczekiwaniami, śmiechem i tłumionym strachem. Idę korytarzem i widzę zmiernającego z naprzeciwka w moim kierunku chłopca, którego nie znam. Prostuję się instynktownie, usiłuję wyglądać na dorosłego i staram się nie popełnić żadnego błędu. Chłopiec przechodzi obok mnie bez słowa.

Docieram do swojego pokoju, siadam na łóżku i wytrzepuję śnieg z włosów. Jestem tutaj sam, duch, malutka jedenastoletnia istota. Zdrętwiały i pusty siedzę w pokoju, podczas gdy wszyscy inni są na kolacji. Później zostaną ukarani za oddalenie się bez pozwolenia. Spoglądam w ciemność za oknem.

*

Dom dziecka, do którego trafiliśmy po śmierci rodziców, nie był żadną z tych elitarnych instytucji z kortami tenisowymi, lodowiskiem do hokeja i pracownią garncarstwa, co być może wyobrażaliśmy sobie na początku, lecz zwykłym państwowym internatem na wsi. Składał się z dwóch szarych budynków oraz stołówki, które stały na terenie miejscowego gimnazjum. Rano szliśmy z wiejskimi dziećmi do szkoły, popołudnia i wieczory spędzaliśmy w swoich pokojach, nad jeziorem lub na boisku piłki nożnej. Wprawdzie człowiek w końcu przyzwyczajał się do takiego koszarowego życia, jednak nawet po kilku latach było mi przykro, że inni uczniowie wracają po skończonych lekcjach do swoich domów, podczas gdy my pozostawaliśmy, jak więźniowie, na terenie internatu. Czuliśmy się napiętnowani. Spartańsko wyposażone pokoje dzieliliśmy z obcymi, którzy niekiedy stawali się bliskimi. Po roku trzeba było przeprowadzać się ponownie. Niełatwo ograniczyć całe swoje życie do tak niewielkiej przestrzeni i tak krótkiego czasu. Było sporo kłótni, ale również całonocne rozmowy. Rzadko jednak mówiliśmy o sprawach naprawdę ważnych, takich, o których nigdy nie wspomnielibyśmy przy świetle

dziennym.

Najczęściej rozmawialiśmy o nauczycielach albo dziewczynach. „Czy podczas posiłku spojrzała na mnie znowu?”, albo: „Jak to, nie znasz jej? Kurczę, Moreau, ona jest najpiękniejsza w całej tej zasranej szkole”.

Wielu uczniów w internacie miało już kłopoty, mieszkali w domu, ale musieli powtarzać klasę, niektórzy brali narkotyki. Od czasu do czasu trafiały do domu dziecka także „egzemplarze”

wręcz kryminalne, ponieważ internat, jako instytucja państwowa, był zobowiązany przyjąć każdego. Naprzeciw nich stała przerażona młodzież wiejska, która musiała patrzeć, jak ci szaleńcy z miasta rujnują jej idyllę. „Też jesteś z tego domu?”, pytali wtedy miejscowi, przy czym „dom” oznaczał w ich ustach nie tyle internat, ile dom wariatów. Podczas posiłków pochłanialiśmy wszystko, nigdy nie mieliśmy dosyć. A był w nas głód, którego nie dało się całkowicie zaspokoić. Za to w internacie nieustannie huczało od plotek, dokładnie rejestrowano, kto z kim rozmawiał, jakie rodziły się przyjaźnie i kto miał wysokie notowania u dziewczyn. Nie każdą zmianę akceptowano. Pojawiały się na przykład nowe ciuchy, najpierw dumnie noszone przez właściciela, a potem szybko ukrywane w szafie. Niektórzy uczniowie z internatu usiłowali stworzyć sobie przez wakacje nowy image, wracali z domu odmienieni, ale większość z nich już po kilku dniach zachowywała się po staremu. Człowiek był i pozostawał tym, za kogo uważali go inni.

O ile dawniej czułem się pewnie z samym sobą, o tyle teraz bywały chwile, w których na widok przytłumionego światła wieczorem w mrocznym korytarzu albo drzew rzucających posępny cień na okolicę nagle coś się we mnie zamykało. To, że znajdowałem się na planecie pędzącej z nieprawdopodobną prędkością przez wszechświat, wydawało mi się równie przerażające jak nowa, wytrącająca z równowagi myśl, że śmierć jest nieunikniona. Moje strachy rosły, przypominały powiększającą się rysę. Zacząłem bać się ciemności, śmierci, wieczności.

Myśli te wbijały kolce w moje serce, a im częściej zastanawiałem się nad tym wszystkim, tym bardziej oddalałem się od swoich beztroskich, rozbawionych kolegów. Byłem sam. I wtedy spotkałem Alwę.

*

W pierwszych dniach w nowej szkole opowiedziałem na lekcji dowcip. W mojej dawnej klasie spodziewano się po mnie dowcipów. Zbliżałem się już do puenty, kiedy dotarło do mnie, że tutaj to nie zadziała. Patrzyłem na obce twarze i czułem, jak cała moja pewność siebie znika.

Na końcu nikt się nie roześmiał. Tym samym moja rola została określona. Byłem tym dziwnym chłopcem, który nie zwraca uwagi, w co się rano ubiera, i który z nerwów przekręca pojedyncze słowa: na przykład „modrawy” zamiast „darmowy”. Aby nie stać się pośmiewiskiem klasy, niewiele się odzywałem i siedziałem sam w ostatniej ławce. Aż do chwili, kiedy po kilku tygodniach usiadła obok mnie dziewczyna.

Alwa miała miedziane włosy i nosiła rogowe okulary. Na pierwszy rzut oka sympatyczne, nieśmiałe wiejskie dziecko, które zapisy z tablicy przenosiło kolorowymi kredkami do swoich zeszytów. A jednak emanowało z niej coś jeszcze. Bywały dni, kiedy wydawało się, że Alwa świadomie unika innych dzieci. Wtedy spoglądała ponuro przez okno, całkowicie nieobecna. Nie wiedziałem, dlaczego postanowiła siedzieć koło mnie, prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Jej koleżanki chichotały, spoglądając w naszą stronę, a dwa tygodnie później znowu siedziałem w kącie sam. Alwa tak samo niespodziewanie, jak się pojawiła, przesiadła się gdzie indziej.

Od tego czasu często spoglądałem na nią podczas lekcji. Kiedy odpowiadała przy tablicy,

obserwowałem, jak niepewna stoi przed całą klasą i splata ręce na plecach. Wsłuchiwałem się w jej łagodny głos i patrzyłem na rude włosy, na okulary, na białą skórę i jej ładną bladą twarz.

Przede wszystkim jednak podobały mi się jej przednie zęby, z których jeden lekko odstawał.

Alva usiłowała podczas mówienia nie otwierać zbyt szeroko ust, aby nikt tego nie zauważył, a kiedy się śmiała, zasłaniała usta dłonią. Czasem jednak uśmiechała się bezwiednie: wtedy się nie pilnowała i widać było jej krzywy siekacz. I to właśnie lubiłem szczególnie. Sens mojego życia polegał na rzucaniu jej spojrzeń przez kilka rzędów ławek, a kiedy w końcu się oglądała, odwracałem zawstydzony wzrok i byłem szczęśliwy.

Kilka miesięcy później coś się wydarzyło. Był upalny letni dzień, na ostatniej lekcji pozwolono nam obejrzeć nagranie wideo, sfilmowaną powieść Ericha Kästnera. W środku filmu Alva zaczęła płakać. Siedziała skulona na swoim miejscu, ramiona jej drżały, w końcu płacz zmienił się w głośny szloch. Wszyscy zwrócili na nią uwagę. Nauczycielka wyłączyła pośpiesznie wideo – podczas sceny rozgrywającej się na letnim obozie – i podeszła do niej.

Kiedy obie opuszczały klasę, dojrzałem zaczerwienioną twarz Alvy. Myślę, że wszyscy byliśmy przestraszeni, ale nikt nic nie mówił. Tylko jeden chłopak powiedział, że ojciec Alvy nigdy nie przychodzi na zebrania rodziców, a poza tym jest jakiś dziwny i być może ma z tym płaczem coś wspólnego. Często rozmyślałem o tym, co powiedział, ale nigdy nie zagadnąłem o to Alvy.

Cokolwiek by to jednak było – cierpiała w ukryciu i od tego czasu dobrze się z tym kryła.

Parę dni potem szedłem po szkole sam do internatu.

– Poczekaj, Jules! – Alva pociągnęła mnie za koszulę, a ja się odwróciłem. Towarzyszyła mi aż do wejścia do internatu. – Co będziesz teraz robił? – zapytała, kiedy stanęliśmy niezdecydowani przed drzwiami.

Zawsze mówiła bardzo cicho, tak że trzeba było się do niej nachylać. Mimo że była uczennicą spoza internatu i mieszkała w domu, to chyba niechętnie tam wracała.

Popatrzyłem na zachmurzone niebo.

– Nie wiem... Może posłucham muzyki.

Spojrzała na mnie i zaczerwieniła się.

– Chcesz też posłuchać? – zapytałem, a ona przytaknęła.

Bardzo się ucieszyłem, stwierdziwszy, że w pokoju nie ma moich współlokatorów. Po matce odziedziczyłem adapter i płyty, prawie sto albumów, od Marvin'a Gaye'a, Earthy Kitt, Fleetwood Mac po John'a Coltrane'a.

Nastawiłem *Pink Moon* Nicka Drake'a, jedną z ulubionych płyt matki. Dawniej prawie w ogóle nie interesowałem się muzyką, a teraz za każdym razem, kiedy igła trzeszczał, przesuwiała się po winylu, przeżywałem chwile szczęścia.

Alva była bardzo skoncentrowana. Przez cały czas wyraz jej twarzy prawie się nie zmieniał.

– Bardzo mi się podoba – powiedziała.

Dziwne było to, że nie usiadła na krześle, tylko na moim biurku. Wyjęła książkę z plecaka i zaczęła ją czytać, jakby była u siebie w domu. Podobało mi się, że w mojej obecności czuje się tak swobodnie. Popołudniowe słońce przedarło się przez chmury i pokryło pokój światłem koloru koniaku.

– Co czytasz? – zapytałem po chwili. – Ciekawe?

– Mhm. – Alva skinęła głową i pokazała mi tytuł: *Zabić drozda* Harper Lee.

Miała, tak jak i ja, jedenaście lat. Dalej patrzyłem, jak zagłębia się w tekst. Jej oczy gnały

wzdłuż wersów od lewej do prawej i z powrotem, bez wytchnienia.

W końcu zamknęła książkę i zaczęła oglądać moje rzeczy. Dziwna istota, która zabłąkała się do mojego pokoju i zaciekawiona oglądała komiksy ze Spidermanem i aparaty fotograficzne stojące na moim regale. Najpierw wzięła do ręki mamie, potem nowsze modele, którymi ojciec robił zdjęcia w ostatnich latach. Z namysłem dotykała wszystkich przedmiotów, jakby chciała się upewnić, że są realne.

– Nigdy nie widziałam, żebyś robił zdjęcia.

Wzruszyłem ramionami. Alva sięgnęła po rodzinną fotografię, na której byli moja matka z ojcem.

– Twoi rodzice nie żyją.

Zaskoczyło mnie to zdanie, myślę, że od razu wyłączyłem też muzykę. Nikomu o tym nie mówiłem, odkąd zamieszkałem w internacie.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytałem.

– Zapytałam wychowawczynię.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

– Tak, zginęli pół roku temu. – Miałem wrażenie, jakbym przed każdym słowem musiał wbić szpadel w zamarzną ziemię.

Alva skinęła głową i patrzyła mi długo w oczy, niezwykle długo, a ja nigdy nie zapomnę, jak podczas tych chwil udało nam się zajrzeć w wewnętrzny świat tego drugiego. Przez moment dojrzałem ból skrywający się za jej słowami i gestami, ona domyśliła się, co chowam w sobie tak głęboko. Jednak nie posunęliśmy się dalej. Każde z nas zatrzymało się na progu i nie zadawało żadnych pytań.

*

Niecałe trzy lata później, pod koniec 1986 roku, Alva i ja zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Kilka razy w tygodniu słuchaliśmy razem muzyki. Od czasu do czasu opowiadała mi coś o sobie: że podziwia sportowców, że jej rodzice są lekarzami, że po skończeniu szkoły chce pojechać do Rosji, kraju jej ulubionych pisarzy. Ale nigdy nie rozmawialiśmy o sprawach naprawdę dla nas ważnych, również o tym, dlaczego rozplakała się podczas oglądania filmu.

Mieliśmy już prawie po czternaście lat, a naszą ósmą klasę dzieliła głęboka przepaść.

Z jednej strony znajdowali się Alva i ci uczniowie, którzy wyglądali na starszych o kilka lat i pewnie dlatego zachowywali się nieco wulgarnie i głośno. Po drugiej stronie byli nieudacznicy, niezdarni, nierozgarnięci samotnicy, do których należałem także ja. Nie rosłem już od lat.

W dzieciństwie zapowiadałem się na dość zdolnego, ale w tej fazie swojej młodości okazałem się całkowitym beztalenciem. Zawsze chętnie snułem marzenia na własny temat, jednak miałem też w sobie pewną dzikość. Teraz zniknęła, a ja coraz bardziej zamykałem się w sobie i w duchu nienawidziłem siebie samego za to, co się ze mną stało.

Pewnego jesienno-wieczoru odwiedziłem swojego brata. Zachodnie skrzydło, drugie piętro, niebezpieczna strefa dla dzieci z internatu, takich jak ja, których nie umocnił jeszcze okres dojrzewania. Tu, gdzie mieszkali tylko szesnasto- i siedemnastolatki, wyczuwało się ów dziwny niepokój. Nachodził człowieka w pewnym momencie i wtedy, z nadmiaru energii i nudy, chciało się nagle walczyć, rozrabiać, bić się albo krzyczeć. Niektórzy chłopcy snuli się nerwowo po korytarzu, inni siedzieli w swoich pokojach przy otwartych drzwiach i wpatrywali się w ścianę, jakby coś knuli, kolejni obserwowali mnie nieufnie jak drapieżniki, na których terytorium wdarł się jakiś intruz. Nie przesadzam ani trochę.

Mój brat mieszkał na samym końcu korytarza. Jeżeli chodzi o Marty'ego, to ostatnie lata nie mogły mu raczej zbyt zaszkodzić tak jak mnie czy naszej siostrze, jako że on właściwie miał niewiele do stracenia. Był jak mrówka, która po wybuchu bomby atomowej dalej robi swoje. Chudy olbrzym o kanciastych ruchach – mierzył już metr dziewięćdziesiąt – z długimi włosami związanymi w koński ogon był jak Woody Allen, którego zmuszono do powtórnego przejścia przez okres dojrzewania: nosił tylko czarne ubrania i skórzany płaszcz, cały dzień snuł

intelektualne wywody, których nikt nie rozumiał, a ze swoim orlim nosem i okularami wyglądał

jak egzystencjalny strach na wróble. Nie miał szczęścia u dziewczyn, ale w wieku szesnastu lat stał na czele bandy dziwaków i ekscentryków. Armia cieni Marty'ego składała się ze wszystkich cudzoziemców w internacie, wszelkiego rodzaju nerdów i mądrali oraz jego długoletniego współlokatora z pokoju, Toniego Brennera, jedynego Austriaka w szkole, który z powodu swojego silnego wiedeńskiego akcentu został w układzie współrzędnych internatu wypchnięty na margines.

Tuż przed drzwiami Marty'ego drogę zagrodziło mi dwóch chłopców. Krostowaty chudzielec z ochrypłym śmiechem i sterczącymi włosami przypominający hienę oraz potężny zabijaka, którego wyglądu już nie pamiętam.

– Hej, Moreau! – powiedział z wyższością chudzielec i przytrzymał mnie. – Nie tak szybko. – Obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

Jakie to żalosne, pomyślałem, uważacie, że kim właściwie jesteście, wy dwa durne błazny? Na moment zapłonęła we mnie wściekłość, jak dawniej, kiedy się jeszcze biłem. Ale potem dałem za wygraną. Komu i co chciałem tutaj udowodnić? Nie przechodziłem nawet jeszcze mutacji, byłem tylko nędznym szczawiem.

Zacząłem krzyczeć z całych sił, wołałem brata, którego drzwi były oddalone zaledwie o metr. Nie zareagował. Znowu go zawołałem: „Pomóż mi, Marty. Proszę!”. Krzyczałem i krzyczałem, ale jego drzwi pozostały zamknięte.

Ci dwaj mnie trzymali i znowu wyszczerzyli zęby, a potem zaciągnęli mnie do pomieszczenia z prysznicami. Po drodze przyłączyło się do nich kilku wyjących z radości chłopaków, w końcu nieśli mnie w pięciu. Wyrywałem się i broniłem, ale nie miałem żadnych szans. Postawili mnie ubranego pod prysznicem, aż przemokłem całkowicie. Pachniało tanim szamponem i stęchlizną, zamknąłem oczy, słyszałem śmiechy wokoło. Nagle jeden z nich powiedział, że byłoby śmiesznie, gdyby zostawili mnie gołego w skrzydle dziewczyn. Znowu chwycili mnie wśród głośnych ryków.

– Nienawidzę was! – Musiałem zaciskać zęby, żeby powstrzymać łzy.

– Koniec tych wygłupów! – usłyszałem czyjś głos.

Do pomieszczenia wszedł chłopak o jasnobłond włosach. To był Toni, współlokator mojego brata. Serce podskoczyło mi z radości. Był utalentowanym narciarzem, niezbyt wysokim, ale bardzo umięśnionym, całymi dniami ćwiczył w siłowni. Toni podszedł do chudej hieny i cisnął nim przez łazienkę z takim impetem, że pozostali się rozstąpili.

Potem podszedł do mnie.

– Wszystko w porządku?

Nadal cały drżałem, woda z prysznicą była lodowata. Toni położył mi rękę na ramieniu i zaprowadził do pokoju brata. Po drugiej operacji kolana nieco utykał. Nie było wiadomo, czy da radę kontynuować planowaną karierę narciarza.

Nagle uśmiechnął się do mnie.

– Odpowiedziała już na list?

Próbował mnie rozbawić. Toni, tak jak wielu innych, był śmiertelnie zakochany w mojej siostrze. Kilka miesięcy temu musiałem przekazać Liz list miłosny od niego, na który nigdy nie odpowiedziała. Od tamtego czasu Toni pytał mnie ciągle dla zabawy, czy Liz przeczytała wreszcie ten list.

W pokoju mojego brata dalej ociekałem wodą. Marty, który kupił sobie używany komputer i w ostatnich latach całkowicie się od niego uzależnił, oderwał wzrok od monitora.

– Co jest z tobą?

Zignorowałem go i spojrzałem za okno: jasno oświetlony sąsiedni budynek, w oddali ściana pogrążonego w mroku lasu. Marty znowu zaczął uderzać w klawiaturę commodore'a, udawał bardzo zajętego. Wiedziałem jednak, że to pozory, za którymi kryją się wyrzuty sumienia.

– Nie pomogłeś mi – powiedziałem. – Wołałem cię.

– Nie słyszałem.

– Słyszałeś. To było tuż pod twoimi drzwiami.

– Naprawdę cię nie słyszałem, Jules.

Spojrzałem na niego wściekły.

– Gdybyś tylko otworzył drzwi, puściliby mnie. Wystarczyło, żebyś wyszedł.

Mój brat milczał uparcie, więc na koniec poprosiłem:

– Przyznaj chociaż, że mnie słyszałeś. Wtedy ci wybaczę.

Nie doczekałem się odpowiedzi i po kilku sekundach wyszedłem z pokoju. Gdy myślałem o swoim bracie w tamtych latach, zawsze miałem przed oczami obraz zamkniętych drzwi.

*

Poszliśmy nad jezioro, chciałem Alvie coś pokazać. Był mroźny blady dzień, a ja po raz pierwszy od lat wziąłem ze sobą jeden z aparatów fotograficznych ojca. Zauważyłem, sam ciepło opatulony w skafander, szal i czapkę, jak niedbale ubrana była Alva. Cienkie džinsy, do tego sprana kurtka z dzianiny. Jak zbiegłe z sekty, zaniedbane dziecko. Jednak mimo że na pewno marzła, nie dawała tego po sobie poznać.

Zapadał już zmierzch, kiedy dotarliśmy do jeziora. Kilku uczniów z internatu jeździło na łyżwach po zamrożonej tafli.

– Chodź ze mną.

Zaprowadziłem Alvę do miejsca leżącego nieco na uboczu. Prawie nie było już słychać głosów, staliśmy sami na zamrożonym jeziorze.

Alva krzyknęła. Zobaczyła zamrożonego lisa. Przez lód widzieliśmy jego znieruchomiałą pysk, część ciała wystawała z lodu, najeżona sierść była upstrzona błyszczącymi kryształkami. Jakby zamarł w trakcie skoku.

– Co za straszna śmierć! – Oddech Alvy zamieniał się w parę. – Dlaczego pokazujesz mi coś takiego?

Przejechałem rękawiczką po lodzie i odgarnąłem na bok śnieg, aby lepiej widzieć martwe oczy lisa.

– Widziałem kiedyś, jak topił się pies. Ale to coś innego. Myślałem, że być może cię zainteresuje. On jest taki spokojny, taki wieczny.

– Uważam, że to okropne. – Alva odwróciła się.

– Teraz uważasz to za okropne, ale założę się, że za dwadzieścia lat będziesz pamiętała o tym zamrożonym lisie. – Roześmiałem się. – Jeszcze na łożu śmierci będziesz o tym myślała.

– Nie bądź dziecinny, Jules.

Zrobiłem kilka zdjęć, a potem wróciliśmy do wsi. Na horyzoncie wyblakły resztki kolorów, krajobraz wokół nas zatracił się w ciemności. Zrobiło się zimniej, zacisnąłem pięści w kieszeniach. Wreszcie dotarliśmy do kafejki.

W środku Alva roztarła dłonie. Od niedawna malowała sobie paznokcie, a ja nieco nieufnie przypatrywałem się świecącym na czerwono końcówkom jej palców, oznace przełomu i przemian. Wypiliśmy gorącą czekoladę i rozmawialiśmy o mojej siostrze, która znowu miała kłopoty, ponieważ potajemnie w nocy wyszła bez pozwolenia.

– Mówią, że niedługo wyleci – powiedziałem. – Ona niczego nie traktuje poważnie.

– Lubię twoją siostrę – powiedziała tylko Alva. Spotkała Liz raz przelotnie w moim pokoju.

– I uważam, że jest piękna. Bardzo chciałabym mieć taką starszą siostrę.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Nagle zobaczyłem przechodzącą pod naszym oknem hienę. Wściekły spojrzałem za chłopakiem. Nie podobało mi się, jak Alva na mnie patrzy.

Nierozważnie opowiedziałem jej kiedyś o swoim ponizającym przeżyciu pod prysznicem i teraz obawiałem się, że uważa mnie za tchórza.

– Powiniennem dać mu w pysk – oznajmiłem pyszałkowato i upiłem łyk kakao. – Kiedyś bym go po prostu... Nie wiem, dlaczego nic nie zrobiłem.

Alva się roześmiała.

– Jules, według mnie to dobrze, że nic nie zrobiłeś. On jest przecież dużo większy od ciebie.

– Uniosła jedną brew. – Ile ty masz właściwie wzrostu?

– Metr sześćdziesiąt.

– A gdzie tam, taki duży z pewnością nie jesteś. Stań obok mnie.

Podnieśliśmy się z krzeseł i stanęliśmy obok stołu. Alva przewyższała mnie o kilka wstydliwych centymetrów. Przez kilka sekund staliśmy blisko siebie, poczułem jej słodkie nowe perfumy. Potem znowu usiadła.

– A poza tym masz czekoladowe wąsy – powiedziała.

– Wiesz, o czym czasami myślę? – Wytarłem górną wargę i spojrzałem na nią wyzywająco. – To wszystko jest jak zasiew. Internat, szkoła, to, co stało się z moimi rodzicami.

To wszystko zostało we mnie posiane, ale nie wiem, czym wykiełkuje. Dopiero kiedy dorosnę, nadejdą żniwa, ale wtedy będzie już za późno.

Czekałem na jej reakcję. Ku mojemu zdumieniu Alva się uśmiechnęła.

Początkowo nie rozumiałem dlaczego. Potem odwróciłem się i zobaczyłem za sobą dużego chłopaka ze średniej klasy, miał pewnie z szesnaście lat. Szedł w naszą stronę pewny siebie, uśmiechał się jak aktor. Alva patrzyła na niego tak, jak nigdy jeszcze nie spojrzała na mnie, a kiedy ten chłopak z nią rozmawiał, ogarnęło mnie beznadziejne uczucie niższości, które nigdy tak do końca nie zniknęło w następnych latach.

*

Przed stołówką dostrzegłem siostrę. Siedziała na ławce jak królowa na tronie, otoczona wianuszkami koleżanek ze szkoły, i paliła papierosa. Miała wtedy siedemnaście lat. Była ubrana w oliwkowozieloną kurtkę z kapturem i trampki, jasne włosy opadały jej na twarz. Była wyjątkowo wysoka jak na kobietę, mierzyła z metr osiemdziesiąt. Nadal wolała raczej biegać, niż chodzić, często myliła podziw z sympatią i robiła to, na co miała ochotę. Liz miała w sobie kokieterijną ciekawość męskiego ciała; jeżeli ktoś jej się podobał, nie zastanawiała się ani nie

wahała, tylko po prostu go sobie brała. Podczas wakacji zadawała się ze starszymi od siebie i już dwa razy przyprowadziła ją do internatu policja, z czego Liz była bardzo dumna.

Właśnie opowiadała o jakiejś dyskotecie w Monachium, a koleżanki w napięciu słuchały jej słów. Podeszedł do niej nauczyciel stażysta.

– Liz, proszę do klasy. Zaczęła się już godzina zajęć własnych.

– Wypalę tylko do końca – oznajmiła moja siostra. – A mówiąc szczerze, zupełnie nie rozumiem, dlaczego mam chodzić na te pieprzone zajęcia.

Liz miała niski głos, który mógł onieśmielać. Poza tym nadal mówiła zbyt głośno, jakby stała na scenie. Ale w pewnym sensie tak właśnie było.

Na oczach wszystkich zaczęła kłócić się z nauczycielem, krzycząc gniewnie:

– Nie będę brała udziału w tych gównianych lekcjach, daruj sobie.

Do wszystkich nauczycieli stażystów mówiła na ty.

– Poza tym nie czuję się dobrze... – dodała z niedopałkiem w kąciку ust. – Jestem chora.

Po tych słowach sama wybuchnęła śmiechem. Zaciągnęła się mocno raz jeszcze i westchnęła.

– No dobrze, przyjdę za pięć minut.

– Za trzy – zaprotestował stażysta.

– Za pięć – powtórzyła Liz.

Uśmiechnęła się przy tym do niego tak zalotnie i bezczelnie, że nauczyciel spuścił wzrok pod jej spojrzeniem.

Wszystko to wydarzyło się tuż przed zimowymi feriami. Na drzwiach wejściowych do

korytarzy na piętrach wisiły świąteczne wieńce, do kolacji podawano mandarynki, pierniki, orzechy i poncz. Nastrój radosnego oczekiwania przykrył internat jak wielka czapa. Ale ja nie lubiłem ferii. W szkole nie było rodziców, co stawiało mnie na równi z innymi. Jednak bolało mnie za każdym razem, kiedy wyjeżdżałem do ciotki do Monachium, a moi koledzy jechali do swoich rodzin.

Nasza ciotka była wtedy kobietą lekko po pięćdziesiątce, troskliwą i łagodną, wieczorem zawsze miała kieliszek wina w dłoni i krzyżówkę na kolanach. Śmierć młodszej siostry przepędziła radość z jej oblicza, ciotka przytyła w ostatnich latach i robiła wrażenie, jakby oglądała jakąś grę, lecz nie rozumiała już jej zasad. Nadal jednak udawało jej się wykrzesać uśmiech na twarzy, kiedy potrzebowaliśmy pocieszenia. Chodziła z nami na kręgle i do kina, opowiadała o rodzicach, wydawała się jedynym człowiekiem, który rozumiał skomplikowaną naturę Marty'ego.

Nocą często siedzieli we dwoje w kuchni, pili herbatę i rozmawiali. W jej towarzystwie głos mojego brata tracił nutę przemądrzałości, a czasami, gdy opowiadał o braku szans u dziewczyn, pozwalał, aby brała go w ramiona.

Podczas ferii zimowych urządziliśmy w dużym pokoju jej mieszkania obóz na

materacach. Liz rzucała wszystko na jedną kupę, Marty skrupulatnie składał swoje rzeczy, a posłanie wyglądało tak równo, że człowiek bał się wręcz na nim usiąść. Było to dziwne uczucie, ta ponowna bliskość z rodzeństwem. Z reguły mało mieliśmy ze sobą kontaktu, w internacie istniało zbyt wiele światów równoległych; choć przy obiedzie siedzieliśmy rozdzieleni tylko jednym stolikiem, wydawało się, jakbyśmy przebywali w innych krajach. Teraz leżeliśmy we trójkę przed telewizorem i oglądaliśmy film o egipskim faraonie Ramzesie II.

Władca ten, jak się dowiedzieliśmy, wierzył, że posiadał władzę nie od momentu urodzenia, lecz już w łonie matki. Nazywał to „byciem silnym w jaju”. Ja i moje rodzeństwo przejeśliśmy

ten koncept. „Jesteś silny w jaju?”, pytaliśmy się nawzajem, wybuchając przy tym śmiechem.

A kiedy rozmawialiśmy o kimś, komu coś się nie udało, mówiliśmy: „No tak, nic dziwnego, nie był po prostu silny w jaju”.

Rano w Wigilię natknąłem się w komórce – szukając świeczek – na moją siostrę.

Gwałtownie zamknęła za mną drzwi.

– Merry Christmas, mały. – Liz uściskała mnie, a potem dalej skręcała jointa.

Obserwowałem zachwycony, jak zwilża językiem papierek i przymyka przy tym oczy.

– A jak tam właściwie jest między tobą i Alvą? – Zaciągnęła się i wydmuchała dym małymi kólkami. – Pasowałyby do ciebie.

– Nic z tego, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Moja siostra skinęła współczująco głową, a potem dała mi kuksańca.

– Czy ty w ogóle całowałeś się już z dziewczyną?

– Nie, z nikim od czasu... Nie pamiętasz?

Liz pokręciła tylko głową. Od zawsze robiła wrażenie, jakby żyła wyłącznie w teraźniejszości i zapominała wiele rzeczy, podczas gdy ja uwielbiałem przyglądać się temu, co minione, i zastanawiać się, do czego dałoby się to przyporządkować.

– Nic dziwnego, że nie masz dziewczyny. – Spojrzała krytycznie na moje ubranie, które z ciotką kupiliśmy w Woolworcie. – Ubierasz się jak zasrany ośmiolatek. Musimy koniecznie pójść razem kupić jakieś ciuchy.

– A więc powinienem być bardziej cool?

Liz zamyślona spojrzała na mnie z góry.

– Uważaj. To, co teraz powiem, jest bardzo ważne i nie wolno ci nigdy o tym zapomnieć.

Zaciekawiony spojrzałem na nią pewny, że uwierzę w każde jej słowo.

– Nie jesteś cool – powiedziała do mnie. – Niestety, to prawda i nigdy tego nie zmienisz.

A więc nawet nie próbuj. Ale jedno, co możesz zrobić, to chociaż tak wyglądać.

Przytaknąłem.

– Czy to prawda, że niedługo wylecisz ze szkoły?

Liz pociągnęła nosem.

– Co? Kto to opowiada?

– Nie wiem, tak się mówi. Co będzie, jeżeli kiedyś złapią cię z jakimiś narkotykami? Nie mam na myśli haszu, ale te... inne substancje.

– Nie złapią. Jestem silna w jaju.

Myślałem, że doda jeszcze: „A poza tym i tak nie biorę takich rzeczy”, ale nie zrobiła mi tej przyjemności.

– Wiesz – na jej ustach pojawił się zimny uśmiech – wiele wydarzyło się w ostatnich tygodniach. Niekiedy naprawdę myślę, że ja po prostu...

Szukała słów.

– O czym myślisz? Co się stało?

Rozbawiło ją chyba, że patrzę na nią z szeroko otwartymi oczami, w każdym razie tylko potrząsnęła głową.

– Ach, nic, mały, zapomnij. Nie wylecę ze szkoły, okay? – Puściła do mnie oko. – Raczej obleję egzamin.

Później razem z ciotką dekorowaliśmy duży pokój, w radiu leciały chansons i przez moment było jak kiedyś, tylko że brakowało dwojga ludzi. Było jak kiedyś, tylko że nic nie było jak kiedyś.

*

W wigilijny wieczór sytuacja się zaogniła. Tego roku Liz po raz pierwszy nie obdarowała nas swoimi rysunkami, za to gdy śpiewaliśmy, akompaniowała nam na gitarze. W internacie widywałem ją często, jak ćwiczyła w skupieniu na schodach, ławce czy na boisku. Jednak mimo że też miała piękny głos, nie chciała zaśpiewać, jak kiedyś matka, *Moon River*.

– Raczej padnę trupem, niż zagram tę pieprzoną piosenkę. – Liz popatrzyła na swoje paznokcie. – Zawsze jej nienawidziłam.

– Uwielbiałaś ją – powiedział cicho Marty. – Wszyscy ją uwielbialiśmy.

Po kolacji graliśmy w „Barykadę”. Przez długi czas zanosilo się, że wygra Marty, aż w końcu połączyliśmy z siostrą siły i zamurowaliśmy go białymi klockami. Zawył i zwymyślał nas, zwłaszcza gdy okazało się, że wygrała Liz, która zaczęła wydawać tryumfalne okrzyki.

Kiedy sprzątaaliśmy grę, moja siostra włożyła jeden z białych kamieni do kieszeni spodni.

– Na szczęście – wyszeptala do mnie.

To były najpiękniejsze chwile tych świąt. Wydawało się, że wieczór spokojnie dobiegnie końca, kiedy ciotka zapytała nas o internat.

Milczałem, a Marty wygłosił litanie skarg (w owym czasie wszcząłby kłótnię na każdy temat). Potem Liz w sposób prowokacyjnie szczery zaczęła mówić o wieczorach nad jeziorem, imprezach i chłopcach. Z upodobaniem roztrząsała słabości poszczególnych nauczycieli oraz nieporadność swoich adoratorów i nieustannie wybuchała przy tym wulgarnym śmiechem.

Marty się skrzywił.

– Liz, czy zawsze musisz przechwalać się tymi historiami? Nie chciałbym ci przerywać, ale to wkurzające. – Typowa zagrywka Marty’ego. Zawsze mówił: „Nie chciałbym...”, a potem robił coś dokładnie przeciwnego.

Liz machnęła ręką.

– Jesteś wkurzony, bo sam nie masz dziewczyny. Wiesz, jak w internacie nazywają twój pokój? Celą masturbacji.

– Czego? – zapytała ciotka.

– Ach, zamknij się, Liz – powiedział Marty.

Bawił się bezwiednie kołnierzem skózanego płaszcza, którego nie zdejmował nawet w ogrzewanych pomieszczeniach. Twarz miał koloru starego papieru, długie włosy były przetłuszczzone, a do tego zapuścił sobie jeszcze niedawno kocią bródkę. Niechlujny mały kryminalista z Philly, gotowy w każdej chwili obrabować supermarket i uciec z pięcioma dolarami i butelką mleka.

– Martw się raczej tym, co mówią w szkole na twój temat – powiedział.

– A co mówią? – zapytała Liz.

– Ach, nic. – Marty prawdopodobnie zorientował się, że popełnił błąd.

Liz spojrzała poważnie na niego, potem na mnie.

– Wiesz, o czym on mówi?

Milczałem. Oczywiście, że wiedziałem, co Marty ma na myśli. Także do mnie docierały historie, które opowiadano o naszej siostrze. To musiały być kłamstwa. Rozpowszechniane przez rozczarowanych chłopców lub zazdrosne dziewczyny. Ale co ja tak naprawdę wiedziałem o własnej siostrze?

– Co mówią w szkole? – zainteresowała się teraz także ciotka.

– Że jest... dziwką – powiedział Marty, sam przerażony niszczycielską siłą własnych słów. Widać było, że nie chce mówić dalej, ale jakby ulegał jakiemuś wewnętrznemu przymusowi. –

Że za narkotyki sypia z mężczyznami – ciągnął. – Że raz nawet zaszła w ciążę.

Rozległ się brzęk. Liz rzuciła łyżeczkę na talerz. Poderwała się gwałtownie i wyszła z pokoju. Kilka sekund później usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi do mieszkania. Podbiegłem do okna i zobaczyłem już tylko, jak moja siostra oddała się szybkim krokiem i znika w ciemnościach.

Następnego ranka wprawdzie wróciła, ale już kilka tygodni po świętach rzuciła szkołę i na lata zniknęła z mojego życia. Powiedziała jednej z koleżanek, że matura to nie dla niej i że chce zobaczyć, jaki jest świat. Że musi to zrobić. Wtedy długo szukałem powodów jej decyzji.

Każdego dnia czekałem na znak od Liz, na wyjaśniający wszystko list, kartkę lub telefon. Jak rozbitek, który niestrudzenie kręci gałkami radiostacji w nadziei, że wreszcie usłyszy ludzki głos.

Jednak przez lata od mojej siostry docierał jedynie szum.

Reakcje chemiczne

(1992)

Czekałem na parkingu internatu i obserwowałem świetliste ślady samolotów na czerwonym horyzoncie. Czuję lekki ucisk w okolicy żołądka, jak zwykle, kiedy spektakl przyrody łączył się z moimi tęsknotami i wspomnieniami. Miałem dziewiętnaście lat i byłem tuż przed maturą. Przyszłość stała przede mną otworem, a mnie samego rozpiekało zwodnicze uczucie szczęścia: jestem młodym człowiekiem i jeszcze nie popełniłem w życiu żadnego poważnego błędu.

Kwadrans później na teren internatu wjechał wreszcie czerwony fiat. Wsiadłem i pocałowałem Alwę w policzek.

– Spóźniona, jak zwykle – powiedziałem.

– Lubię, kiedy na mnie czekasz.

Wrzuciła bieg i szybko przyspieszyła.

– Jak było w domu? – zapytała. – Jakieś afery z kobietami, o których powinnam wiedzieć?

– Wiesz, że nie jestem człowiekiem stroniącym od zabawy...

– Jules, jesteś człowiekiem straszliwie stroniącym od zabawy.

Alwa nie odpuszczała i wypytywała mnie o pewną dziewczynę z naszej klasy – byłoby nie fair podawanie tutaj jej nazwiska.

– Zdarzyło się coś? Widziałeś ją podczas ferii?

– Oskarżony pragnie skorzystać z prawa do odmowy zeznań.

– No, powiedz. Jak było?

Westchnąłem.

– Nie widzieliśmy się.

– No, monsieur Moreau, oczekiwałam czegoś więcej z pana strony.

– Bardzo śmieszne. Myślę, że ona raczej mnie nie chce.

– Czy wiesz, jak świetnie wyglądasz? Oczywiście, że cię chce.

Alwa uśmiechnęła się szeroko. Uwielbiała umacniać moją pewność siebie i swatać mnie z innymi dziewczynami.

Muszę tutaj nadmienić, że w ostatnich latach wystrzeliłem w górę. Miałem włosy tak czarne, jak niegdyś ojciec, odziedziczyłem też silny zarost na twarzy, ale goliłem się sporadycznie.

Zadziwiło mnie, jak dorośle wyglądam i jak przyczajone i wrogie jest moje spojrzenie.

W ostatnim roku szkoły chodziłem krótko z dwiema dziewczynami, ale nie były to raczej głębsze relacje. O wiele bardziej interesowałem się wtedy fotografią. Nauczyłem się wszystkiego

na temat reakcji chemicznych koniecznych do wywołania negatywu; w piwnicy internatu znajdowało się puste pomieszczenie, w którym pozwolono mi urządzić ciemnię.

Ciągnęło mnie do natury, mogłem godzinami siedzieć z aparatem fotograficznym ojca nad brzegiem jeziora albo wałęsać się po łąkach i lasach i dopiero późnym wieczorem wracać ze zdobyczą do domu. Rzeczy widziane przez obiektyw aparatu ożywały, kora drzew przemieniała się nagle w twarze, struktura wody nabierała sensu, a ludzie wydawali się inni – niekiedy rozumiałem ich spojrzenia dopiero wówczas, gdy oglądałem je przez wizjer aparatu.

– Nie chcę teraz słyszeć żadnych wymówek – powiedziała twardo Alva. – Nie możesz zawsze być nieśmiały, zostało ci już tylko kilka tygodni. Chcesz opuścić szkołę i nic nie zdziałać z tą dziewczyną? – dodała z naciskiem.

Patrzyłem milcząco przez szybę. Krajobraz zaciemniał się, wyglądało to tak, jakby położono pierwszą warstwę gruntu pod nocny pejzaż.

Po chwili Alva trąciła mnie.

– O czym myślisz, kiedy tak patrzysz?

– Co? Jak patrzę?

Alva zaprezentowała dosyć udaną imitację zatopionego w świetle marzeń, lekko zidiociałego melancholika.

– O czym teraz myślisz? – zapytała raz jeszcze, ale ja nie odpowiedziałem.

Od kiedy zamieszkałem w internacie, widywaliśmy się prawie każdego dnia. Alva stała się dla mnie namiastką rodziny i pod wieloma względami była mi bliższa niż rodzeństwo czy ciotka. Jednak w ostatnich latach spoważniała. Nadal jednak bywały chwile, kiedy udawało mi się skłonić ją do śmiechu. Patrzyliśmy na siebie, słuchając razem muzyki, i każde z nas wiedziało, co myśli to drugie. Ale pojawiła się tymczasem również inna Alva. Taka, która coraz częściej mi się wymykała i która z papierosem w ustach, pełna nienawiści do samej siebie siedziała na ławce i mówiła na przykład, że byłoby lepiej, gdyby się w ogóle nie urodziła.

Ze swoimi rudymi włosami i bladą cerą podobała się chłopakom, ale zaczęła się spotykać z pierwszym, dopiero kiedy skończyła szesnaście lat. Potem nieśmiało wiązała się z jednym czy drugim z wyższych klas. Jednakże o ile Liz, według mnie, po prostu lubiła seks i w każdym mężczyźnie potrafiła dostrzec coś wyjątkowego, o tyle Alva używała własnego ciała jako broni przeciwko samej sobie. Gdy tylko ktoś zaczynał coś do niej czuć, szybko go odrzucała. Jakby coś w niej potłukło się na kawałki, które raniły każdego, kto zbyt blisko się do niej zbliżył.

Kiedy miała siedemnaście lat, całkowicie odsunęła się od mężczyzn. Wydawało się, że jakakolwiek forma bliskości budzi w niej wstręt. Krążyły pogłoski, że raczej interesuje się kobietami. Albo że jest dziwna. Alvy to nie obchodziło. Uczyła się jak opętana i czytała książki filozoficzne – Sartre’a i nieustannie Kierkegaarda. Wprawdzie od niedawna miała znowu chłopaka, ale na ten temat nigdy nie rozmawialiśmy.

Tamtego wieczoru jechaliśmy do knajpy. Po drodze Alva musiała z budki zadzwonić do swojej matki.

– Z Jules’em – usłyszałem, jak mówi. – Nie, nie znasz go, to był ktoś inny. – Jej głos stawał się coraz mocniejszy. – Wróć, kiedy będzie mi pasowało – krzyknęła w końcu i walnęła słuchawką o wiedełki.

Matka ze złośliwą czujnością pilnowała, co robi jej córka, a Alva już kilka razy groziła jej, że po maturze po prostu zniknie i nigdy nie wróci. Nie wiedziałem, co się między nimi wydarzyło. Alva zawsze trzymała mnie z daleka od swojej rodziny i uciniała wszelkie pytania dotyczące rodziców. Kilkakrotnie odbierałem ją z domu, ale za każdym razem czekała na mnie pod

drzwiami, bylebym tylko nie wszedł do środka.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, kiedy znów wsiadła do samochodu.

Kiwnęła głową i odpaliła silnik, ale coś nadal w niej buzowało, a jej oczy wydawały się o jeden odcień ciemniejsze. Alva zwykle jeździła za szybko, a tym razem nawet na zakrętach przyspieszała. Otworzyła okno, jej włosy powiewały w podmuchach powietrza. Była to jedna z tych chwil, kiedy obawiałem się, że – nie potrafię tego ująć inaczej – może być dla mnie w jakiś sposób niebezpieczna. Tę grę Alva prowadziła ze mną już od miesięcy. Doskonale zdawała sobie sprawę, że się boję, kiedy jedzie zbyt szybko, wiedziała również, że nie chcę się przed nią do tego przyznać. I dlatego właśnie z coraz większą prędkością brała zakręty swoim czerwonym fiatem – jakby sprawiało jej przyjemność, że wiercę się na swoim siedzeniu i nie mówię ani słowa. Ale tego wieczoru, kiedy zorientowałem się, że gotowa jest posunąć się do ostateczności, dałem za wygraną.

– Jedź wolniej – poprosiłem, gdy znowu chciała ściąć zakręt z nadmierną prędkością.

– Boisz się?

– Tak, do cholery. Jedź, proszę, wolniej.

Alva natychmiast zdjęła nogę z gazu i obdarzyła mnie tryumfującym i jednocześnie dziwnie mrocznym uśmiechem.

Zaparkowała czerwonego fiata pod zasyfiałą wiejską knajpą o nazwie Jackpot, miejscem spotkań uczniów liceum. Z szafy grającej wydobywał się zazwyczaj staromodny rock, stół do bilardu był postrzępiony. Z tyłu, przy tarczy do rzutków, stały dwa automaty do gry, które emanowały tajemniczą siłą i przyciągały wszystkie upadłe egzystencje w powiecie.

Zamiast wejść do knajpy, siedzieliśmy jeszcze przez chwilę w samochodzie. Alva ściszyła radio i otworzyła puszkę piwa. Potem spojrzała na mnie znacząco.

– Otwórz schowek.

W środku znalazłem kanciasty, zapakowany kolorowo prezent.

– To dla mnie?

Kiedy skinęła głową, rozerwałem opakowanie. Album ze zdjęciami z naszego dzieciństwa i młodości, wszystkie opatrzone krótkimi, czułymi wierszami. Musiała siedzieć nad tym godzinami.

Byłem tak wzruszony, że przez moment nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Dlaczego mi to dajesz?

– Ach, pomyślałam, że się ucieszysz – rzuciła jakby od niechcienia.

Spojrzałem. Były tam nasze zdjęcia nad jeziorem, podczas wspólnych wycieczek na koncerty i festiwale, na festynie ulicznym w Monachium czy też w moim pokoju w internacie.

Objąłem Alwę. Dostrzegła moją radość i zaczerwieniła się.

Jak zwykle ostatnio, znowu zaczęła mówić o swojej ulubionej powieści, książce Carson McCullers *Serce to samotny myśliwy*.

– Musisz wreszcie ją przeczytać.

– Tak, wiem, niedługo to nadrobię.

– Jules, proszę. Chcę wiedzieć, co o tym myślisz. Już samo to, jak bohaterowie spacerują nocą samotnie, pełni niepokoju... A na końcu wszyscy lądują w tej kawiarence, jedynej, która jest otwarta o tak późnej porze. – Zawsze podniecała się, gdy mówiła o książkach. – Chciałabym być taką literacką postacią. Taką, która samotnie włóczy się nocą po mieście, a po północy idzie do kawiarenki.

Głos Alvy był cichy, oczy jej błyszczały, bardzo to lubiłem.

Opowiedziałem jej o swoich feriach w Monachium i o tym, jak odwiedziłem dom, w którym dorastałem.

– Wszystko odnowili. Zlikwidowali nawet huśtawkę na podwórzu i domek na drzewie, rosną tam teraz kwiaty. Wszystko wygląda tak inaczej, obco. Kiedy tam byłem, czułem się obserwowany jak złodziej.

Alva, w przeciwieństwie do mnie, prawie w ogóle nie mówiła o swoim dzieciństwie. Raz tylko zwierzyła mi się, że jako dziecko w szczególnie piękne dni spędzane z rodziną odczuwała zawsze ból, że te chwile miną. A im głębiej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej w tym krótkim stwierdzeniu odnajdywałem siebie.

Patrzyłem, jak dwóch uczniów wychodzi z drzwi Jackpotu.

– Chcesz może? – zapytała Alva.

Nic nie odpowiedziałem, ale wydało mi się ważne, aby się najpierw wyprostować. Wtedy zobaczyłem, że skręca jointa. Nie próbowałem jeszcze narkotyków.

– Tak, jasne – powiedziałem. – Skąd masz?

– Jestem szefową kartelu narkotykowego, nie wspominałam ci o tym?

– Szefową? Kazałaś już kiedyś kogoś ukatrupić?

– Trzeba było, kilka razy.

Rzuciła mi mroczne spojrzenie, całkiem przekonujące.

Dotychczas do kwestii narkotyków Alva podchodziła raczej z rezerwą. Kiedy joint był gotowy, zaciągnęła się i mi go podała.

– Musisz wziąć głęboki wdech i zatrzymać dym w płucach.

Skinąłem głową, na początku jeszcze kaszlałem, ale po jakimś czasie udało się i zakręciło mi się w głowie. Wyciągnąłem się na siedzeniu i znowu zacząłem myśleć o mieszkaniu, które musiałem opuścić jako dziecko. Ku swojemu przerażeniu nie byłem w stanie przywołać go w precyzyjnych obrazach, nie umiałem nawet sobie przypomnieć, jak wyglądały poszczególne pokoje. Gdzie wisiał zegar w kuchni? Jakie obrazki miałem na ścianach?

Kiedy tak rozmyślałem, w mojej pamięci pojawiła się taksówka skręcająca za róg

w nocnej poświacie. Ciągle widziałem tę scenę przed oczami. Chciałem coś krzyknąć, ale taksówka już zniknęła. Wiedziałem, że ten obraz jest dla mnie bardzo ważny, miałem jednak poczucie, jakby to wspomnienie nie było jeszcze w pełni gotowe, jak fotografia, która leżała jeszcze w kuwecie z wywoływaczem.

– Co jest? – zapytała Alva.

– Nic, dlaczego?

– Drżysz.

Teraz sam to zauważyłem i odetchnąłem kilka razy głęboko. W końcu uspokoiłem się, a myśl o odjeżdżającej taksówce wyblakła.

– A co się właściwie dzieje z twoim rodzeństwem? – spytała. – Jak często je widzisz?

Zaciągnąłem się głęboko i zastanawiałem się, czy opowiedzieć jej o obcości, jaka wkradła się między mnie i moje rodzeństwo. Ale wzruszyłem tylko ramionami.

– Moja siostra mieszka w Londynie, tak myślę. A brat w Wiedniu.

– To raczej ich nie widzisz?

– Nie... Właściwie to w ogóle.

Alva wyjęła mi jointa z ręki i pociągnęła, rozżarzając go. Nastawiła radio głośniej i zamknęła oczy. Przez chwilę pozostawała nieruchoma. Potem, nadal z zamkniętymi oczami, chwyciła

mnie za rękę. Nie zrobiła nic więcej, nie przysunęła się bliżej, tylko mnie tak trzymała. Ścisnąłem jeden raz. Ona także. A potem zabrała rękę.

*

W weekend, po długim czasie, odwiedził mnie Marty. Obejrzał mój pokój, a potem poszliśmy razem do jego samochodu, używanego mercedesa. Nie za bardzo rozumiałem, co dokładnie robił mój brat oprócz swoich studiów informatycznych, ale wyglądało na to, że brał udział w kilku udanych projektach. Nie tak dawno z Tonim, swoim byłym współlokatorem z pokoju w internacie, oraz z jakimś bogatym kolegą założył firmę, która zajmowała się tak abstrakcyjnymi dla mnie pojęciami jak „usieciowienie” i „informacja”. Wydawało się, że nieszczęśliwe lata pobytu w internacie uczyniły go bardziej świadomym swoich celów.

Z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Marty zbudował trzystopniowe schodki, które prowadziły go wprost na samą górę.

– Myślisz, że uda się z twoją firmą? – zapytałem.

– Będziemy rozchwytywani. – Mój brat wyszczerzył zęby. – Jesteśmy silni w jaju!

Dotarliśmy do samochodu. Z radością zobaczyłem, że przyjechał także Toni. Nadal był tak samo umięśniony jak za szkolnych czasów. Opierał się rozluźniony o drzwi kierowcy i gryzł

jabłko.

– Niejaki Moreau Jules – przywitał mnie.

– Niejaki Brenner Anton – powiedziałem.

Uściskaliśmy się. Kiedy kilka lat temu zostałem członkiem drużyny lekkoatletycznej, często razem z Tonim ćwiczyłem z ciężarami na siłowni w internacie. Potem kilka razy byliśmy na piwie. Nauczył mnie kilku sztuczek magicznych i trików karcianych i nadal marzył o Liz.

Później, po kolejnej operacji kolana, został sportowym inwalidą i uznał, że w ramach pocieszenia ma prawo do ożenku z moją siostrą.

Kiedy go o to zapytałem, skrzywił się tylko.

– Czy ona wreszcie odpowiedziała na mój list miłosny?

W trójkę poszliśmy nad jezioro. Marty, w przepływie geniuszu, przewidywał powstanie internetu („To będzie nowy świat, Jules, rozumiesz? Stary świat już odkryto, ale my wszyscy możemy raz jeszcze zostać pionierami”). Przyjrzałem mu się: przedziałek, okulary bez oprawek, marynarka i plecione skórzane buty. Z kokonu ubranego na czarno nerda wyszedł prymus Harvardu. Nawet jeżeli ze swoim długim nosem i cienkimi ustami nie był zbyt piękny („Twarz jak nieudany szkic ołówkiem Sempégo”, powiedziała raz Liz), to teraz wyglądał o niebo lepiej niż w czasie szkoły, a poza tym tryskał energią.

– Twój brat będzie perfekcyjnym menedżerem, zawsze to wiedziałem – powiedział Toni.

– Ja tylko podczepiłem się pod niego.

Jednakże Marty nie pozbył się swoich starych dziwactw i obsesji: musiał przejść przez środek wszystkich kałuż, jakie znalazły się na naszej drodze. Już w internacie nie wyszedł z pokoju, nie nacisnąwszy wcześniej kilka razy klamki. Niekiedy były to cztery razy, kiedy indziej dwanaście, a potem osiem. Wyglądało na to, że z naukową precyzją szaleńca opracował logiczny system, ale mimo że zawsze liczyłem razem z nim, nigdy nie umiałem dociec, na czym polega.

Obaj wypytywali mnie o życie w domu dziecka. Co miałem powiedzieć? Po dziewięciu latach tak dobrze opanowałem rolę wesołego, towarzyskiego uczniaka, że nawet sam

wierzyłem niekiedy w to, że naprawdę jestem taki wyluzowany. Nadal nigdy nie mówiłem o rodzicach, a moim największym marzeniem było to, żeby nie być już tym cholernym sierotą, lecz po prostu kimś normalnym. Wspomnienia o rodzicach zostawiłem, dobrze zapakowane, w kącie własnej świadomości, zaprzestałem także zupełnie wizyt na ich grobie, gdzie dawniej bywałem dość często.

– Nie chciałbym cię martwić – powiedział Marty – ale z Liz nie jest najlepiej. Była u mnie niedawno w Wiedniu i wyglądała okropnie. Za dużo bierze tych świństw.

– Ale przecież zawsze to robiła.

– Mówię o twardych narkotykach. Chyba żałuje, że rzuciła szkołę.

– Skąd wiesz?

– Wydawała się smutna, kiedy poszła ze mną na uniwersytet. A poza tym wiem, że tego żałuje.

Nie umiałem na to odpowiedzieć. Przez kilka lat nie słyszałem o Liz, później nawiązaliśmy luźny kontakt. Ostatni raz widziałem ją kilka miesięcy temu w Monachium. Przelotne spotkanie, jak zawsze.

Mój brat, aby zmienić temat, opowiedział mi o swojej dziewczynie Elenie, którą poznał na uczelni. Kiedy zapytałem, czy ją kocha, Marty machnął tylko ręką.

– Miłość – oznajmił – to jest durne literackie pojęcie, Jules. To tylko reakcje chemiczne.

*

W dobrym tempie biegłem po stumetrowej bieżni. W trawie leżała Alva i czytała.

Zapiaszczona trawa i bieżnia były w okropnym stanie, mimo to boisko stanowiło coś w rodzaju duszy internatu. Tutaj popołudniami spotykały się różne kliki, aby uzgadniać plany na wieczór, czytać lub po prostu zabić czas.

Byłem dobrym sprinterem, nie biłem wprawdzie rekordów, ale podczas zawodów raz czy dwa wygrałem wyścig dla naszej drużyny lekkoatletycznej. Dysząc, zatrzymałem się przy Alvie.

Trzymała w ręku książkę wydawnictwa Reclam. Kiedy czytała, coś w niej się zmieniało. Jej twarz odprężała się, usta były lekko rozchylone, robiła wtedy nagle wrażenie nietykalnej i spokojnej.

Udało mi się zobaczyć dwa wersy, które przeczytałem na głos:

Wielka jest śmierć.

A nasze życie

to roześmiana...[1]

– Bardzo optymistyczne – powiedziałem. – Jak idzie dalej?

Alva zamknęła książkę.

– No, pobiegnij jeszcze jedną rundę! – rzuciła rozbawiona.

Po treningu wziąłem prysznic, przebrałem się i wróciłem do niej z aparatem fotograficznym. Zrobiłem Alvie kilka zdjęć, potem położyłem się obok niej. Wydaje mi się, że to ona pierwsza zaczęła mówić o tym, że koniecznie chce mieć kiedyś dzieci.

– A ile? – zapytałem.

– Chciałabym mieć dwie dziewczynki. Jedną bardzo samodzielną, która często będzie się ze mną sprzeczać, drugą bardzo do mnie przywiązaną i zawsze proszącą mnie o radę. Będzie pisała wiersze, które nie będą miały żadnego sensu.

– A jeżeli obie dziewczynki okażą się absolutnie nieznośne albo dziwne?

– No, mogą być trochę dziwne. – Alva uśmiechnęła się. Ze środka jej czoła zniknęła ta mała zmarszczka.

Potem powiedziała poważnie:

– Jules, muszę cię ostrzec, jeżeli będę miała trzydziestkę i żadnych dzieci, a ty także będziesz bezdzietny, wtedy chcę je mieć z tobą. Byłbyś dobrym ojcem, tego jestem absolutnie pewna.

– Ale to by oznaczało, że najpierw musielibyśmy się ze sobą przespać.

– Jakoś przeżyłabym tę straszną rzecz.

– Może ty. Ale kto powiedział, że ja jestem na to gotowy?

Uniosła brwi.

– Nie jesteś?

Rozmowa zacięła się na moment.

Spojrzałem zmieszany w kierunku budynku internatu. Rozgrzany cement parkingu błyszczał w słońcu jak rozbite szkło.

– Pewnie, brzmi nieźle – przyznałem. – Nie chciałbym być starym ojcem. Trzydziestka to także dla mnie granica. Tak więc w razie konieczności jestem gotowy cię zapłodnić.

– A jeżeli wtedy nie będziemy się już znali?

– To się nigdy nie stanie.

Popatrzyła na mnie przeciągle.

– Coś takiego zawsze może się stać.

Kocie oczy Alvy były zielone, nie wyblakłe i ciemne jak banknot dolarowy, lecz świetliście jasne. Ta zieleń tworzyła fascynując kontrast z rudymi włosami. Jej spojrzenie często miało w sobie coś nieobecnego, prawie zimnego. Nie było to spojrzenie dziesiętnastolatki, lecz zubożonej, niemłodej już kobiety. Ale kiedy powiedziała „Coś takiego zawsze może się stać”, wyraz jej oczu się zmienił i zniknął z nich cały chłód.

Kropla deszczu spadła jej na ramię. Spojrzeliśmy w górę. Ciężkie chmury przesłoniły słońce, zupełnie niespodziewanie rozległ się grzmot. Kilka sekund później lunęło.

Spakowaliśmy nasze rzeczy i uciekliśmy do mojego pokoju. Alva odkryła dżin, który dał mi Toni podczas odwiedzin. Ciągle nam dolewała i zanim się spostrzeżliśmy, wypiliśmy całą butelkę. Alkohol mnie rozluźnił, Alva natomiast była cały czas spięta.

– Zerwał ze mną – powiedziała nagle.

Jej chłopak miał już dwadzieścia parę lat – handlarz samochodów z miasta, według mnie niesympatyczny i robiący wrażenie prymitywa. Potrząsnęła głową.

– Ale pewnie traktowałam go strasznie. Zasłużyłam.

– Nie zasłużyłaś. I tak byłaś za dobra dla tego idioty.

– Wierz mi, zasłużyłam na to, że mnie rzucił. – A potem dodała prawie drwiąco: – Jules, ty widzisz we mnie kogoś, kim nie jestem.

– Nie, odwrotnie. Jesteś kimś, kogo w sobie nie widzisz.

Opróżniła szklankę, wzruszając ramionami, i od razu sobie dołała. Zaczęła mieć problemy z równowagą. Dzięki, Toni, pomyślałem. Nie wiem, dlaczego przywiozłeś mi ten dżin, ale jestem twoim dłużnikiem.

Przypomniałem sobie, jak w fiacie chwyciła mnie za rękę.

– A pamiętasz, jak w piątej klasie usiadłaś obok mnie?

– Dlaczego teraz o tym mówisz?

– Tak tylko... Dlaczego wtedy to zrobiłaś?

– Byłaś nowy i dziwnie się ubierałaś, niebieska i czerwona skarpetka, nic do siebie nie pasowało. I robiłaś wrażenie takiego smutnego i opuszczonego, a wszyscy sobie z ciebie kpili.

– Naprawdę? W ogóle nie zauważyłem.

– Śmiali się z ciebie, bo zawsze przekreślałeś słowa. „Razmażarka”, to jeszcze pamiętam.

Albo „zły ześlący” zamiast „źle słyszący”. – Wzięła do ręki moją kamizelkę obciążeniową, z którą zawsze biegałem, i przypatrywała się jej. – Usiadłam obok ciebie, żebyś nie był taki samotny. Ale kiedy potem wszyscy zaczęli mi dokuczać i mówić, że się w tobie kocham, to się przesiadłam.

– Stchórzyłaś.

– Zgadza się.

Spojrzeliliśmy sobie przeciągle w oczy.

– Alvo, jesteś pijana – powiedziałam.

– Nie, Jules, to ty jesteś pijany. Od kiedy właściwie pijesz dżin?

– Od zawsze, każdego dnia butelkę przed lekcjami. – Podeszedłem krok bliżej i wyjąłem jej kamizelkę z rąk. – Jest tyle rzeczy, których o mnie nie wiesz.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Na przykład?

Zrobiło się cicho. Im dłużej to pytanie wisiało w powietrzu, tym bardziej zmieniało swoją wymowę z zabawowej w poważną. Roześmiała się krótko, ale jej śmiech przypominał raczej dyszenie.

Jako że Alva nie chciała w tej scenie wziąć na siebie roli reżysera, to ja, kierowany jakimś wewnętrznym impulsem, włączyłem muzykę. *Via con me* Paola Contego, piosenkę, którą puściła mi matka tuż przed śmiercią.

Patrzyłem na Alwę, nadal miała wilgotne włosy. Jej sukienka wydawała się przyklejona do ciała, przezornie naciągnęła ją na gołe nogi. W tym momencie zacząłem poruszać się w takt muzyki. Trzęsły mi się kolana.

– Naprawdę dobrze tańczysz. – W jej głosie pobrzmiwało zaskoczenie.

Nic nie odpowiedziałam, zaprosiłem ją gestem. Kiedy machnęła odmownie ręką, wyciągnąłem dłoń w jej kierunku.

– Chodź – powiedziałam. – Tylko ta jedna piosenka... Chodź! – Zacząłem imitować rozgestykulowanego Włocha i teatralnie poruszałem ustami do słów piosenki.

It's wonderful, it's wonderful, it's wonderful,

Good luck my baby

It's wonderful, it's wonderful, it's wonderful,

I dream of you...

Alva zaśmiała się nerwowo. Potem jednak jej twarz spochmurniała, jakby nagle znalazła się ze swoimi myślami gdzieś daleko. Jej ciało rozluźniło się, potrząsnęła głową. Rozczarowanie zaparło mi dech w piersiach, zacisnąłem usta, przez jakiś czas tańczyłem jeszcze sam, dzielny błazen. W końcu jednak wyłączyłem muzykę, a chwilę potem Alva zabrała swoje rzeczy i wyszła.

*

Ferie w Zielone Świątki 1992 roku upływały spokojnie aż do dnia, kiedy w kuchni zastałem ciotkę zatopioną w myślach. Jej oczy dziwnie błyszcząły. Przestraszony stwierdziłem, że się zestarzała. I wtedy zrozumiałem. W tym dniu moja matka obchodziłaby urodziny.

Zawstydzilem się, że zupełnie o tym zapomniałem, jednak tylko z grzeczności zgodziłem się na propozycję ciotki, aby usiąść na kanapie i pooglądać zdjęcia rodzinne.

Matka jako dziecko, jako nastolatka, jako młoda kobieta z modnie przyciętymi krótkimi

włosami, w minispódniczce pośród grupy studentów. Jej zachwycone spojrzenie było zwrócone na przystojnego mężczyznę obok. Miał na sobie białą koszulę z krótkim krawatem i podwiniętymi rękawami, z fajką w ustach i z błyszczącymi oczami tłumaczył coś pozostałym.

– Twój ojciec potrafił być taki porywający, taki mądry – powiedziała ciotka. – Uwielbiał dyskutować całymi godzinami.

Na kolejnym zdjęciu odkryłem swoją francuską babkę, która już wtedy miała ów bezwzględny wyraz ust. Widać było też małego Marty'ego z jego farmą mrówek. Liz w sukienkach księżniczki, z różową kokardą we włosach, i w tle ja – patrzę na nich z otwartymi ustami. Na innym zdjęciu, już dziewięciolatek, stoję w kuchni i w skupieniu pochylam się nad garnkiem. Natychmiast poczułem tak znane mi zapachy kuchenne. Od lat już nie gotowałem, a czyż kiedyś nie uwielbiałem gotować? A może tylko to sobie wmawiałem, patrząc na stare fotografie? Zacząłem sprawdzać w pamięci i rzeczywiście odnajdowałem coraz wyrazistsze wspomnienia na ten temat.

Na kolejnym zdjęciu stałem przed drabinkami ze swoim ówczesnym pewnym siebie uśmiechem, otoczony gromadką chłopców i dziewczynek.

– Zawsze chciałeś znajdować się w centrum uwagi – powiedziała ciotka. – Zawadiaka.

Niech no tylko ktoś nie tańczył, jak ty zagrałeś, od razu robiłeś się nieznośny. I nic nie wydawało ci się zbyt niebezpieczne.

Miałem wrażenie, jakby mówiła o kimś innym.

– Naprawdę? – zapytałem.

– Byłeś wyjątkowym dzieckiem – mówia dalej. – Marty był zawsze mądrąłą, Liz pięknnością, ale ty byłeś sobą, bardziej wrażliwy od większości innych dzieci. – Roześmiała się.

– Chociaż paplałeś bez ustanku.

W końcu pojawiło się zdjęcie, na którym matka patrzy na mnie zamyślona, a ja piszę coś w swoim czerwonym notatniku.

Ciotka zatrzymała się przy tej fotografii.

– Ona tak cię kochała – powiedziała. – Byłeś jej skarbem.

Popatrzyłem na zdjęcie z matką. W dzieciństwie nazywała mnie „ślimaczkiem”, ponieważ w otoczeniu przyrody wystawiałem czułki jak ślimak i wchłaniałem w siebie wszelkie wrażenia. Zawsze kiedy czułem się niepewnie, zwracałem się do niej po radę. Była moim kompasem. Chwytałem jej spojrzenie, patrzyłem na dobrze znaną mi twarz, na dłoń spoczywającą na moim ramieniu.

Stwierdziłem zaskoczony, że łzy napłynęły mi do oczu.

– To jest... – wyjąkałem.

Ciotka ujęła moją głowę w dłonie i objęła mnie. Kiedy poczułem jej ciepło, nie mogłem się już powstrzymać i zacząłem płakać, tak jak od lat już nie płakałem.

– Tak mi jej brak – powtarzałem ciągle, a ciotka pocieszająco głaskała mnie po plecach.

*

Impreza odbywała się w górskiej chacie bez prądu i bieżącej wody. Wszystkie pisemne egzaminy zdaliśmy, żelazny uścisk szkoły powoli się rozluźniał, mieliśmy przed sobą już tylko ustne egzaminy maturalne. Moi koledzy z klasy postanowili jeszcze raz wspólnie poświętować.

Z przenośnego odtwarzacza CD leciała muzyka, śmialiśmy się głośniej, niż to było konieczne, i gadaliśmy głupstwa. Egzamin maturalny budził w nas uczucie, jakbyśmy obrabowali bank, a jedynym naszym problemem pozostawało ustalenie, co zrobić z pieniędzmi.

Alva nagle zniknęła. Często zdarzało się jej izolować, ale kiedy po godzinie nie wróciła, poszedłem jej szukać. Znalazłem ją kilkaset metrów od chaty. Stała na występie skalnym i patrzyła w przepaść.

Nadepnąłem nogą na kamień, Alva się odwróciła.

– Co z tobą?

– Nic.

Usiedliśmy obok siebie, spuszczać nogi nad urwiskiem. Księżyc rozświetlał dolinę przed nami.

– Przeczytałam wczoraj twoje opowiadania – powiedziała. – Bardzo mi się podobały.

Naprawdę, bardzo.

W ostatnich tygodniach znowu zacząłem pisać. Miałem wrażenie, jakby rozwarły się drzwi do mojego dzieciństwa, i poczułem, że pisanie sprawia mi taką samą radość, jak wtedy gdy miałem dziesięć lat. Wzorem dla moich opowiadań było *Nieźłomne serce* A.N. Romanowa, którego Alva ubóstwiała prawie tak samo jak Tokstoję czy McCullers.

– Naprawdę masz talent, Jules – stwierdziła. – Musisz pisać dalej, z pewnością zostaniesz kiedyś pisarzem.

– Sam nie wiem. Fotografie są precyzyjniejsze, prawdziwsze.

– Niekiedy kłamstwa bywają lepsze.

Zastępczą służbę wojskową miałem odbyć w Monachium i zapytałem ją tego wieczoru, czy nie chciałaby wynająć mieszkania razem ze mną i być może jakimś trzecim lokatorem. Alva wahała się, często mówiła, że chciałaby podróżować albo zamieszkać gdzieś daleko.

– Właściwie nic mnie tutaj nie trzyma – oznajmiła pewnego razu, a potem się roześmiała.

– Musiałabym zakochać się na zabój albo coś w tym rodzaju, żeby zostać.

Poczułem, że muszę coś zrobić, aby mocniej ją do siebie przywiązać. Jednocześnie jak z głębokiej brudnej studni wyławiałem swoje troski: że Alva odtrącała dotychczas każdego mężczyznę, który zbyt blisko się do niej zbliżył; że nie chciała ze mną zatańczyć i że ta odmowa mogła mieć tylko jeden powód. Co mam zrobić? – myślałem nieustannie. Co mam teraz zrobić?

– Wiesz, co powiedział mi ojciec przed śmiercią? – Nerwowo bawiłem się palcami.

– Powiedział, że ważne jest posiadanie prawdziwego przyjaciela, bratniej duszy. Kogoś, kogo się nie straci, kto zawsze będzie przy tobie. Że to ważniejsze niż miłość.

Alva odwróciła się do mnie. Jej wargi błyszczały w świetle księżyca.

– Dlaczego to mówisz?

– Niekiedy myślę, że to właśnie ty jesteś dla mnie tym przyjacielem, a ja dla ciebie. Mogę sobie wyobrazić, że będziemy się przyjaźnić przez całe życie, i cieszy mnie nieskończenie, że się poznaliśmy. Nie ma chyba nikogo, kto znaczyłby dla mnie więcej.

Położyłem dłoń na jej ramieniu i w tym samym momencie uświadomiłem sobie, jak rzadko jej dotykałem.

– Chcę przez to powiedzieć, żebyś pojechała ze mną do Monachium.

Zamyśliła się.

– Porozmawiamy o wszystkim jutro. Wtedy też się zdecyduję co do tego mieszkania.

Okay?

– Okay. Ugotuję coś, jeżeli chcesz.

– Umiesz gotować? Naprawdę potrafisz? – Była rozbawiona. – Tak, to brzmi dobrze.

Przyjdiesz po mnie o siódmej?

Skinąłem głową. Wyczułem, że chce jeszcze przez moment pobyc sama, więc wróciłem

do chaty. Jestem pewien, że potem miałem świetny nastrój i tańczyłem ze wszystkimi, ale nie umiem sobie tego dokładnie przypomnieć. Natomiast o wiele bardziej, na całe lata, zapadła mi w pamięć druga rozmowa z Alwą.

Poszliśmy wreszcie wszyscy spać. Tych parę łóżek zajęto w mgnieniu oka, reszta towarzystwa rozłożyła się po całej chacie na karimatach i w śpiworach. Noc była chłodna, ja wręcz marzłem. Za dużo wypilem i nie mogłem zasnąć, kiedy zamykałem oczy, kręciło mi się w głowie. Alwa leżała tuż obok, co jakiś czas słyszałem, jak przewija w tę i z powrotem swojego walkmana. W końcu odłożyła go na bok.

Cisza... Cisza...

Dla mnie zaczęła się teraz nocna praca, jak detektyw na miejsce zbrodni wróciłem do poszczególnych wydarzeń dnia i wszystko ponownie pojawiło mi się przed oczami. Każdy gest Alvy, który usiłowałem interpretować na nowo, każdy dialog, który ze sobą prowadziliśmy, na przykład kiedy rozmawialiśmy o naszych w większości beztroskich kolegach z klasy.

– Niekiedy mam wrażenie, że istnieją ludzie, którzy w ogóle nie wiedzą, że muszą umrzeć.

Bardzo mnie to zainteresowało. Dlaczego Alwa to powiedziała? Tęskniłem do niej, mimo że leżała tuż obok mnie. Wyobrażałem sobie, jak by to było mieszkać razem z nią w Monachium. Myślałem o kolacji następnego wieczoru, kiedy to zamierzaliśmy wszystko omówić.

Trąciła mnie, jeszcze zanim zapadłem w sen.

– Jules, śpisz już?

– Nie. Co jest?

– Wyczerpały się baterie w walkmanie – wyszeptała – a ja nie mogę zasnąć, jak czegoś nie słucham. Zawsze muszę się jakoś odprężyć, bo inaczej...

Czekałem, aż dokończy zdanie, ale nie zrobiła tego.

– Mam ci opowiedzieć bajkę?

Zaśmiała się cicho.

– Nie, chciałam zapytać, czy mogę się położyć przy tobie. Jak ktoś leży obok mnie, to nie jest mi tak strasznie.

Skinąłem głową, a ona wsunęła się do mojego śpiwora. Nie było w nim miejsca dla dwojga, Alwa leżała w połowie na mnie, a ja zaskoczony zauważyłem, jak zimne, a przede wszystkim gładkie w dotyku były jej nogi i całe ciało. Też jej było zimno, ale potem jej chłód wymieszał się z moim i zrobiło nam się cieplej. Oddech Alvy trafiał w moją szyję w regularnych odstępach, co mnie łaskotało. Czułem jej niezwykłą dla mnie bliskość, jej piersi na swoich plecach, jej kolana na swoich nogach; miałem erekcję. Nie wiedziałem, czy zauważyła. Przez chwilę leżałem bez ruchu, potem objąłem ją ramieniem.

– Ciągle myślę o swojej siostrze. Nie mogę po prostu przestać.

Głos Alvy załamywał się. Zdziwiony podniosłem głowę. Nigdy wcześniej nie mówiła, że ma siostrę.

– Co z nią? – zapytałem ostrożnie.

– Nie wiem... Była o rok starsza ode mnie, nie rozstawałyśmy się ani na chwilę, wszystko robiłyśmy razem. Rodzice mówili, że byłyśmy jak bliźniaczki. A potem... Kilka lat temu zniknęła.

Słuchałem oszołomiony. Miałem wrażenie, że inni nas obserwują, i wyciągnąłem szyję.

Alwa jakby na moment zupełnie o mnie zapomniała.

– Nazywała się Josephine – powiedziała bardziej do siebie. – Ale my mówiliśmy do niej

Phine.

– I co się stało?

– Nikt nie wie... Po prostu pewnego dnia nie wróciła do domu z lekcji baletu. – Alva drżała na całym ciele, mówiła urywanymi słowami. – Oczywiście szukała jej policja... Zajrzeli pod każdy kamień w okolicy. Były też psy, a akcja poszukiwawcza trwała miesiącami... Ale nic nie znaleziono oprócz jej kurtki, nawet ciała...

Odwróciła twarz. Czułem rozpacz, jaka z niej biła, i nie wiedziałem, co robić; mogłem po prostu być tuż przy niej. Przypomniałem sobie, jak wybiegła z klasy podczas projekcji filmu.

– Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz?

Nie odpowiedziała. Do chaty wpadło pierwsze poranne światło i wyłowiło z mroku zarysy naszych śpiących kolegów.

– Jestem zmęczona – powiedziała. – Porozmawiamy o tym jutro rano.

Przytuliła się do mnie.

– Nie możesz zasnąć przede mną – wyszeptała tak blisko mojego ucha, że aż mnie załaskotało. – To jest bardzo ważne, Jules. Bardzo ważne.

– Przrzekam. – Odsunąłem kosmyk jej włosów z twarzy. Dłoń Alvy przesunęła się szybko po mojej piersi, zanim ponownie znieruchomiła, jej oddech stawał się coraz wolniejszy i bardziej regularny. Pocałowałem ją w skroń i wyszeptałem: – Jestem przy tobie.

*

Następnego dnia zrobiłem zakupy na planowaną kolację. Zarezerwowałem uczniowską kuchnię w internacie i pojechałem autobusem do wsi, w której mieszkała Alva. Stwierdziłem zdziwiony, że tym razem nie czeka na mnie przed domem. Zadzwoiłem do drzwi. Żadnej reakcji. Ogród był starannie wypielęgnowany, w umytych oknach odbijało się zachodzące słońce.

Mimowolnie pomyślałem o siostrze Alvy i zadzwoniłem raz jeszcze.

Wreszcie odezwał się brzęczyk, wszedłem do środka.

Przedpokój był słabo oświetlony. W ciemnościach stała matka Alvy, połowę jej twarzy przykrywał cień. W jednej ręce trzymała papierosa, w drugiej słuchawkę telefonu, podenerwowana mówiła coś głośno. Alvy nadal nie było. Z kuchni poczułem silny zapach sosu bolognese. Nagle z jazgotliwym szczekaniem podbiegły do mnie dwa wielkie dalmatyńczyki.

Wyglądały identycznie, różniły się od siebie niewielką plamką na sierści, i przyglądały mi się gotowe do ataku.

– Ty zapewne do Alvy – powiedziała jej matka, odkładając słuchawkę. Na jej twarzy rysowało się dziwne przygnębienie.

Skinąłem głową i poszedłem z nią do kuchni, psy podreptały za nami.

– Chcesz może soku albo coli? – zapytała i skierowała się od razu do lodówki.

– Nie, dziękuję – powiedziałem, a ona zatrzymała się. – Jestem umówiony z Alwą na kolację i chciałem ją tylko odebrać. Jest na gorze?

Być może w moim głosie zabrzmiała nadzieja, co zirytowało jej matkę. Spojrzała na mnie przeciągle.

– Boże, jakiś ty młody. – Wydmuchała dym i dalej mi się przyglądała.

Poczułem się nieswojo.

– Tak, jest na gorze – dodała. – Pukanie nic nie da, znowu słucha głośnej muzyki.

Wszedłem po schodach, ostatnie stopnie wziąłem jednym susem i już stałem przy

drzwiach Alvy. Otworzyłem je – i zamarłem. Nie, raczej wystrzeliło mnie gdzieś na zewnątrz.

Mój świat legł w gruzach, jeszcze zanim zdołałem zamknąć drzwi.

Zbiegłem na dół. W głowie wirowały mi obrazy: puste puszki po piwie, książka do matmy i sweter na podłodze. Łóżko. Nagi, leżący na plecach mężczyzna. Naga Alva, siedząca na nim okrakiem. Jej rude, wilgotne od potu kosmyki, jej szyja lekko zaczerwieniona z wysiłku, jej ruchy wolniejsze tylko przez moment, jej lekko otwarte usta. Odgłosy, które wydawali, a zwłaszcza jej skierowane na mnie szybkie, ale przenikliwe spojrzenie.

Spojrzenie mocniejsze od każdej odpowiedzi, nieme, a jednak agresywne, oskarżycielskie i jednocześnie przeprasające. Zobaczyłem Alwę taką, jaka była, a jaką być nie chciała. Ale przede wszystkim ujrzałem w jej oczach siebie samego, to, czym się stałem, a czym jeszcze nie.

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby unicestwić to wszystko, co było między nami od tylu lat.

Kiedy zbiegałem po schodach, czułem wściekłość. Nie miałem już ochoty być dalej tylko chłopcem, chciałem odrzucić wszystko, co młodzieńcze, gdybym potrafił, wyгнаłbym to z siebie.

Na dole stała matka Alvy z dwoma psami. Chciała coś powiedzieć, ale ja po prostu stamtąd uciekłem, z tej wsi, przez graniczące z nią łąki, nie odwracając się za siebie ani razu.

Żniwa

(1997–1998)

We wspomnieniach widzę siebie na zaręczynach siostry. Nie jestem niestety elegancikiem w garniturze, który rozśmiesza towarzystwo. Ani naćpanym koką typem, który porusza air jordanami w rytm charlestona i flirtuje z każdą studentką. Nie, ten niepozorny dwudziestoczterolatek tam przy stole z napojami, który wyraźnie źle się czuje pośród tych wszystkich ludzi, *c'est moi*. Łamiąc kręgosłup poćwiartowanej cytrynie, której sok wyciskam do drinka, rozmyślam o przyjęciach urodzinowych i zabawach z dzieciństwa, na których zawsze znajdowałem się w centrum uwagi. Miałem nieprawdopodobną energię. Kiedy właściwie wszystko to utraciłem? Rzuciłem studia prawnicze, nie zyskałem sławy jako fotograf. Nic dziwnego, myślę złośliwie, jako że od dawna już noszę w sobie żarzącą się iskrę nienawiści do samego siebie.

Jedynym człowiekiem, który robi wrażenie podobnie zagubionego jak ja, jest Robert Schwan, narzeczony Liz. Odnoszący sukcesy pianista jazzowy, chociaż Liz nie lubi jazzu. To jest w ogóle zagadkowy wybór. Moja siostra miała zawsze słabość do przystojnych, interesujących mężczyzn i z żarłocznością, którą podziwiałem, brała sobie to, co chciała. Tymczasem jej narzeczony to kościsty mężczyzna o czarnych lokach, około czterdziestu pięciu lat, z przenikliwym spojrzeniem Paula Austera i absurdalną brodą, która nadaje mu pewien podejrzany rys.

– Co za nudziarz – odezwał się męski głos obok mnie. – Przed chwilą rozmawiałem z nim z dziesięć minut. Nie mam pojęcia, co ona w nim widzi.

Podszedł do mnie Marty ze swoją dziewczyną. Elena jest niska, czarnowłosa, krępawa, z bystrymi oczami, które wszystko rejestrują. Obejmuje mnie nieśmiało i zdejmuje mi przy tym kłaczek z marynarki.

Zakłopotany witam się z bratem. Ostatni raz widziałem go na pogrzebie ciotki, po którym rozstaliśmy się pokłóceni.

– Gratuluję – powiedziałem. – Doktorze Moreau.

– Nieźle, co? Nigdy nie myślałem, że obronię doktorat. – Na twarzy Marty’ego pojawiła się zapowiedź uśmiechu. – Chociaż właściwie to zawsze o tym myślałem.

Obserwowaliśmy naszą siostrę. Ma dwadzieścia siedem lat, tego wieczoru ubrana jest w niebieską sukienkę, jasne włosy upięła wysoko, a jej szpilki pozwalają jej górować nad wszystkim i wszystkimi. Liz widzi swoją urodę odbijającą się w spojrzeniach gości i pozwala, aby wszyscy się w niej zakochali. Wygłasza wylewne przemowy i całuje namiętnie narzeczonego, a potem jak pszczoła przelatuje od jednego gościa do drugiego, roztacza wszędzie swój urok i co chwila wybucha śmiechem, którym momentalnie zaraża innych, tak jak zaraża wszystko inne, co czyni moja siostra. Wygląda to tak, jakby Liz wykonywała polecenia niewidzialnego kamerzysty. „Jeszcze jeden promienny uśmiech, perfektnie, teraz nadąsana buzia, krótkie, filuterne spojrzenie”. Kiedy patrzy na kogoś, to jakby kierowała reflektor na samą siebie, a człowiek chce wtedy już tylko jej się przypodobać. Nawet ja.

I jak odległe wydają się nagle te czasy, kiedy jako dziecko zakradałem się w nocy do jej pokoju. Liz często wtedy jeszcze czytała lub rysowała komiksy i pozwalała mi wślizgnąć się pod swoją kołdrę. Za każdym razem byłem zafascynowany, jak ciepłe są jej nogi, wydawało się, że płonie. Z reguły opowiadała mi wtedy o chłopcach ze swojej klasy: jaki słodki był ten, a jaki bezczelny tamten. W napięciu słuchałem o tych jej zauroczeniach, cały dumny, że starsza siostra zwierza mi się z tego wszystkiego. Niekiedy leżałem po prostu obok niej w łóżku, podczas gdy ona czytała lub słuchała muzyki. Uwielbiałem te momenty. Matka i ojciec znajdowali się na końcu korytarza, Marty w pokoju obok, wszystko było bezpieczne i przytulne, a ja przysuwałem się do Liz, która przewracała spokojnie kartki, i potem po prostu zasypiałem...

Kolejne wspomnienie jest inne, całkiem nieprzyjemne.

Cztery miesiące po zaręczynach wyrывa mnie ze snu okropny telefon. Nie ma czasu do namysłu. Mieszkam wtedy w Hamburgu, w zapuszczonym domu w pobliżu portu. Natychmiast jadę pociągiem do Liz, do Berlina. W mieszkaniu, inaczej niż podczas mojej ostatniej wizyty, panuje przytłaczająca cisza. A przecież cisza nigdy nie pasowała do mojej siostry. Przez okna w korytarzu wpada mętne światło poranka, w kuchni w zlewie piętrzy się góra brudnych naczyń, przy wejściu o mało nie potykam się o zniszczoną gitarę.

W sypialni pachnie kadzidełkami i wymiocinami. Liz siedzi na podłodze, oczy ma półotwarte. Wokół niej kilkoro ludzi, prawdopodobnie jej przyjaciele, nie znam większości z nich. Po narzeczonym ani śladu.

– Co z nią?

Kłękam obok Liz. Ma na sobie tylko majtki i sweter, ziemiste cienie wokół oczu. Wydaje się, że mnie nie dostrzega, i mamrocze coś o wzmacniaczu, który jest w jej mózgu, i że może sterować miastem.

– Załamała się – mówi jedna z przyjaciółek, którą znam z uroczystości zaręczyn. – Stała na wpół naga na ulicy i wyzywała ludzi.

Odsuwam z twarzy Liz mokre włosy.

– Co wzięła?

– Nie wiem. Kokainę, MDMA, kilka downerów[2] i meskalinę, coś takiego.

– Gdzie jej narzeczony?

– Naprawdę nic nie wiesz? Robert dawno już od niej odszedł.

Zaniemówiłem na chwilę. Potem dzwonię do Marty’ego, do jego firmy w Wiedniu.

– W żadnym wypadku nie zawoź jej do szpitala – powtarza kilka razy. – Przyślę ci zaprzyjaźnionego internistę i przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

Nagle Liz się ożywia. Wyciąga rękę w moim kierunku i rozmawia ze mną jak z małym dzieckiem.

– Ach, mój mały braciszek, co ty tutaj robisz?

Potem śmieje mi się w twarz krzykliwym, szalonym śmiechem, a przy tym przez cały czas na mnie patrzy. Ale to nie jest jej siostrzane spojrzenie, nie ta wersja dopuszczalna bez ograniczenia wieku. To spojrzenie twarde, naśmiewające się, nieskończenie dominujące, z którym od lat zmagają się wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety, spojrzenie, któremu potrafił przeciwstawić się tylko Robert Schwan. Nadal śmieje się jak opętana, a mnie przechodzą ciarki.

Liz ma teraz niezgłębione czarne oczy. Oczy człowieka, który spada i spada, i spada.

A ona uwielbia to spadanie.

– Kiedy przyjedziesz? – pytam Marty’ego.

– Przylecę następnym samolotem. – Mówi, jakby go kto gonił, słyszę, jak zbiega po schodach i otwiera drzwi. Klamkę jak zawsze naciska kilka razy. Osiem klekoczących odgłosów.

– Wszystko będzie dobrze, słyszysz?

W tym momencie Liz daje mi znak, abym się do niej przybliżył, chce szepnąć mi coś na ucho. Jest teraz podniecona jak dziecko, któremu przypomniało się coś ważnego. Pochylam się w jej kierunku, z telefonem ciągle w dłoni, i kiedy jestem już bardzo blisko, moja siostra mamrocze: – Oniesztyjabiłamje.

– Co? – pytam.

– Ono nie żyje, zabiłam je – powtarza.

*

Latem 1998 roku pojechałem ze swoim rodzeństwem, po raz pierwszy od dzieciństwa, do Berdillac. To był pomysł Marty’go. Jakiś czas temu zlecił remont domu, który odziedziczyliśmy po babce, i stwierdził, że może pracować także we Francji, a Elena przyjedzie za kilka dni.

Rozmawialiśmy o tym jak o długo planowanym urlopie, jednak prawdziwym powodem naszej podróży było to, że martwiliśmy się o Liz. Po aborcji i załamaniu nerwowym nie doszła jeszcze całkiem do siebie.

We Francji trafiliśmy na bardzo złą pogodę, wycieraczki w samochodzie śmigły w tę i w tę. Mój brat prowadził mercedesa po lokalnych drogach, Liz spała. Patrzyłem przez szybę i rozpoznawałam wiele rzeczy: dziwnie znajome zamki, świetliste barwy pól. Przypomniałem sobie srebrne monety frankowe, którymi bawiłem się jako dziecko. Ojca za kierownicą, matkę słuchającą kasyety Beatlesów.

W Berdillac przestało padać, powietrze było świeże i przyjemnie chłodne. Marty wysiadł pierwszy i podszedł do drzwi. Nagle zobaczyłem ojca, który – w swojej skórzanej kurtce, z fajką w kąciku ust – także zawsze pierwszy podchodził do drzwi. Powrót w to miejsce, po tych wszystkich latach, był jak oglądanie starego czarno-białego filmu po raz pierwszy w kolorze.

Dom na końcu ulicy wydawał się z zewnątrz taki sam jak kiedyś. Od frontu porastał go bluszcz, na kamiennej werandzie stały krzesła i ława służąca za stół, rudawy ceglany dach był brudny, farba na ciemnozielonych drzwiach wejściowych nadal się łuszczyła. Jednak w środku wszystko było nie do poznania. Ściana między kuchnią i salonem została zlikwidowana. Teraz było to duże, wygodnie urządzone pomieszczenie z biblioteką w przedniej części, narożną kanapą i kominkiem, dalej znajdował się piec, zlew oraz drewniany stół.

– Dom jest teraz w stanie idealnym. – Marty oprowadził nas po całości. – Łazienka

kompletnie odnowiona, podłogi na pierwszym piętrze wykafelkowane, te straszne tapety usunięte. Zostawiłem tylko komody, stoły i szafki dziadka.

Kroczył przed nami cały dumny. On i Toni, jako jedni z pierwszych, słusznie docenili potencjał sieci. Ich firma powołała do życia elitarną stronę internetową, na której mogli się prezentować menedżerowie, prawnicy, bankowcy, politycy czy dziennikarze i nawiązywać ze sobą kontakty. Ich start-up szybko się powiększał. W czasie jazdy Marty powiedział nam, że Microsoft chce go kupić za siedmiocyfrową sumę. To chociaż będę mógł, pomyślałem, coś od niego ewentualnie pożyczyć.

Podczas kolacji rozmowa się nie kleiła i w końcu zamilkliśmy ostatecznie. Rozmyślałem o głośnych, pełnych radości kolacjach z czasów dzieciństwa, kiedy moje rodzeństwo kłóciło się między sobą albo razem śmialiśmy się z czegoś, co wspólnie przeżyliśmy. A teraz siedzieliśmy przy stole jak trójka aktorów, którzy spotkali się po długiej przerwie i nie mogą sobie przypomnieć tekstu swojej najsłynniejszej sztuki.

Wreszcie dość miałem tej ciszy i wyjąłem z torby teczkę z fotografiami.

– Zaproponowałem je pewnej galerii.

To był mój nowy projekt: seria na temat „Piękno w niepozorności”. Na jednym zdjęciu widniała otoczona mgłą dolina, z gęstych białych oparów wystawały tylko czarne wierzchołki drzew; dwie kolejne fotografie przedstawiały zarośnięty mchem domek w lesie wydany na pastwę rozpadu i chłopca, który właśnie zawiązał sobie sznurowadła i teraz z rozjaśnioną twarzą biegnie za przyjaciółmi. Migawkę nacisnąłem tuż przed tym, zanim do nich dołączył.

Siostra złapała zdjęcia.

– Podobają mi się – powiedziała, ale ja miałem poczucie, że nie przyjrzała się tym fotografiom dość dokładnie, aby móc rozpoznać szczegóły i ich głębię.

Marty natomiast oglądał je uważnie.

– Moim zdaniem są naprawdę niezłe. Świetnie naśladujesz styl Salgada czy Cartier-Bressona...

– Ale? – zapytałem

– Ale nie widzę możliwości, abyś tym zarabiał na życie.

Nie wiem, jakiej reakcji od niego oczekiwałem, jednakże stwierdzenie „wierzę w ciebie” byłoby całkiem miłe. Po mojej siostrze nie było widać, aby mogła przyjść mi z odsieczą. Także jej egzystencja była niepewna, niekiedy zarabiała jako modelka, innym razem dawała lekcje gry na gitarze albo pracowała przez kilka miesięcy w agencji reklamowej.

– Co cię to obchodzi? – zapytałem cicho.

Marty westchnął.

– Nie chcę wtrącać się w twoje życie, ale uważam, że nie powinieneś być przerywać studiów.

– Nienawidziłem tego – powiedziałem. – Jeżeli czegoś żałuję, to tego, że w ogóle je zacząłem.

– Ale miałbyś grunt pod nogami. Wiem, na początku nie jest łatwo, takie sprawy trzeba przetrzymać. Pod koniec może by ci się jednak spodobało.

– Skąd ty wiesz, co mi się podoba? Ty w ogóle nic o mnie nie wiesz, a więc nie zachowuj się ciągle jak ojciec.

Rozzłoszczony zagarnąłem zdjęcia do siebie. W ostatnich latach często prowadziłem z Martym takie rozmowy i za każdym razem wychodziłem z nich na nieokrzesanego nastolatka.

Także dlatego, że mój brat nie chciał mnie z tej roli zwolnić.

Tego wieczoru nie mogłem zasnąć. Przez jakiś czas wpatrywałem się w księżyc w pełni,

który wyglądał na czarnym niebie jak bulaj, wreszcie wstałem i zapukałem do drzwi siostry. Liz otworzyła mi w pizamie. Na jej łóżku leżała stara książka dla dzieci, którą zapewne tu znalazła, oraz paczka winnych żelków.

– Jesteś jeszcze zły? – zapytała, żując. – Nie przejmuj się. Marty po prostu coraz bardziej upodabnia się do taty. Jest tak samo krytyczny, ale przynajmniej nie tak przegrany. Jest jak tato, który odniósł sukces.

Przytaknąłem, ale ubodło mnie, że nazwała ojca nieudacznikiem.

– Czy ta wystawa w Kunsthaus w końcu się udała?

Pokręciłem tylko głową.

– Jules, mogę cię o coś zapytać? – Liz spojrzała na mnie po matczynemu. – Jak długo już próbujesz być fotografem, trzy lata? Robisz to wszystko z jego powodu? Bo czujesz się winny?

Pamiętam bardzo dobrze, że to pytanie wywołało we mnie głęboki niepokój, i możliwe, że moja odpowiedź zabrzmiała nieco głośniejsz, niż powinna.

– Dlaczego miałbym czuć się winny? Nie jestem tacie nic dłużny. Wiem, że był rozczarowany, bo nie używałem aparatu fotograficznego, ale już dawno to sobie wyjaśniliśmy.

– Nie chciałam cię...

– Nie robię zdjęć z powodu taty, lecz dlatego, że mnie to interesuje. Ty gadasz już prawie tak samo jak Marty.

Zdenerwowany odwróciłem wzrok. Na ścianie wisiał rysunek w ramce, na którym był mężczyzna ze skrzydłami orła. Leciał w powietrzu, w oddali widniały zarysy zamku. Obok był

napis zrobiony ręką dziecka: *Musi uwolnić księżniczkę zamkniętą w ciemnej wieży...* Dziwne, że ten rysunek ocalał! Powstał w pierwszych tygodniach po śmierci rodziców. Mieszkaliśmy wtedy u babki we Francji i był to okres, w którym nadal potajemnie liczyliśmy na to, że mama i tato staną w drzwiach, a wszystko okaże się jednym wielkim nieporozumieniem. Liz, aby pocieszyć Marty'ego i mnie, wymyśliła zabawę pod tytułem „redakcja marzeń”. Ona była energiczną redaktorką naczelną oraz ilustratorką, a my wymyślaliśmy absurdalne lub piękne marzenia, które następnie rysowaliśmy i opatrywaliśmy tekstami. Później spaliliśmy te kartki, a ludzie, według Liz, wdychali unoszący się z nich dym i śnili w nocy o tym, co sobie wymyśliliśmy.

– A co by było, gdybyśmy dorastali tutaj, w Montpellier? – zapytałem Liz. – Często wyobrażałem sobie siebie jako typową Francuzkę. Myślę, że dobrze to by do Ciebie pasowało.

Skończyłaś tu szkołę, a potem poszłaś na studia.

– A co bym studiowała?

– Z pewnością jakiś kierunek artystyczny. Może malarstwo albo literaturę. Albo, tak jak mama, zostałabyś nauczycielką, tak też mogłoby być.

Liz wpatrywała się we mnie.

– Opowiadaj dalej – poprosiła cicho.

– W każdym razie zawsze widywano by cię z książką w ręku, uwielbiałabyś czytać i rysować. Niekiedy pomagałaby ci mama, gdyby jeszcze żyła, często telefonowałybyście do siebie. Bo po szkole pojechałabyś na studia do Paryża. Miałabyś kilku wielbicieli, ale myślałabyś również o swojej szkolnej miłości, o typie imieniem Jean albo Sébastien, z którym chodziłabyś przez kilka lat. Twój pierwszy chłopak. Studiowałby za granicą, więc przestalibyście się spotykać. Byłabyś wprawdzie smutna, ale to byłby piękny rodzaj smutku. I podświadomie

wiedziałybyś, że go jeszcze kiedyś zobaczysz. „On nie jest na teraz, on jest na później”, tak byś nam powiedziała. Ubierałaś się pięknie, jak mama. W weekendy oczywiście bawiłaś się, ale o wiele bardziej powściągliwie niż w Niemczech. Miałabyś kilku przyjaciół, którzy zawsze by na ciebie uważali. Na wakacje przyjeżdżałaś do nas, do Montpellier, a ja wypytywałem cię, jak jest na uniwersytecie, czy jest tam dużo ładnych dziewcząt. Marty natomiast otrzymałby stypendium na Harvardzie, studiowałby tam biologię i przeprowadzał sekcje swoich chrabąszczu i ślimaków, a my wyśmiewalibyśmy się z niego trochę. Potem, krótko przed egzaminami końcowymi, ty... ach, już sam nie wiem, pomóż mi...

Uśmiechałem się, opowiadając, i wyobrażałem sobie, że Liz również będzie to bawiło.

Jednak kiedy na nią spojrzałem, zauważyłem w jej oczach łzy.

– Przepraszam. W ostatnim czasie trochę sfiksowałam. – Wytarła twarz dłonią. – Nie wiem nawet, czy to byłby chłopiec, czy dziewczynka. Nieważne. Po prostu brakuje mi go.

Przysiadłem obok niej na łóżku.

– Wsparlibyśmy cię. Powinnaś nam po prostu o tym powiedzieć. Nawet nie wiedziałem, że się rozstaliście.

– Mam poważne trudności z ufaniem innym.

– Ale własnemu rodzeństwu możesz przecież zaufać – powiedziałem.

I w tym samym momencie zadałem sobie pytanie, na jakiej podstawie tak twierdzę.

– Żałujesz?

Liz wzruszyła ramionami.

– Czasem tak, czasem nie. – Nagle przemieniła się w dziesięciolatkę. – Wiem, że Robert nie był tym właściwym. Ciągle myślę o tym, jaką babcią byłaby mama. Chciałabym móc do niej zadzwonić, ona wiedziałaby, co jest słuszne.

Podeszła do swojej kurtki wiszącej na krześle, wyjęła papierosa i zapaliła. Potem nagle objęła mnie ramionami i dała trzy gwałtowne całusy w policzek. Zacząłem głaskać ją po włosach, a zapach dymu papierosowego wymieszał się z zapachem jej miodowego szamponu.

Przypomniałem sobie, jak jej narzeczony podczas naszego ostatniego spotkania prawie nic nie mówił i obojętnie patrzył w nicość albo czytał coś na swoim pagerze. Nudzić się ze strachu przed byciem nudnym?

– Za co właściwie go pokochałaś? – zapytałem. – On przecież nic w sobie nie miał.

– Właśnie dlatego, tak myślę. Był tak pusty, tak przyjemnie pusty. Mogłam z niego zrobić, kogo chciałam. I nie miał ani jednego wrażliwego miejsca. Nic nie mogło go zranić, to mnie fascynowało.

*

Poranek połyskiwał ponurą szarzyzną, mimo to pojechaliśmy nad morze. Liz miała na sobie czarne bikini i okulary przeciwsłoneczne. Leżała na plaży i czytała, muśnięcia mlecznego słońca zaczerwieniły już lekko jej skórę. Wcisnąłem palce nóg w piasek i patrzyłem, jak Marty pływa w lodowatym morzu. Walił niezgrabnie rękami w wodę. Przez cały dzień robił wrażenie zdenerwowanego. Później opowiadał, że kilka razy w roku bada sobie krew i nadal czeka na wyniki ostatnich testów.

– Po co zadajesz sobie tyle trudu? – zapytała Liz.

Wzruszył tylko ramionami.

– Psy, chcecie żyć wiecznie[3]? – zapytała pogardliwie i machnęła ręką. – Ja umrę młodo, ale to mnie nie wzrusza – powiedziała, a właśnie tych słów po trudnych ostatnich miesiącach najbardziej nie chcieliśmy usłyszeć.

– Nie umrzesz młodo.

– Właśnie że tak, wiem to. – Nasza siostra przeciągnęła się prowokująco na ręczniku i zapaliła papierosa. – Umrę młodo i w dodatku wtedy, gdy będę wreszcie szczęśliwa. Wtedy coś się wydarzy i nagle przestanę żyć. – Spojrzała na nas obu. – Ale to jest okay. Byłam już prawie wszędzie, tak wiele widziałam, mgłę poranną na Manhattanie, dżunglę w Ekwadorze, skoczyłam ze spadochronem, miałam wielu kochanków i przeżyłam dziki, trudny okres, ale wcześniej także czas szczęśliwy, bezpieczny, i naprawdę wiele nauczyłam się na temat śmierci. Nie obchodzi mnie, że wcześniej umrę, ponieważ mimo to mogę powiedzieć, że żyłam.

Marty potrząsnął głową.

– Jak zarozumiałym trzeba być, żeby mówić w ten sposób.

– Jakim trzeba być sztywniakiem, aby nazywać to zarozumiałstwem?

Podczas gdy oni dalej dyskutowali, poszedłem sam wzdłuż plaży. Liz ma rację, pomyślałem. Kochała bezgranicznie, zatracala się bezgranicznie, upadała bezgranicznie.

A ja?

W oddali pojawił się sprzedawca lodów pchający przed sobą swój mały wózek. Miał radio tranzystorowe, z którego dudniła muzyka. Zrobiłem głęboki wdech i poczułem w płucach słone powietrze, patrząc na pokryte srebrnymi cętkami morze. Sprzedawca lodów przeszedł

obok, a ja usłyszałem piosenkę.

It's wonderful, it's wonderful, it's wonderful,

Good luck my baby.

It's wonderful, it's wonderful, it's wonderful,

I dream of you...

W ostatnich latach często myślałem o Alvie. Tęskniłem i przeklinałem ją. Leżałem w nocy i przypominałem sobie, jak wpisywała mi do książek króciutkie uwagi albo przejeżdżała mi palcami po włosach i śmiejąc się, mówiła, że mam małe uszy...

Nigdy nie starczało mi odwagi, aby ją zdobyć, zawsze był tylko strach, że ją stracę.

Wtedy, po szkole, nie przyznałbym się do tego, że wszystkie moje związki z kobietami kończyły się porażką, ponieważ nie mogłem zapomnieć o Alvie. Często zadawałem sobie pytanie, co ona teraz właśnie robi. Telefony komórkowe były wówczas rzadkością, internet jeszcze się nie rozwinął, po Alvie zaginął wszelki ślad. Słyszałem, że mieszka w Rosji, ale nie wiedziałem nic konkretnego. Czułem tylko, że z nią wszystko potoczyłoby się inaczej. Lata w internacie, błąd z wyborem studiów prawniczych, przed którego popełnieniem nikt mnie nie ostrzegł, i w końcu przeprowadzka, nie, ucieczka z Monachium do Hamburga. Na żadnym z tych obrazków nie widać Alvy, a bez niej nie było już nic, co uchroniłoby mnie przed samotnością.

*

Po kilku dniach udało mi się przekonać Marty'ego, aby zaczął ze mną biegać. Każdego ranka biegliśmy przez wieś, na wzgórze obok wieży kościoła, do drzewa z odciętą gałęzią. Nasz punkt zwrotny. Zadowoleni odpoczywaliśmy na ławce, patrząc na rozległe pola w dolinie skryte w porannej mgłę tamtego lata, a później biegliśmy z powrotem do domu, gdzie Liz i Elena, która tymczasem przyjechała, siedziały już na tarasie.

– Kobiety, my być głodni – mówiliśmy, wchodząc zdyszani na werandę. – Uhu, uhu, niewiasty, przynieść jedzenie.

Uderzałem się w piersi jak goryl, a Marty wydawał małpie odgłosy. Bardzo mu się chyba podobało, że może tak się powygłupiać.

– Biegajcie dalej – odpowiadała Liz. – Skoro macie siłę tyle gadać, to znaczy, że nie biegaliście wystarczająco długo.

Ku mojemu zdumieniu to mój brat prawie zawsze zabawiał nas rozmową podczas śniadania w ogrodzie. Marty nie lubił wprawdzie powieści, ale był namiętym czytelnikiem biografii i gazet. Nie podchodził do życia intuicyjnie, on musiał sobie z mozołem wyczytać własną prawdę. Za to był dobrym narratorem, często opowiadał obrazowo o jakiejś niezwyklej nowej wystawie, niedoścignionym fałszerzu sztuki z Anglii czy też o mającym ogromne znaczenie odkryciu z dziedziny liczb pierwszych.

Po śniadaniu zamykał się zwykle na parę godzin w swoim pokoju, aby popracować. Liz, która zawsze musiała coś robić, szła na spacer, grała ze mną w badmintona albo jechała sama do miasta. Ja siadałem chętnie na tarasie z książką obok Eleny, która pisała swoją pracą doktorską z psychologii. Dobrze się rozumieliśmy, także bez wielu słów.

Nic nie zapowiadało kłótni.

Owego wieczoru Elena pojechała do koleżanki do Marsylii. Ja z rodzeństwem poszedłem na mały cmentarz w Berdillac. Było pusto i ciemno, Liz zapaliła dwie świece. Migotliwe światło wydobyło z mroku nazwiska naszych dziadków i wuja Erica. Patrzyłem na nagrobki.

Wszyscy troje byli mi zawsze obcy. Wuj Eric zmarł długo przed naszym narodzeniem, dożył zaledwie dwudziestu jeden lat. Na temat okoliczności jego śmierci nigdy z nami nie rozmawiano.

Niewiele także wiedzieliśmy o dziadku, stolarzu z zawodu, tylko raz ciotka Helene zrobiła parę aluzji do jego cholerycznego usposobienia i zasugerowała, że najprawdopodobniej zapił się na śmierć.

– Umarł kilka miesięcy po Ericu – odezwał się mój brat, jakby czytał w moich myślach.

Ulżyło mi, kiedy opuściliśmy cmentarz.

Po powrocie do domu czuliśmy się jak wyzwoleni. Wypiliśmy trzy, a może cztery butelki corbières i opowiadaliśmy sobie anegdoty z przeszłości. Liz mówiła o byłych chłopakach („Wszyscy wyglądali zbyt dobrze, jak pięknie zapakowany prezent. A kiedy go się otwierało, w środku był tylko stary but”), w pewnej chwili rozmowa zeszała na Gunnara Nordahla, norweskiego przyjaciela korespondencyjnego Marty’ego, w którego istnienie nigdy tak naprawdę nie wierzyliśmy.

– Czy on żyje, czy go sobie wymyśliłeś? – zapytaliśmy.

– Oczywiście że Gunnar istnieje – powiedział brat. Potem spojrzął na kieliszek z winem.

– No dobrze, nigdy go nie było. – Potrząsnął głową. – Przez lata całe pisałem listy do jakiegoś Norwega, którego znalazłem w książce telefonicznej, i często zadawałem sobie pytanie, czy on je w ogóle czyta.

– O mój Boże, wiedziałam! – zawołała Liz tryumfalnie.

Marty przyjął to ze spokojem, jak ktoś, kto czuje się absolutnie niezwykły.

Później Liz zaprezentowała nam swoją minispódniczkę.

– Popatrzcie, kupiłam ją w sklepie koło uczelni, w którym były tylko dziewiętnastolatki.

– Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Później wychodzimy i zgadnijcie, co na siebie włożę.

– Ja już z pewnością nigdzie nie pójde. – Marty majstrował przy swoich okularach. – I nie chciałbym cię rozczarować, ale nie masz już dziewiętnastu lat.

– Ach, i kto to mówi?

Ustawiła się przed nim w kretyńskiej pozie, aż musiał się roześmiać, a potem zawiózł nas jednak do miasta. Ostatni, pełny kieliszek wina zostawił po prostu na stole, Liz natomiast

musiała, rzecz jasna, swój szybko jeszcze opróżnić.

Tańczyliśmy aż do rana w jednym z klubów w Montpellier, z tego wypadu zapamiętałem przede wszystkim to, jak dobrze czuła się Liz pośród tych wszystkich obcych ludzi na parkiecie.

Nie tylko dlatego, że była tak pewna siebie, po prostu wszędzie czuła się mile widziana.

Była już siódma rano i właśnie położyłem się do łóżka, kiedy z dołu dobiegły mnie jakieś krzyki. Ostrożnie spojrzałem ze schodów w dół do salonu. Liz stała na środku pokoju, Marty siedział skulony na sofie. Nie zauważyli mnie.

– Tak, chętnie bym się tego dowiedziała – mówiła właśnie Liz. – Zachowujesz się tutaj jak jakiś cholerny król Babar i odgrywasz opiekuńczego brata, ale gdzie byłeś, kiedy cię potrzebowaliśmy?

– Bardzo mi przykro, ale jeżeli ktoś tutaj uciekł, to raczej ty – powiedział Marty spokojnie. – Poza tym ktoś w naszej rodzinie musiał zarabiać pieniądze.

– Pieniądze to wszystko, co cię jeszcze interesuje. Kursy giełdowe, strony nieruchomości, twój portal internetowy, to całe gównno.

– Nie wygaduj głupstw jak panienka w okresie dojrzewania – przerwał jej Marty. – To jest okropne. Prawda jest taka, że ciebie po prostu wtedy nie było.

– Kiedy?

– Gdy tata i mama zginęli. Zostawiłaś nas samych, jeździłaś gdzieś ze swoimi znajomymi i w ogóle się nami nie interesowałaś. Nie wiem, jak ty się czułaś, ale dla nas to był straszny czas, nie mieliśmy prawie żadnych przyjaciół, zupełnie nikogo. Chcesz wiedzieć dlaczego? Nie nauczyliśmy się mieć przyjaciół, bo zawsze byliśmy we trójkę. A ty wtedy nagle zniknęłaś z naszego życia, chociaż przyrzekałaś, że będziesz na nas uważać. Możesz mi teraz ewentualnie powiedzieć, dlaczego to zrobiłaś, dlaczego po prostu zwiłaś?

To pytanie chyba ją dotknęło. Złapała brzoskwinie leżącą w koszyku na stole i zaczęła się nią bawić.

– Byłam wtedy dzieckiem bardziej niż ty – powiedziała Liz. – Jasne, że ciągle mówiłam o chłopakach i udawałam, że jestem tą dojrzałą starszą siostrą. Ale w rzeczywistości uwielbiałam być dzieckiem. Lubiłam gadać bzdury, tulić się do mamy i godzinami siedzieć w swoim pokoju i rysować. W ogóle nie chciałam być dorosła, w każdym razie nie tak szybko. A potem nagle wszystko zniknęło. Z sekundy na sekundę. Jules był zbyt mały, a ty, ubrany na czarno freak, izolowałaś się od wszystkiego, już zapomnialeś?

Marty wzruszeniem ramion dał niechętnie do zrozumienia, że przyznaje jej rację.

– Wszystkich nas to poraniło – ciągnęła Liz – i każde z nas zareagowało inaczej. Ja starałam się zagłuszyć ciszę, żeby mój duch nigdy nie zaznał spokoju. Rzuciłam się w wir życia, bo kiedy siedziałam sama w pokoju i rozmyślałam, umiałam tylko ryczeć.

– Ale dlaczego nas wtedy zawiodłaś?

– Gdybym mogła się o was zatroszczyć, tobym to zrobiła. Ale nie miałam siły. Wiesz, jaki był mój pierwszy raz? Wiesz?

– Chodziłaś wtedy z tym starszym chłopakiem i...

– Nie, skłamałam. Wiesz, jaki był naprawdę mój pierwszy raz?

– Nie – wymamrotał cicho Marty.

– Nawet nie znam jego imienia. – Głos Liz się załamał. – Mieszkaliśmy w internacie dopiero kilka tygodni, a dziewczyny na moim piętrze wyśmiewały się ze mnie, z moich pluszaków, z dzieciennych komiksów, z ciuchów, które nie były cool. Chciałam więc udowodnić, że jestem twardsza od nich, byłam gotowa zadać sobie więcej ran niż którakolwiek inna dziewczyna.

Dlatego jako jedyna poszłam wtedy do klubu, gdzie zaproponowali nam jakieś świństwo. Nie wiem, co to było, ale potem prawie nic nie czułam i nic nie widziałam. A później zjawił się ten typ. Miał dwadzieścia parę lat i było w nim coś obleśnego, zimnego, czego nie rozumiałam. Nagle ściągnął mnie z parkietu, a kiedy odeszliśmy wystarczająco daleko, rozpiął spodnie. Nie chciałam tego, ale nie miałam siły się bronić. Nadal byłam zamroczona narkotykiem, myślałam o Monachium, o mamie i tacie, i o was, i jak daleko wszystko to nagle odeszło. A w tym czasie on po prostu mnie zerznął.

Marty przygryzł wargę i milczał.

– I nagle stałam się kimś, kim nigdy nie chciałam być. A im więcej czasu upływało, tym trudniej było mi do was wrócić. Nie mieliście pojęcia, jak to jest rzygać po speedzie o siódmej rano na parkiecie jakiegoś prowincjonalnego klubu, spać z kimś po kwasie albo obudzić się obok człowieka widzianego po raz pierwszy kilka godzin wcześniej. Nigdy nie dowiedzieliście się, jakie to uczucie, kiedy człowiek za bardzo się w tym wszystkim zatraci. Ty siedziałeś zatopiony w swoich książkach i grach komputerowych, a Jules w świecie swoich marzeń. Nas dzieli tak wiele... Ciągłe jeszcze.

Oboje patrzyli w podłogę i milczeli. Cała scena miała w sobie coś z gry w szachy, kiedy na szachownicy zostają już tylko dwie figury, które nie mogą się wzajemnie atakować. Jak dwa gońce na polach o odmiennym kolorze.

– A może zrobilibyśmy to razem? – zapytałem ze schodów.

Spojrzeli na mnie, niezbyt zaskoczeni moją obecnością.

– Masz rację – powiedziałem do Liz. – Nic nie wiemy o tym, co przeżyłaś. Masz doświadczenie, którego nam po prostu brakuje. Choćby tylko narkotyki. Widziałaś i czułaś rzeczy, których ani Marty, ani ja nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Często na przykład opowiadałaś, jak niesamowite jest LSD. No to dlaczego nie weźmiemy go razem?

Wiedzielibyśmy przynajmniej, o czym mówimy.

Liz zastanowiła się, potem potrząsnęła głową.

– Nie będziecie brali żadnych narkotyków, jesteście po prostu zbyt...

– Widzisz – przerwałem jej – właśnie to mam na myśli. „Nie jesteście po prostu tacy jak ja”, to chciałaś przecież powiedzieć, prawda? I nie będziemy tacy, jeżeli nam nie pozwolisz.

Faktem jest, że od lat mamy ze sobą niewiele wspólnego. Pozwól nam wreszcie brać udział w swoim życiu.

Liz się zamyśliła.

– A nawet jeżeli, to skąd weźmiesz LSD?

– To nie byłby problem – odezwał się Marty nieoczekiwanie. – Dałbym radę zorganizować, znam wystarczająco dużo ludzi, także tutaj. Pytanie brzmi tylko: co może pójść nie tak?

Wysuwaliśmy argumenty za i przeciw i postanowiliśmy, że zrobimy to dopiero wtedy, gdy wróci Elena, żeby na nas uważała. Kiedy usłyszała o naszym planie, nie była wprawdzie zachwycona, ale w końcu dała się przekonać.

Trzy dni później pod dom zjechał szary van. Marty pogawędził z miłym kierowcą, a potem wrócił z plastikową torebką. Krótco potem siedzieliśmy w trójkę obok siebie na kanapie, trzymając w rękach kolorowe papierki. Liz wyjaśniła nam, że musimy je po prostu połknąć, i to wszystko. Popatrzyłem na mój. Był jasnoniebieski i bez smaku.

Na działanie musieliśmy poczekać. Marty przyniósł sobie „Le Figaro” i zaczął czytać. Liz oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Ja patrzyłem na Elenę, która siedziała naprzeciwko nas, a

ona odpowiedziała wzrokiem na moje spojrzenie. Potem musiałem przełknąć ślinę i przez moment miałem w ustach zwietrzały smak młodości, mieszankę dymu, stołówkowego jedzenia, taniego piwa oraz chwili, w której Alva chwyciła moją rękę. Wypiłem szklankę wody, a to dalekie, syntetyczne echo na moim języku zniknęło.

Mój brat zaczął chyba coś odczuwać. Zafascynowany wpatrywał się w gazetę i mamrotał, że litery zachodzą na siebie, po czym podszedł do Eleny i położył jej głowę na kolanach.

W tym samym momencie zalała mnie fala wspomnień, jakby ktoś przewracał kartki mojego życia. Kilka rozdziałów w tył: pogrzeb ciotki. Zmarła rok temu na wylew krwi do mózgu, tak po prostu wyrwana z życia. W drodze na cmentarz Marty robił wrażenie spokojnego, wypranego z emocji, mimo że bardzo ciotkę kochał. W milczeniu prowadził samochód, podczas gdy Liz i ja rozmawialiśmy o tym, że los zdradził nas po raz kolejny.

– Co za bzdura – odezwał się nagle. – Nie ma żadnego losu, tak samo jak nie ma żadnego Boga. Istnieje wielkie nic albo istniejemy tylko my, ludzie, co mniej więcej wychodzi na to samo.

Tak więc skarżenie się na los to absurd. Śmierć to statystyka i jak się obecnie wydaje, jest przeciwko nam, ale kiedyś, gdy wszyscy wokół, włącznie z nami, umrą, ponownie się wyrówna, tak po prostu.

Jednakże kiedy pół godziny później siedzieliśmy na pogrzebie i patrzyliśmy na trumnę ciotki, Marty, ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, głośno płakał. Był to rozdzierający serce szloch, wszyscy w kaplicy patrzyli, jak oparł się o ramię Liz, a ona go objęła.

Kartki w mojej głowie cofały się w przeszłość, a ja zobaczyłem siebie stojącego jako dziecko w dużym pokoju i dowiadującego się od ciotki o śmierci rodziców. Marty stał błądy i nieruchomy obok mnie, ale równie dobrze mógłby znajdować się tysiące kilometrów stamtąd.

Powoli ujawniło się potworne oddziaływanie tych słów, dostawały się wszędzie, na podłogę, która wydawała się nierówna, do moich przesłoniętych mgłą oczu, do moich nóg, kiedy zataczałem się po pokoju. Fale tej detonacji dotarły także do Liz, która pojawiła się w drzwiach mieszkania i spojrzała na mnie zatroskana.

– Co jest? – zapytała, a ja nie mogłem, nie chciałem jej powiedzieć, jakby w ten sposób dało się ją uchronić od prawdy.

– Widzę to samo – powiedziała Liz obok mnie, w każdym razie byłem przekonany, że to powiedziała.

Chciałem jej opowiedzieć, jak wszystko stało się inne, jak ja stałem się inny, ale nie byłem w stanie. Serce biło mi szybciej, obrazy zalewały mózg. Jak ojciec rzucał mi piłkę. Jak Liz schowała do kieszeni biały klocek z „Barykady” na szczęście. Jak matka nazywała mnie ślimaczkiem i czytała mi na głos. Jak przesiewałem mąkę na „ciasto, któremu nie można się oprzeć”. Wszystko przemieszane, wszystko tak bliskie, tak piękne, tak szybkie, że z trudem to wytrzymywałem.

Zrobiłem głęboki wdech, głęboki wydech, głęboki wdech, głęboki wydech...

– Tego jest za dużo – powtarzałem nieustannie. – Nie mogę już. Proszę, niech przestanie.

Liz złapała mnie za rękę.

– Tylko spokojnie – powiedziała. – Wszystko jest dobrze.

Po policzkach płynęły mi łzy, kolory pokoju świeciły, widziałem każde najmniejsze wgłębienie na swojej dłoni. Oddech galopował, klatka piersiowa była jak ściśnięta. Ale potem

– w jednej chwili – wszystko zostało uwolnione i mogłem już normalnie oddychać.

Mimowolnie roześmiałem się z wielką ulgą. Ciągłe spoglądałem ku Elenie, która obserwowała

mnie i spokojnie kontrolowała całe pomieszczenie.

– Wiem już, jaki obrazek chciałam bardzo namalować jako dwunastolatka. – Liz oparła się o mnie. – Nie pamiętałam o tym przez ostatnie lata, ale teraz sobie przypomniałam.

Namalowałabym cztery psy, które tak jak ludzie grają w piłkę na plaży. Miałyby śmieszne imiona, a na sobie staromodne ubrania.

Kiwnąłem głową bardzo zadowolony z jej bliskości.

Wszystko teraz stopiło się ze sobą, a moja świadomość zerwała się z uwięzi i szybowiała wstecz w czasie.

Byłem... jestem nagle małym Martym, który majstruje przy napędzanym benzyną samochodziku zabawce. Ta cudowna precyzja, z jaką poszczególne części ząbują się ze sobą, ten moment szczęśliwości, kiedy uruchamia się silnik, a mechanizm pod karoserią w jednej chwili zaczyna mieć sens.

Jestem Liz i maluję coś na kartce kolorowymi farbami, i nagle powstają żywe istoty, które sam stworzyłem, i to jest tak wspaniałe, że się w tym zatracam. A w mojej głowie są jeszcze inne świetliste obrazy, tak wiele, że niekiedy odczuwam ból, i nie mogę tego nikomu ani opowiedzieć, ani pokazać, więc od czasu do czasu muszę powariować i biegam wtedy jak oszalały po pokoju, żeby pozbyć się tej całej energii, zrzucić ją z siebie.

Jestem własną matką, która przygląda się swoim dzieciom, jak się bawią i dorastają, i ma nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas z nią pozostaną. I jestem zadowolony, że poświęciłem własną wolność dla tego życia tutaj, nawet jeżeli czasem za nią tęsknię.

I jestem swoim ojcem, który jedzie samochodem do pracy, a najchętniej natychmiast by zawrócił i ruszył do domu, do rodziny, ale tego, podobnie jak wielu innych rzeczy, nie potrafi zrobić. Zadaję sobie pytanie, kiedy sprawy zaczęły przybierać zły obrót, czy też może nigdy nie było tak jak trzeba, od samego początku. I myślę o tym, jak najmłodszemu synowi Jules'owi podarowałem na Boże Narodzenie, tuż przed swoją śmiercią, stary aparat fotograficzny, którego on nie używa. Z tego powodu dochodzi do ostatniej kłótni i...

– Przypominam sobie – mówię. Bardzo wyraźnie widzę ojca przed sobą, jak załamany trzyma w rękę fajkę i patrzy na mnie wystraszony. Moja wina. Moja cholerna wina. – O mój Boże, teraz wszystko sobie znowu przypominam.

Nadal mam zamknięte oczy. Jestem teraz znowu sobą, biegnę po łące i widzę nieprawdopodobnie zielone odcienie. Zapach pachnącego siana, żywicy i wilgotnego mchu wypełnia moje zmysły aż po brzegi. Pada deszcz, całkiem przemoczony docieram do lasu.

W ciągu kilku sekund dzień przechodzi w noc. Nagle robi się ciemno i zimno, a ja czuję, że grozi mi tu niebezpieczeństwo. Muszę przedostać się przez nieprzeniknione poszycie. Spiczaste czarne gałęzie wbijają mi się w skórę, krwawię.

– Coś jest nie tak – mówię. – Coś jest zupełnie nie tak. To się nie kończy.

Czuję, jak ktoś mną potrząsa, ale nadal mam zamknięte oczy, biegnę dalej. Znam ten las.

Nie wyszedłem z niego od czasów dzieciństwa, stał się moim domem. A jeżeli nie będę uważał, to umrę w tym lesie. Przedostaję się do wnętrza i widzę przed sobą wyraźny obraz: jak nasze życie po śmierci rodziców dochodzi do punktu, w którym skręca w złym kierunku, a my od tego momentu wiemy inne życie, nie takie, jakie powinniśmy. Niedający się skorygować błąd w systemie.

Podczas drogi do wnętrza potykam się i nadziewam na leżącą na ziemi gałąź. Gałąź wbija mi się prosto w serce. Wykrwawiam się na miejscu, wszystko staje się ciepłe i jasne, bardzo przyjemne, a jednocześnie to najbardziej rozpaczliwe uczucie, jakiego kiedykolwiek

doświadczyłem, ponieważ muszę wszystko wypuścić z rąk i wszystko stracę...

Otworzyłem oczy, byłem cały mokry.

– Nie chcę umierać – zawołałem. – NIE CHCĘ UMIERAĆ!

Konieczność pożegnania się z samym sobą. Wszystkie myśli, nadzieje i wspomnienia wymazane. Czarny ekran na całą wieczność.

Siedzę w kucki na podłodze i płaczę.

– Nie chcę umierać – mamrocze w kółko.

Liz położyła się obok mnie, Marty i Elena trzymali mnie za ręce. Czułem ich bliskość, czułem, jak ciepło i przytulnie jest u nas w domu. Jednak to wszystko wydawało mi się bardzo odległe, bo tkwiłem głęboko w sobie, a tam był tylko lodowaty strach.

*

W ostatnim dniu urlopu siedziałem z bratem na plaży. Było chłodno, orzeźwiający wiatr rozwiewał nam włosy. Blisko przepłynął kuter rybacki, rysując swoją sylwetkę na powierzchni wody.

– Jules... – odezwał się Marty.

– No?

– Przykro mi, że widywaliśmy się tak rzadko. – Zdjął okulary i ścisnął mocno grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. – W ostatnich latach nie byłem zapewne dobrym bratem.

– Byłeś pieprzonym mądralą.

– Tak, chyba tak.

– Pieprzonym mądralą i dupkiem do potęgi.

– Dzięki, zrozumiałem.

Spojrzeliliśmy na siebie. Marty poklepał mnie po ramieniu i nagle wydał mi się taki młodzieńczy.

– Naprawię to.

W południe, kiedy moje rodzeństwo już się pakowało przed wyjazdem, poszedłem z Eleną na ostatni spacer po wsi.

– Co się właściwie stało z dziwactwami Marty’ego? – zapytałem. – To zamykanie drzwi po pięć razy, wielokrotne naciskanie klamki według tajnego schematu, przeskakiwanie przez złącza płyt chodnikowych, by ich nie nadepnąć... Gdzie to się podziało?

Elena spuściła wzrok.

– Stopniowo było coraz gorzej – zaczęła. – W końcu pięć razy w roku chodził na zajęcia z profilaktyki antyrakowej, ale nie był w stanie korzystać ani z ruchomych schodów, ani z windy, bo miał poczucie, że przynoszą nieszczęście.

– Że jak?

Elena uśmiechnęła się mimowolnie.

– Tak, ruchome schody i windy były złe. Początkowo wszystko to przede mną skrywał, nawet sobie żartował, kiedy coś zauważyłam. Ale w pewnym momencie natręctwa zdominowały całe jego życie. Od kilku miesięcy chodzi na terapię.

Zbliżaliśmy się do domu. Już z daleka widziałem, jak Marty pakuje rzeczy do bagażnika, gwizdząc przy tym melodię z *Carmen*.

– Czy pozbył już się tych natręctw? – zapytałem.

– Dobrze by było. Jest chyba lepiej, ale niekiedy mam wrażenie, że nadal w nim tkwią.

Tylko że lepiej ukryte. Próbuję go przyłapać, ale jeszcze mi się nie udało.

Wszedłem do ogrodu i skinąłem bratu głową. Trudne dzieciństwo jest jak niewidzialny wróg.

Nigdy nie wiadomo, kiedy uderzy.

CZĘŚĆ DRUGA

Po wypadku motocyklowym dochodzę do siebie zadziwiająco szybko. Niedługo będę mógł znowu czytać, oglądać telewizję i telefonować. Tymczasem otrzymałem już pełną diagnozę: zmiżdżenie śledziony, złamanie prawej kości piszczelowej i prawej strzałkowej, złamanie obojczyka, ciężkie wstrząśnienie mózgu. Lekarze mówią, że miałem szczęście.

Szczęście. Coś, z czym w aktualnej sytuacji nie bardzo wiedziałbym, co począc.

Pukanie do drzwi. Marty przyprowadził moje dzieci, przyszła także Elena, pojawił się nawet Toni, który specjalnie przyleciał z Monachium.

Dzieciaki podbiegają do łóżka, obejmują mnie. Vincent namalował dla mnie obrazek przedstawiający mężczyznę o kulach szczerzącego zęby w uśmiechu, Luise postawiła na stoliku nocnym pluszaka, który ma mi dotrzymywać towarzystwa. Oboje mają już po siedem lat, a ja nadal uważam wręcz za cud, że naprawdę są moje. Że na zawsze pozostaną ich ojcem, bez względu na to, czy pewnego dnia wyemigruję, coś mi się przydarzy, czy też nie będą chciały mnie już widzieć na oczy.

Luise pokazuje gips na mojej nodze i kołnierz ortopedyczny. Pyta, tak jak podczas ostatniej wizyty, czy muszę umrzeć, a ja kręcę głową. Ona potakuje z ulgą. Vincent nie wydaje się szczególnie usatysfakcjonowany taką odpowiedzią. Zaciska pięści, a w jego oczach dostrzegam strach.

Postanawiam wziąć się w garść i udaję optymistę, wesołego klauna, którym zawsze byłem dla swoich dzieci, opowiadam o pobycie w szpitalu i zadaję pytania.

– A jak jest u wujka Marty’ego i cioci Eleny?

Mój syn milczy.

– Fajnie – odpowiada Luise.

– A co robiliście wczoraj?

– Byliśmy w zoo, widzieliśmy lwa, całkiem blisko.

Ona się cieszy, myślę. Po tym wszystkim, co się stało, cieszy się z powodu jakiegoś biednego, zamkniętego lwa. Biorę córkę w ramiona i daję jej całusa.

– A tobie? – pytam Vincenta. – Jakie zwierzęta podobały ci się najbardziej?

Vincent podnosi głowę, ale tylko przez kilka sekund udaje mu się patrzeć mi w oczy.

– Wężę – mówi cicho.

Rzucam Marty’emu zaniepokojone spojrzenie i mam wielką nadzieję, że mój syn nie będzie kiedyś robił sekcji bezbronnym istotom i oglądał ich krwi pod mikroskopem.

Teraz wszyscy rysujemy zwierzęta: słonie, potem myszy, żyrafy i tygrysa. Wysiłki Toniego na tym polu są raczej marne („Te biedne zwierzęta, takie, jak je narysowałeś, nie przeżyłyby nawet jednego dnia”, orzekł mój brat), za to Vincent rysuje zadziwiająco precyzyjnie.

Zwłaszcza jego żyrafa jest bardzo udana. Kiedy go chwalebę, po raz pierwszy się uśmiecha.

Uśmiech pojawia się nagle i jest tak rozbrajający i piękny, że przez kilka najbliższych chwil się o niego nie martwię.

*

Goście już poszli. Zapada wieczór. Po niebie przeciągają blade obłoki, a ja mam uczucie, jakby to ciemność obserwowała mnie przez okna. Tęsknię za żoną, która jest teraz w bardzo ważnej dla niej podróży. Powiedziałem jej, że nie będę jej przeszkadzał, że ze wszystkim w domu sobie poradzę i żeby nawet nie brała swojej niemieckiej komórki. Jest w Rosji, a mówiąc

dokładnie w Jekaterynburgu, i może jeszcze upłynąć nawet kilka dni, zanim będzie miała samolot do domu. Do tego czasu jestem tu sam.

Źle śpię w nocy. W moich snach odtwarza się ciągle ten sam film: jak wypadam z motocyklem z drogi i uderzam o ziemię.

To koniec, pomyślałem jeszcze w ostatnim momencie, a może raczej: To będzie bolało.

Nie pamiętam już, co dokładnie przemknęło mi wtedy przez myśl.

Budzę się.

Zapalam światło. Poprosiłem brata, żeby przyniósł mi album z fotografiami i dwie powieści: *Czasie, który uciekasz* A.N. Romanowa oraz *Czuła jest noc* Fitzgeralda. Obie książki czytałem już kilka razy, zawsze zatrzymuję się na znanych mi doskonale scenach i opisach.

W końcu zapadam w drzemkę. Tym razem żadnych snów, po prostu pustka.

*

Przed południem jej telefon wyrywa mnie z zamyślenia. Nadal jest uziemiona w Jekaterynburgu; z powodu jakichś targów przemysłowych wszystkie bilety zostały sprzedane.

– Nie mogę już tutaj wytrzymać – mówię. – Kiedy wreszcie przyjedziesz?

– Niedługo będę przy tobie.

– Już chciałem do ciebie jechać, to byłoby chyba prostsze.

– Nie bądź taki sarkastyczny. Z tymi tytanowymi śrubami i płytkami nawet nie przepuszczą cię na lotnisku.

Pyta o dzieci. Jest spokojna, mój brat i Elena zawsze dobrze sobie z nimi radzą. Mówię jeszcze, że ją kocham, a potem się rozłączamy.

Tym razem Marty odwiedza mnie sam. Stoi przy oknie, patrzy w światło dnia. Koszula szyta na miarę, kanty na spodniach ostre jak nóż, ale niedawno zaczął łysieć. Patrzą na swojego brata, który nigdy nie ulega sentymentom i nie wspomina tego, co było, lecz każde zdarzenie w życiu przekuł w coś własnego, wyjątkowego. Mam nagle przed oczami, jak stoimy obok siebie jako siedemdziesięciolatek. Nie wybierałem sobie Marty'ego i różnimy się od siebie diametralnie, ale jest coś, co wyróżnia go spośród wszystkich innych ludzi: jest przy mnie zawsze. Od czterdziestu lat trwa u mego boku.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta.

Na to pytanie czekałem.

– A więc ty także myślisz, że to nie był wypadek?

– Dlaczego także?

Wspominam rozmowę z młodą psycholożką szpitalną: ona również uważa, że to nie był wypadek, nie znaleziono żadnych śladów hamowania.

– Więc to próba samobójcza, czy jak? – rzuciłem, żeby ją sprowokować.

Pozostawiła to bez komentarza.

– Istotne jest, aby skonfrontował się pan z rzeczywistością – powiedziała w końcu.

– Wiem, że znowu ucieka pan w świat swoich marzeń. Jednakże musi pan zaakceptować to, co się wydarzyło. Pana rodzina potrzebuje kogoś, kto żyje tu i teraz.

Nic nie odpowiedziałem.

Długo przyglądam się bratu.

– Dlaczego miałbym chcieć się zabić? Mam dwójkę dzieci, nigdy bym ich nie zostawił.

To był wypadek, po prostu straciłem kontrolę nad maszyną.

Marty chyba mi nie wierzy.

– Nawiasem mówiąc, maszyna to teraz już jedynie złom – mówi tylko. – Nie rozumiem, dlaczego nagle stałeś się fanatykiem motocykli. To zbyt niebezpieczne.

*

Po jego wyjściu usiłuję powrócić do snów na jawie, ale tym razem mi się nie udaje. Gapię się w okno. Powietrze przecina kilka jaskółek. Przypominam sobie nagle, jak kiedyś, gdy czułem się źle, wyobrażałem sobie, że potrafię latać.

Przekartkowałem album ze zdjęciami. Najchętniej oglądam, oprócz fotografii z żoną, zdjęcia z rodzeństwem. Na niektórych widać Liz na imprezie, ze szklanką koktajlu w ręku, ze wzrokiem pełnym żaru i pozbawionym jakichkolwiek wątpliwości. Minęło już piętnaście lat i trudno wyrazić słowami, jak bardzo mi jej brakuje.

Do drzwi puka pielęgniarz. Razem z nim idę o kulach na pierwszy spacer po parku kliniki. Złamana noga już prawie nie boli, także pęknięcie obojczyka dobrze się goi, a bóle głowy zniknęły zupełnie. Światło dnia mnie oslepia, odzwyczaiłem się od blasku, oddycham głęboko i siadam na ławce. Wokół mnie świergot ptaków, promienie słoneczne padają na park z bezchmurnego nieba.

Ona nie żyje, przelatuje mi przez głowę.

Przez dobrą chwilę mam trudności z opanowaniem wzruszenia. Rozproszyć się, rozproszyć. Myśli w głowie wirują i nagle przypominają mi się lata w Berlinie. Myślę o tym, jak w momentach samotności tańczyłem w swoim mieszkaniu w przypływie jakiegoś infantylizmu.

Przypominam sobie piwnicę w Szwajcarii oraz paczkę naboju do karabinu. Także i to, jak zacząłem ponownie pisać. Coraz bardziej przyspieszający ciąg przypadkowych obrazów, i nagle widzę znowu przed sobą to, co wydarzyło się przed moim wypadkiem motocyklowym. Spogląda na mnie otchłań.

A ja patrzę w nią.

Droga powrotna

(2000–2003)

Mniej więcej dwa lata po urlopie spędzonym z rodzeństwem we Francji rzuciłem fotografowanie. Zaprzyjaźniony kurator nie przyjął moich zdjęć na wystawę, więc z wściekłości wystawiłem skrzynkę ze wszystkimi aparatami na ulicę. Po godzinie chciałem je zabrać, ale skrzynki już nie było. Początek trwającego kilka miesięcy upadku. Sypiałem do popołudnia, jarałem marychę, napisałem kilka krótkich opowiadań, których nikomu nie pokazałem, stałem się kłótliwym zrzędą. Moja ówczesna dziewczyna odeszła. Powiedziała, że jestem zbyt nierzeczywisty, zbyt zamknięty w sobie, a ona nie jest już w stanie znieść mojego spojrzenia, które świadczy o tym, że żyję w swoim własnym, niedostępnym świecie. Niezbyt się tym przejąłem. Tak jak w poprzednich związkach, wcale nie byłem zakochany i w głębi duszy czułem, że to nie jest prawdziwe życie. Że prawdziwe było dopóty, dopóki żyli rodzice. Myśl ta powracała do mnie nieustannie, była jak utkana w mojej duszy kłątwa.

Kiedy Liz powiedziała mi o wolnej posadzie w Yellow Records, wymówiłem swoje hamburskie mieszkanie i przenieśliśmy się do Berlina. To wydawnictwo płytowe miało siedzibę w podwórzu przy Kottbusser Damm i współpracowało głównie z artystami, którzy sami pisali swoje teksty, oraz twórcami indie rocka. I w ten sposób zostałem nagle doradcą prawnym, a później łowcą talentów, ale równie dobrze mógłbym pracować za granicą albo jeszcze raz

rozpocząć studia. Wtedy nie potrafiłem sformułować tego tak jasno, ale w głębi duszy czułem, że zboczyłem z drogi. Problem polegał tylko na tym, że nie byłem pewny, kiedy i gdzie. Nie wiedziałem nawet, z jakiej drogi.

*

Krótko po moich trzydziestych urodzinach, w styczniu 2003 roku, jechałem na swojej vespie przez miasto, kiedy nagle zatrzymał się koło mnie czerwony fiat. Dlaczego nie mogłem oderwać od niego wzroku? Ach, no przecież Alva... Miała taki właśnie samochód. W jednej chwili przypomniałem sobie, jak to się wszystko skończyło. Jak prosiłem ją, aby pojechała ze mną do Monachium. I jak ona, w odpowiedzi, przespała się z tamtym facetem i zmusiła mnie, żebym na to patrzył. Tak to było.

Jednak niezupełnie.

W ostatni weekend szkoły Alva podeszła do mnie nieoczekiwanie. Uśmiechnęła się promiennie, jakby nic się nie stało, i oznajmiła, że być może w ramach rocznego wolontariatu pojedzie do Nowej Zelandii. Rozmawialiśmy o tym, że w przyszłości się już zapewne nie spotkamy, i jakie to dziwne uczucie widywać kogoś przez kilka lat każdego dnia, a potem już w ogóle. Właściwie to byłem nadal urażony, ale ona miała w spojrzeniu taką bezbronność...

Nagle chwyciła mnie za ramię i zapytała, czy nie moglibyśmy spędzić tego weekendu razem. Mówiła, że zrozumiała niektóre sprawy i że bardzo chciałaby ze mną pogadać.

Zaskoczyła mnie tak bardzo, że początkowo nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Przyrzekłem w każdym razie, że na pewno do niej zadzwonię, a Alva stwierdziła, że bardzo się cieszy.

Jednak nie zadzwoniłem.

Przez cały weekend krążyłem koło telefonu na korytarzu internatu, ale w końcu nie mogłem się przemóc. Alva poniżyła mnie specjalnie i prawdopodobnie, mimo wszystkich zapewnień z jej strony, niewiele dla niej znaczą. Wyglądało na to, że już niedługo opuści mnie na zawsze. Jak mogłem jej wybaczyć? A jednocześnie koniecznie chciałem się z nią spotkać.

Miałem nadzieję, że sama do mnie zadzwoni, ale nie zrobiła tego.

W poniedziałek w szkole nie odezwała się do mnie. Przez cały czas demonstracyjnie unikała mnie wzrokiem. Na przerwie podszedłem do niej.

– Przepraszam – powiedziałem, opierając nonszalancko dłoń o ścianę. – Zamierzałem zadzwonić, ale tyle się działo w weekend!

Opowiedziałem jej o jakiejś imprezie, na którą poszedłem i na której spotkałem

dziewczynę darzącą mnie według Alvy sympatią. W każdym razie przepełniło mnie cudowne uczucie satysfakcji, że udało mi się, chociaż w pewnym stopniu, zrewanżować za to, co Alva mi zrobiła. Byłem święcie przekonany, że skinie głową pełną żalu albo przynajmniej będzie zaskoczona moim chłodem. Ale ona spojrzała tylko na mnie pytająco.

– Ach tak – powiedziała. – Prawda, miałeś zadzwonić. Zupełnie o tym zapomniałam. No więc nie ma o czym mówić.

To była moja ostatnia rozmowa z Alvą.

*

Kilka dni po tym, jak zobaczyłem tego czerwonego fiata, odebrałem Liz z pracy. Od naszego wspólnego lata w Berdillac minęło już prawie pięć lat. Nadgoniła maturę w szkole wieczorowej i studiowała kierunek nauczycielski, jej staż zawodowy w takich przedmiotach, jak muzyka, sztuka i niemiecki przebiegał dobrze. Patrzyłem na nią, jak wychodzi z budynku z kilkoma

młodymi nauczycielami. Z oddali Liz wydawała się jeszcze wyższa. Miała torbę przewieszoną przez ramię i śmiała się. Przywódczyni, bez wątpienia, inni patrzyli na nią z podziwem. Nikt by nie pomyślał, że już dawno przekroczyła trzydziestkę, wyglądała na dwadzieścia parę lat, jedynie twarz nieco się jej zaokrągliła.

Gotowaliśmy razem w jej wypełnionym bibelotami i obrazkami, nieco zaniedbanym mieszkaniu – gotowaliśmy, to znaczy ona gotowała, ja się przyglądałem – i oczywiście rozmawialiśmy o przeprowadzce naszego brata. Marty sprzedał niedawno swoją firmę za nieprawdopodobnie wysoką kwotę i wykładał teraz na politechnice w Monachium. Razem z Eleną kupili dom w pobliżu Englischer Garten.

– Możesz sobie wyobrazić? – Kiwałem się na krześle w jej kuchni. – Mieszka teraz w odległości kilku kamienic od naszego dawnego domu.

– Wiedziałam, że kiedyś tam wrócimy. – Kroiła drobno bazylię. – Ale nie myślałam, że nastąpi to tak szybko.

– Ja nigdy już nie wrócę do Monachium. Dlaczego miałbym tam wracać?

– Bo wtedy nie opuściliśmy go dobrowolnie.

Liz zapaliła kadzidełko. Z jej zestawu stereo płynęła meksykańska muzyka ludowa, do której sobie nuciła. Myślałem o tym, jak na lekcjach muzyki gra dla swoich uczniów na gitarze, najmłodszym w nagrodę rysuje w zeszytach małe figurki albo zwierzaki, a latem próbuje przygotować z nimi przedstawienie teatralne. Moja siostra zagubiła się wprawdzie i straciła całe lata, ale teraz jej życie, tak uważałem, przypominało wreszcie to sprzed śmierci rodziców. Udało jej się powrócić, również Marty chyba się w końcu odnalazł. A ja... Kilka dni temu w kawiarni zwróciła moją uwagę grupa przy sąsiednim stoliku. Brylował w niej mężczyzna w moim wieku.

Rozśmieszał swoich przyjaciół i z wyraźnie podkreślaną nonszalancją nadawał ton całemu towarzystwu. Zirytowany odwróciłem wzrok, ale coś w jego zachowaniu nie dawało mi spokoju.

Nagle przyszło mi do głowy, że byłbym zapewne kimś takim, gdyby kilka spraw potoczyło się inaczej.

Za oknem rozległy się krzyki. Zgraja dzieci biegła przez betonowe podwórko.

– Ile miałyby teraz lat? – zapytałem, na wpół jeszcze pogrążony we własnych myślach.

Pytanie padło zbyt nagle i obcesowo, twarz mojej siostry sposepniała.

– Pięć – powiedziała.

– Często o tym myślisz?

– Nie tak często jak kiedyś. Ale czasem boję się, że straciłam szansę i że nie będę już miała dzieci. Za pierwszym razem w internacie byłam za młoda. Ale wtedy z Robertem miałam tyle lat, ile trzeba. Kto wie, czy uda się jeszcze raz.

Nadal rzucała swoich partnerów, aby sama nie zostać porzucona, fiaskiem zakończył się także jej ostatni związek z holenderskim aktorem. „Mężczyzna o czarującej głupocie”, tak go raz określiła Liz.

Marty również nie miał jeszcze dzieci, za to od paru lat miał psa, którego nazwał, w przypływie oryginalnej kreatywności, po prostu Psem. Nie tak dawno oznajmił, że wszystko i tak w końcu skazane jest na unicestwienie, więc po co jeszcze mieć dzieci.

Liz bardzo to denerwowało.

– To jest nihilistyczna gadanina Marty’ego – stwierdziła. – Ale ty wiesz, że to nieprawda.

W rzeczywistości wszyscy ci nihiliści i cynicy są zwykłymi tchórzami. Udają, że nic nie ma znaczenia, bo wydaje im się, że wobec tego nic nie tracą. Ich postawa tylko z pozoru jest niepodważalna i bezdyskusyjna, ale wewnętrznie jest nic niewarta.

Kręcąc głową, zapaliła papierosa.

– Alternatywą wizji życia i śmierci jest nicość – mówiła z papierosem w ustach. – Czy byłoby naprawdę lepiej, gdyby ten świat po prostu nie istniał? A jednak żyjemy, tworzymy sztukę, kochamy, obserwujemy, cierpimy, cieszymy się i śmiejemy. Wszyscy istniejemy na miliony różnych sposobów, aby nie było nicości, a ceną za to jest właśnie śmierć.

Nagle znowu pomyślałem o Alvie i czerwonym fiacie. Poprzedniej nocy śniło mi się, że biegłem przez pole walki. Helikoptery spadały z nieba, wybuchały bomby, wokół mnie padali ludzie. Miasto było skazane na zagładę, ale ja ciągle biegłem dalej, w sam środek bitwy, bo dowiedziałem się, że Alva jest uwięziona w moim domu w centrum. Błądziłem po mieście aż do całkowitego wyczerpania, kilka razy tylko cudem uniknąłem śmierci, ale nie dotarłem do celu.

Potem się obudziłem.

Po tej nocy wszystko wróciło. W snach panował zawsze oddzielny czas albo raczej nie było żadnego czasu. Wydawało mi się, że dopiero robię swoje rundy wokół boiska, a Alva leży na trawie i czyta. Niekiedy kładłem się obok niej i dmuchając, usiłowałem przewrócić strony książki. Zawsze wywoływało to uśmiech na jej twarzy, jednak pewnego popołudnia zareagowała opryskliwie. Trzymała książkę kurczowo obiema rękami, prawdopodobnie właśnie umarła między jej palcami jedna z ulubionych postaci. I dopiero wtedy zauważyłem, że płacze. Nie chciałem jej przeszkadzać i jednocześnie nie mogłem zapobiec swojemu udziałowi w tej intymnej chwili. Spojrzałem na jej smutną twarz i uświadomiłem sobie, jak bardzo Alva kocha literaturę, o wiele mocniej niż ktokolwiek, kogo znałem. I to właśnie: że siedziała obok mnie tak poruszona przeczytaną historią, wzruszyło także i mnie. Najchętniej wziąłbym ją w ramiona, aby ją chronić, zwłaszcza przed samą sobą i przed tymi wszystkimi rzeczami, o których mi nie opowiadała. A jednak wszystko potoczyło się inaczej, a od tego czasu minęło już jedenaście lat.

Tego wieczoru wyszukałem adres mejlowy Alvy i napisałem do niej. Nie liczyłem na odpowiedź, ale podążyłem za wewnętrznym impulsem. Początkowo był to list długi na kilka stron, ale w rezultacie pozostały z niego tylko dwa wersy.

Mam trzydziestkę i nadal żadnych dzieci.

A jak u Ciebie?

*

Nie odpisała. W głębi duszy czekałem na odpowiedź kilka dni, nawet tygodni, potem dałem za wygraną. Zawołałem w przeszłość, ale żadne echo mi nie odpowiedziało.

Wiosną wziąłem urlop i pojechałem w odwiedziny do Marty'ego, który wraz z Eleną spędzał kilka dni w Berdillac. Wynajęty samochód zaparkowałem przed domem na końcu rue Le

Goff. Natychmiast wyskoczył do mnie pies, husky. Marty i Elena wzięli go jako szczeniaka, teraz urósł i stał się silnym, pełnym majestatu zwierzęciem z białą-czarną sierścią i jasnoniebieskimi mądrymi oczami.

W odwiedziny przyjechała również siostra Eleny z trójką dzieci. Kiedy witałem się z Eleną, zrobiła na mnie wrażenie dziwnie przygnębionej. Mój brat natomiast miał w sobie coś wечно młodzieńczego. Dokuczałem mu, że coraz bardziej przypomina ojca i że chyba już niedługo będzie musiał podarować mu fajkę oraz jasnobrązową skórzaną kurtkę.

Pojechaliśmy całą siódmką na wycieczkę. Dzieci bawiły się z psem, ja z Martym pozostaliśmy nieco z tyłu. Czułem, że myślami jest gdzie indziej. W końcu wskazał na Elenę, która właśnie wzięła siostrzeńca na barana. Rozkwitała w otoczeniu swoich małych krewniaków.

– Kocha dzieci – powiedział Marty.

– To widać.

– Ale chyba nigdy nie będzie mogła mieć własnych.

Przystanęłam.

– Od kiedy wiecie?

– Podejrzewaliśmy to od jakiegoś czasu. Od dwóch, może trzech lat nie stosujemy żadnej antykoncepcji, a w ostatnich miesiącach nawet zaczęliśmy się starać. Kiedy nic się nie zadziało, Elena poszła na badania...

Marty poszukał wzrokiem mojego spojrzenia.

– Wiesz, ja sam wcale nie jestem taki pewny, czy chciałbym koniecznie mieć dzieci.

Chciałbym, rzecz jasna, pomajstrować z własnym dzieckiem przy zdalnie sterowanym samochodziku, nie odczuwam jednak jakiegoś przymusu. Ale ona kocha dzieci, zawsze chciała je mieć. W naszym domu jest tyle pokoi... Dużo płakała w ostatnich tygodniach.

Szliśmy wzdłuż drogi, która wiodła w jakże znany nam las.

– Ożenię się z nią – oznajmił Marty z tym swoim stoickim spokojem, który wydawał się tkwić w nim jak znak wodny. – Nigdy wprawdzie tego nie planowaliśmy, ale myślę, że teraz to właściwa decyzja. Jak myślisz?

– Myślę, że właściwa.

Marty spojrzał na mnie zmieszany.

– I chciałbym, żebyś był moim świadkiem na ślubie.

– Świadkiem? Czy do tej roli nie bierze się zwykle kogoś, kogo się lubi?

– Pomyślałem, że zrobię dla ciebie wyjątek.

W lesie unosił się aromatyczny i świeży zapach, a ja miałem poczucie, że nadchodzi noc.

Dotarliśmy do kamienistej rzeki z przerzuconym nad nią starym pniem drzewa.

– Niesamowite, że jako dziecko po prostu po tym przebiegłem. – Stuknąłem stopą w drewno. – To jest ponad dwa metry nad rzeką, upadek oznaczałby połamanie wszystkich kości.

– Jako dziecko nie wiedziałeś, co to strach.

Wszedłem na pień. Miałem wrażenie, że wkroczyłem w miejsce przeklęte. Już po dwóch krokach zakręciło mi się w głowie. Woda szumiała pode mną, wielkie kamienie wystawały z rzeki, ale nie tak spiczaste jak w moich wspomnieniach. Pień się kołysał, przy każdym kroku wydawało mi się, że ześlizgnę się i spadnę. Spociłem się cały, a w uszach pobrzmiwał mi głos ojca, mówiącego, że to jest zbyt niebezpieczne. Te wszystkie jego strachy, jak niechciani lokatorzy, zamieszkały teraz w mojej głowie.

– Zawracaj – zawołał Marty. – To naprawdę nie wygląda dobrze!

– Jako dziecko przebiegłem bardzo szybko i tylko dlatego mi się udało.

Tymczasem pokonałem jedną czwartą drogi, a bezpieczny brzeg wydawał się nieskończenie daleko. Wrócić, pomyślałem. Dalej być tym, kim się było. Nagle poślizgnąłem się.

Tylko dzięki refleksowi i odrobinie szczęścia utrzymałem się na nogach. Bicie serca poczułem aż w gardle. To nie miało sensu. Ostrożnie zawróciłem i podszedłem do Marty'ego. Jak bokser powracający chwiejnie do narożnika, pokonany przez własne młodsze ja.

*

Toni po sprzedaży firmy przez dwa lata mieszkał w Los Angeles i studiował w Chavez School of Magic, najlepszej szkole dla magików, a w wolnym czasie jeździł po Stanach na motocyklu, dotarł nawet do Ziemi Ognistej. Teraz niespodziewanie wrócił do Berlina, a do czasu

znalezienia mieszkania spał u mnie na kanapie.

Pewnego wieczoru siedziałem z nim w barze, kiedy weszła moja siostra. Nie rozglądała się na boki i nas nie zauważyła. Przysiadła się do grupy dziewcząt przy narożnym stoliku, zapaliła papierosa i natychmiast zdominowała całą rozmowę. Liz z kieliszkiem w dłoni wyglądała czarująco, a mówiła jak ktoś umierający z pragnienia, kto właśnie dostał szklanek wody: łakoma każdego pojedynczego słowa.

Toni chciał do niej podejść, ale powstrzymałem go. Słyszałem, jak moja siostra mówi niskim scenicznym głosem coś o „podrywaniu”.

– Najlepsze było to na Gothic Party na Lower Eastside – opowiadała głośno – kiedy zagadnął mnie mężczyzna w skórzanych ciuchach, z brodą i dwoma przyklejonymi rogami.

– I co powiedział? – spytała jedna z przyjaciółek.

Liz rozkoszowała się tą chwilą.

– Podszedł bardzo blisko i zapytał niskim głosem: „Jesteś gotowa przespać się z demonem?”. – Jej nieco wulgarny śmiech rozległ się w całym barze, inne dziewczyny też się śmiały.

Toni popatrywał na mnie raz po raz.

– Czy ona wreszcie odpowiedziała na mój list?

Później pojechaliśmy razem do Klubu Wizjonerów. Moja siostra i Toni siedzieli obok siebie na pomoście, mocząc stopy w Szprewie. Toni nieustannie z nią flirtował, co z kolei prowokowało Liz. Nie traktowała go już jak przyjaciela brata, lecz jak mężczyznę, odchyliła się nonszalancko do tyłu i mierzyła go wzrokiem. Ramiączko czarnej sukienki zsunęło jej się nieco, jasne włosy miała rozpuszczone, nagie nogi założone jedna na drugą. Była przyczajona, chciała wiedzieć, czy złośliwości Toniego są tylko udawane, a on sam jest w zasadzie miłym facetem, czy też rzeczywiście tkwi w nim coś mrocznego, męskiego. Moja siostra miała znowu owo drwiące, wyniosłe spojrzenie, zabarwione niszczycielską nutą, któremu Toni musiał stawić czoło.

Jedna sekunda, dwie... Potem odwracał wzrok. Za każdym razem. Dokładnie to widziałem. Nie miał żadnych szans.

Usiłowałem nawiązać rozmowę ze znajomymi Liz, ale niezbyt mi się udawało i kiedy cała grupa postanowiła odwiedzić jeszcze jeden klub, pożegnałem się. W domu czekała na mnie cisza, znana od lat. Dostyc już miałem tej egzystencji pustelnika, tej niezdolności do udziału w życiu. Zawsze tylko śniłem, nigdy nie żyłem tak naprawdę, na jawie. Popatrz na siebie, pomyślałem, dlaczego w towarzystwie tak tęsknisz za samotnością, a jednocześnie z takim trudem ją znosisz?

Otworzyłem laptop. Dwa nowe mejle. Marty napisał, że kwestią ślubu zajmuje się w całości rodzina Eleny, a on sam został wyłączony z przygotowań. Druga wiadomość była od kolegi ze studiów prawniczych, który wysłał mejl zbiorczy. Wkurzony usunąłem go. Jakiś czas oglądałem telewizję, przełączałem programy na chybił trafił. Kiedy już zamierzałem położyć się spać, nadszedł jeszcze jeden mejl. Napisany o godzinie 2.45. Przetarłem oczy i otworzyłem go.

Przez ostatnie lata ciągle o Tobie myślałam. Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku. Miło byłoby spotkać się znowu.

Alva

*

Następne tygodnie spędziłem w radosnym napięciu. Nawet wesele Marty'ego, z tymi

wszystkimi uroczystymi momentami oraz jego chorwackimi teściami i szwagrami, tylko na moment wyrwało mnie z tego stanu. Jakby ta jedna wiadomość przywróciła do życia całą moją przeszłość.

Alva mieszkała w Szwajcarii. Po dłuższej wymianie mejli – często nie odpowiadała całymi dniami – postanowiliśmy spotkać się w pół drogi, w Monachium. Pojechałem do swojego rodzinnego miasta, przedpołudnie wykorzystałem na odwiedzin u brata. Właśnie wrócili z Eleną z miodowego miesiąca w Hiszpanii.

– Zdenerwowany? – rzucił Marty.

Przedzieraliśmy się przez ułożone w stosy, po części jeszcze nierozpakowane prezenty ślubne. Wypełniony był nimi cały salon.

– Nie mogę uwierzyć, że zaraz ją zobaczę.

– Ma kogoś? – zapytał mój brat, celując w jasnozielone pudło.

Siostrzeńcy Eleny zapomnieli zabrać swoje pistolety soft air, więc strzelaliśmy z nich do prezentów ślubnych.

– Słyszałem, że jest zamężna – powiedziałem i strzeliłem do długiego zapakowanego w czerwony papier przedmiotu. Zadzźwięczało, prawdopodobnie pudełko ze sztuczkami.

– Aha, podobno słyszałeś.

Marty oddał trzy szybkie strzały do białego pakunku, który stał na komodzie w dużym pokoju, a teraz spadł na podłogę. Opakowanie pękło, a na światło dzienne wyjrzał tani zegar kuchenny w formie mainzolutka[4]. Marty podniósł go ze wstrętem.

– Ale złom. – Postawił zegar na komodzie. – Co za ludzie dają takie prezenty?

– Tak to jest, kiedy nie ma się prawdziwych przyjaciół.

– Ty także nie masz przyjaciół.

– Wiem. Jeżeli kiedyś się ożenię, to z mojej strony będzie troje gości. Ty, Liz i być może Toni.

– Przykro mi, ale tylko dwoje – sprostował mój brat. – Ja nie będę miał czasu.

– Bardzo się zmieniłeś, odkąd jesteś żonaty. I to na gorsze.

Wycelowałem w mainzolutka, strzelałem między wybałuszone oczy, aż w końcu spadł znów z komody i się rozbił.

– Gdzie właściwie mieszka Alva? – Marty wpakował całą serię w niebieski pakunek.

– W Lucernie, od paru lat. Może mówi już w szwajcarskim niemieckim.

Nagle Marty wycelował broń we mnie.

– A jeżeli naprawdę jest mężatką?

– Tak też zakładam. – Wycelowałem w niego. – Zasłużyła na to.

– Ale masz nadzieję, że nie, co? – Marty wyszczerzył zęby. – Widzę to po tobie.

– Bez komentarza.

– Nadzieja jest dla idiotów.

– Pesymizm też.

Wskazał podbródkiem na lewo. Prezent gigant. Stojąca na stole ogromna waza zawinięta w satynowy papier w landrynkowym kolorze.

– Na trzy?

– Raz, dwa... trzy!

Wystrzelaliśmy jednocześnie po całym magazynku. Waza chwiała się przez chwilę, a potem z hukiem spadła na podłogę. Uśmiechnęliśmy się do siebie i rozejrzeliśmy się wokół.

Duży pokój był już całkowicie zdewastowany.

– Posprzątajmy – zaproponował Marty i dmuchnął w lufę swojego pistoletu. – Zaraz wróci Elena.

*

Bar, w którym miałem spotkać się z Alwą, znajdował się w dzielnicy Glockenbach, niedaleko dawnego mieszkania ciotki.

Byłem zdenerwowany jak nastolatek i przyszedłem kwadrans za wcześnie. Chciałem już wyjść (żeby tylko nie być pierwszy), kiedy przy stoliku obok wejścia zauważyłem rudowłosą kobietę. Miała założoną nogę na nogę i rozmawiała z kelnerką.

Przez kilka sekund patrzyłem na wąski nos Alvy, okulary w czarnej oprawce, usta o pięknym łuku i pełne wargi, delikatne obojczyki. Na jej białą, nadal nieskazitelną cerę i szczupłą figurę. W pierwszym momencie zrobiła na mnie wrażenie obcej osoby, takiej dorosłej.

Najbardziej zmieniły się jej oczy. Wciąż były duże i w kolorze świetlistej zieleni, jednak zniknął

z nich cały chłód. Zadawałem sobie pytanie, jak to się stało, kiedy nagle mnie dostrzegła.

– Hej – powiedziała.

Jak mogłem zapomnieć brzmienie jej głosu! Krótkie objęcie, a ja uśmiechałem się tak bardzo, aż rozboleły mnie policzki, ale nie umiałem wyłączyć tego uśmiechu. Siedziała na wyściełanej ławce, ja na krześle. Między nami mały okrągły stolik.

– Od kiedy jesteś punktualna?

– Właściwie to w ogóle. Chciałam jednak koniecznie być tu przed tobą i zobaczyć, jak wchodzisz... Ale cię przegapiłam.

Alva miała na sobie czarne dżinsy, szary sweter z dużym wycięciem i robiła wrażenie pewnej siebie, tajemniczej, ale także nieco wyczerpanej.

– Mam coś dla ciebie – powiedziałem i dałem jej prezent.

– Mogę otworzyć?

Alva nie rozerwała opakowania, lecz ostrożnie odwinęła prezent, prawie z czułością.

Wyjęła album. *Pink Moon* Nicka Drake'a.

– Pamiętasz jeszcze? – zapytałem. – Słuchaliśmy tego, kiedy po raz pierwszy byłeś u mnie w pokoju. Podobało ci się, pamiętam.

Myślę, że się ucieszyła, w każdym razie ciągle spoglądała na płytę i przesuwała palcami wzdłuż wytartego brzegu.

Na początku byłem zdenerwowany i mówiłem bardzo szybko. Alva słuchała, jak przedstawiłem kilka szczegółów ze swojego życia, potem opowiedziała o swoich studiach literackich w Moskwie, które przerwała już po jednym semestrze. Krótkie wzajemne obwąchiwanie się.

– A gdzie pracujesz? – zapytałem w końcu.

– Szczerze mówiąc, nie pracuję.

– Dlaczego?

Alva wzruszyła ramionami. Udawała, że to nie ma znaczenia, ale nawet po tylu latach wyczuwałem, kiedy stawała się nerwowa. W ogóle w swojej opowieści pomijała istotne rozdziały, ominęła szerokim łukiem lata spędzone w Rosji, ukrywała, co robi teraz, i mówiła właściwie tylko o wydarzeniach z dalekiej przeszłości.

Przesunęła dłońmi po stole i ujęła moje.

– To takie cudowne, widzieć cię tutaj. Bałam się, że nie przyjdiesz.

– Dlaczego?

Alva odsunęła rękę.

– Dobrze wyglądasz. – Przyjrzała mi się. – I masz piękny uśmiech, Jules. Chciałam ci to powiedzieć już wtedy, w szkole. Kiedy się uśmiechasz, robisz wrażenie innego człowieka, nie tak zamkniętego w sobie. Naprawdę powinieneś częściej się uśmiechać. – Nagle stała się bardzo pobudzona. – Tak, właśnie tak jak teraz. Ale powiedz, co ty właściwie robisz?

– Pracuję w wydawnictwie płytowym. – Zamówiłem drinka, ona cappuccino.

– Zamierzałem wyjechać do Włoch, a wtedy moja siostra powiedziała mi o tej posiadzie.

W każdym razie praca nie jest taka zła. Dużo prawniczego kramu, ale coraz częściej też opiekuję się zespołami.

Moja praca zazwyczaj robiła na ludziach wrażenie, Alva jednak wydawała się niezbyt zachwycona.

– Muzyka oczywiście do ciebie pasuje. Ale zawsze myślałam, że zajmiesz się czymś samodzielnym, na przykład pisaniem. Twoje opowiadania uważałam za wspaniałe. A dlaczego nie fotografia? Zawsze tak chętnie robiłeś zdjęcia.

Wzruszyło mnie, jak bardzo we mnie wierzyła. Była jedynym człowiekiem, który naprawdę lubił moje opowiadania i zdjęcia.

– Próbowałem jako fotograf, ale nie szło mi za dobrze. W pewnym momencie rzuciłem to.

– Dlaczego?

– Zbyt wiele odmów. Zbyt dużo frustracji.

Alva się zamyśliła. Potem posłała mi krótkie spojrzenie.

– Naprawdę tylko dlatego przestałeś?

Przejrzała mnie, jak zwykle.

– Nie. Zrozumiałem po prostu, że ja... – Opróżniłem szklankę i przesuwalem w niej dwie kostki lodu, które kapały się wcześniej w bursztynowym płynie. – Zapomnij, to nie takie ważne. Innym razem.

Rozmowa się urwała. Pierwsze podniecenie wywołane ponownym spotkaniem przeminęło, wszystko stało się takie formalne, takie wymuszone. Nagle wydało mi się wręcz, jakby nasze prawdziwe „ja” były gdzieś daleko, a my wysłaliśmy do baru negocjatorów, którzy nie mieli pełnomocnictw do rozmawiania na prawdziwie ważne tematy.

– Jakiej muzyki teraz słuchasz? – spytała w końcu Alva.

Na jej życzenie wyjąłem swój odtwarzacz MP3 i usiadłem obok niej na ławce.

Podzieliliśmy się słuchawkami i wysłuchaliśmy kilku utworów. Z każdą piosenką bardziej się odprężała.

– To jest ładne – powiedziała, kiedy puściłem jej *Between the Bars* Elliotta Smitha.

Rozpromieniła się. – Naprawdę mi się podoba.

I przez moment, kiedy siedzieliśmy obok siebie i słuchaliśmy muzyki, byliśmy sobie znowu tak bliscy jak w internacie.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytałem.

Poirytowana zdjęła słuchawki.

– Co?

– Czy jesteś szczęśliwa?

Początkowo jakby chciała uciec od odpowiedzi, a ja przestraszyłem się, że pytanie jest zbyt bezpośrednie. Wzruszyła ramionami.

– A ty?

Także wzruszyłem ramionami.

– Ale jesteśmy zgodni – zawołała radośnie.

Wskazałem na jej cappuccino.

– Myślałem sobie, że kiedy znowu się spotkamy, to się upijemy.

– Zawsze możemy to jeszcze zrobić.

– Co powiesz na dzin?

– Lepiej nie. Ostatni raz, kiedy piliśmy dzin, było jakoś dziwnie, przypominasz sobie?

Tańczyłeś przede mną, a ja byłam zupełnie pijana. Niewiele brakowało, a bym się na ciebie rzuciła.

Powiedziała to tak po prostu i zaczęła studiować kartę napojów.

Dwa drinki później siedzieliśmy jeszcze bliżej siebie. Nie wiem, czy sprawił to alkohol, czy muzyka, ale nagle wydało nam się, że ostatnio spotkaliśmy się wczoraj, tylko że to wczoraj było przed wielu laty. Przegapiłem już jeden pociąg i postanowiłem przegapić jeszcze następny.

Wprawdzie plątał mi się już trochę język, ale za to powiedziałem wreszcie to, co chciałem powiedzieć.

Także Alva odżyła.

– A jak tam z kobietami? – zapytała.

– Ach, znasz mnie przecież. Rzucają mi się na szyję, nawet w drodze do baru trafiły się takie dwie. Trudno to wytrzymać.

Walnęła mnie w odpowiedzi w ramię, a cały wieczór stał się jednym wielkim

„A pamiętasz?” oraz „Niesamowite, jak myśmy wtedy...”. Wymienialiśmy się historyjkami, ona mówiła swoim cichym głosem, że nadal słucha kaset, aby zasnąć, albo opowiadała o latach spędzonych w Rosji i o tym, jak handlarze w moskiewskim metrze chodzą od przedziału do przedziału i wciskają podróznym zabawki erotyczne lub pirackie kopie DVD i książki („Brakuje wprawdzie kilku ważnych stron, ale za to książka prawie nic nie kosztuje”), w rewanżu opowiedziałem jej o ślubie Marty’ego, o jego tańcu z panną młodą, który wykonał jak źle zaprogramowany robot, ale za to połowę swojej mowy na bankiecie wygłosił w nienagannym chorwackim. Dawno zrobiło się już ciemno, a my rozmawialiśmy o samotności, której doświadczamy od czasu do czasu (ja: „To ciągłe bycie samemu zabija mnie”. Alva: „Tak, ale bycie z kimś przypadkowym to nie jest antidotum na samotność. Antidotum na samotność to poczucie bezpieczeństwa”). Ja, przywołując kelnera: „I za to się napijemy!”). Nie mogłem przestać wpatrywać się w piękną twarz Alvy, jak z filmu *noir*, w jej wielkie, błyszczące jasnozielone oczy. Jeszcze jeden drink i ogarnęło nas błogie upojenie. Ku własnemu zdumieniu oznajmiłem: „Najchętniej rzuciłbym tę pracę, wyniósł się z Berlina i po prostu pisał”, i nagle poczułem, jakbym odzyskał swój wewnętrzny głos. Przyznałem wreszcie, że brakowało mi jej, że przez te wszystkie lata ciągle musiałem o niej myśleć, a ona tuż przy moim uchu szepnęła: „Ja o tobie też”, i poczułem na karku mrowienie, upajałem się tym miękkim jak aksamit napięciem między nami i zorientowałem się, że nasze nogi się dotykają, i ciągle pytałem sam siebie, czy ona to zauważyła, czy spostrzegła, że mówiąc, ciągle przysuwa się do mnie tak blisko, że jej włosy łaskoczą mi twarz, czułem zapach jej perfum, czy może nawet robiła to specjalnie, i wtedy chciałem już jej nawet powiedzieć, że wówczas zbyt późno zrozumiałem, że ją kocham, ale ona opowiadała właśnie o swojej praktyce w Nowej Zelandii, a ja przegapiłem przedostatni pociąg i patrzyłem na jej ręce, którymi gestykulowała, albo na jej zęby, kiedy się śmiała, co tego wieczoru robiła dosyć często, zaakceptowała swój krzywy ząb i nie zasłaniała już ust dłonią.

– Dlaczego jedzenie pizzy jest dla ciebie przezwyciężaniem traumy? – zapytała.

– No, z powodu domu dziecka – wyjaśniłem. – Wtedy nie dostawaliśmy wystarczająco dużo jedzenia na kolację, a jeżeli już, to było niedobre. Właściwie nie mieliśmy dosyć kieszonkowego, aby sobie później zamówić pizzę, ale od czasu do czasu ktoś z nas to robił.

Pół

godziny później na podwórzu internatu zajeżdżało białe auto dostawcy. Zamawiający płacił i odbierał cudownie pachnącą pizzę, a z okien śledziły go niezliczone pary oczu. I jak tylko wszedł do budynku, wszyscy rzucaliśmy się na niego. „Proszę, tylko jeden kawałek, ja też ci zawsze dawałem”. Albo: „Dostaniesz następnym razem, jak ja zamówię, całą ćwiartkę pizzy, obiecuję. Tylko kawałek!”. Należało dzielić się z innymi, jako że następnym razem było się zdany na ich wspaniałomyślność. Dlatego nigdy nie czułem się najedzony. Stąd we mnie głód, niezaspokojony do dziś. Trwający przez dziewięć lat potworny apetyt, a dzisiaj, bez względu na to, ile pizzy zjem, nie będę miał dosyć.

Alva upiła swojego drinka.

– Myślałam właśnie o twoim mejlu. – Posłała mi rozbawione spojrzenie. – Naprawdę nadal chcesz mieć dzieci?

Przytaknąłem.

– Tak, chciałbym być lepszy od swojego ojca. – Nawet w tej bardzo luźnej atmosferze głos mi zadrżał. – Nie, chciałbym być lepszy niż oni oboje. Chciałbym po prostu przeżyć i zawsze być dla dzieci. Kiedy pójdą do szkoły, kiedy wejdą w okres dojrzewania, kiedy się zakochają, kiedy staną się dorosłe. Chciałbym je obserwować, chciałbym wiedzieć, jak to jest, kiedy nie są w tym wszystkim same.

Nagle Alva spowaźniała.

– Jak się czułeś, kiedy przyjechałeś z rodzeństwem do internatu? Często zadawałam sobie to pytanie. Nagle stracić rodziców, wszystkich starych przyjaciół, dom, wszystko. Zwłaszcza pierwsza podróż do domu dziecka musiała być straszna.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedziała.

– Mówiąc szczerze, nic już nie pamiętam.

– Zwykle o niczym nie zapominasz. – Wskazała na płytę Nicka Drake’a. – O tym pamiętałeś... Musisz przecież coś pamiętać.

– To nie jest już ważne. Byliśmy po prostu w internacie, ale jak tam przyjechaliśmy...

Nie mam pojęcia.

Alva była rozczarowana.

– Trafiłam do tej szkoły parę miesięcy przed tobą, wtedy się przeprowadziliśmy.

Pierwszego dnia o mało nie zwymiotowałam. Pamiętam każdą sekundę.

To było dla mnie coś nowego, myślałem, że zawsze chodziła do naszej szkoły. Jak mało istotnych rzeczy o nas samych opowiadaliśmy sobie wówczas.

Pogrzebałem w pamięci raz jeszcze, ale nie znalazłem tam żadnych obrazów z pierwszej podróży do internatu, co najwyżej fragmenty, które od razu się rozplywały. Zaginione miejsca w objechanej przeze mnie wzdłuż i wszerz krainie przeszłości.

Spojrzelśmy na siebie, mając uczucie, że powiedzieliśmy już wszystko poza sprawami, które koniecznie chcieliśmy przemilczeć.

– Dlaczego nie pracujesz? – zapytałem ponownie.

Alva zawahała się, odgarnęła włosy do tyłu. I dopiero teraz zobaczyłem te dwie delikatne blizny na jej szyi, tuż pod lewym uchem. Dwa długie cięcia. Chciałem przesunąć po nich palcami, ale w ostatnim momencie powstrzymałem się.

– Co się stało?

Spojrzała na mnie przestraszona i natychmiast opuściła włosy na uszy. Niespokojna wypila resztkę drinka i po raz pierwszy tego wieczoru w jej spojrzeniu pojawiło się coś mrocznego, prawie nieobecnego.

– Nie chcę o tym mówić – odpowiedziała cicho.

A po sposobie, w jaki odstawiała szklanekę na stół, po tym brzęku wiedziałem już, że magia tego wieczoru ulotniła się, że czas przestał biec dla nas do tyłu, że pędzi znowu do przodu.

Alva spojrzała na zegarek.

– Kiedy właściwie odchodzi twój pociąg?

Rano musiałem być na spotkaniu w firmie. Podwiozła mnie na dworzec, w taksówce nie zamieniliśmy ani słowa. Wszystko działo się bardzo szybko, a ja nawet nie zapytałem, czy ona chce mieć dzieci. I dlaczego nagle stała się taka spięta.

Staliśmy już na peronie.

– Może odwiedzisz mnie w Berlinie?

W pierwszej chwili Alva nawet się ucieszyła, ale potem na jej twarzy zauważyłem po prostu zdystansowanie.

– Nie wiem, czy słyszałeś, że jestem mężatką.

Na moment zaparło mi dech, patrzyłem na swoje dłonie i wszystko widziałem w zwolnionym tempie. Dopiero teraz zrozumiałem, że wcale nie miałem zamiaru wsiadać do tego ostatniego nocnego pociągu, że w ogóle nie chciałem już wracać.

Kiedy ponownie spojrzałem na Alwę, wyciągała coś z torebki.

– Ja także mam dla ciebie prezent. Nie wiedziałam tylko, kiedy ci go dać. Jest ode mnie i od mojego męża.

Paczuszka wielkości książki. Wziąłem ją do ręki, ale nie otworzyłem. A potem po prostu objąłem Alwę. Oplotła ramionami moje plecy i nagle zdałem sobie sprawę, jak wygłodzony byłem przez te wszystkie lata. Nie wypuszczała mnie z uścisku ani ja jej. Staliśmy na peronie bez ruchu jakąś minutę, a ja uświadomiłem sobie, że po tym wieczorze nigdy już się nie zobaczymy.

Mój czas z nią należał w sposób nieunikniony do przeszłości, a ja nie mogłem tego znieść.

Wsiadając do pociągu, starałem się, by nie widziała mojej twarzy. Rzuciłem płaszcz i prezent od niej na siedzenie, pozbierałem się nieco i spojrzałem na innych pasażerów, którzy rozmawiali ze sobą, rozkładali gazety lub laptopy.

Zanim rozległ się ostatni gwizdek konduktora, poszedłem jeszcze do drzwi. Poczulem jej dłoń na ramieniu.

– Trzymaj się, Jules.

Skinąłem głową.

– Ty także.

Drzwi się zamknęły. Przez porysowane okno widziałem, jak mi macha, pociąg już ruszył, a kiedy szedłem na swoje miejsce, dworzec przesuwał się obok mnie.

Myślałem o spotkaniu następnego dnia i o kontrakcie z pewnym muzykiem, który miałem sporządzić, a potem znowu pomyślałem o Alvie stojącej na peronie. Przeszył mnie potworny ból.

Zamknąłem oczy. Była noc, a ja biegłem przez falujące pola pszenicy w ciemność. Stawałem się coraz złejszy, nagle uniosłem się w powietrze. Czulem wiatr, rozpostarłem ramiona i leciałem wciąż szybciej i szybciej. Pode mną las, nade mną nic. Rzucano mną w powietrze, a ja odlatywałem dalej i dalej, jakbym leciał do domu.

Lot czasu
(2005–2006)

Nie rozpakowałem prezentu od Alvy. Po spotkaniu z nią zgasła cicha nadzieja, którą nosiłem w sobie przez te wszystkie lata. Od tego momentu traktowałem swój los obojętnie, a czas, jaki potem nastąpił, był bez znaczenia, bezwartościowy jak zmięty kawałek papieru.

Dopiero dwa i pół roku później usłyszałem o niej znowu. Byłem już od dłuższego czasu związany z Norah, dawną koleżanką z pracy. Pochodziła z Bristolu i była hipochondryczką; oboje natychmiast przełączaliśmy telewizor, kiedy pokazywano program o jakichś ciężkich chorobach. Nie zaskoczyło jej, że młodość spędziłem w domu dziecka: „Kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz, jak jesz i połykasz wszystko jak obłąkany, pomyślałam tylko: więzienie albo internat”. Norah wyjechała właśnie na trzymiesięczną praktykę do Anglii. Wcześniej zrobiła kilka aluzji, dając do zrozumienia, że się we mnie zakochała. Wprawdzie nie kochałem jej tak jak ona mnie, ale nie wydawało mi się to aż tak ważne.

W wydawnictwie zostałem kierownikiem wydziału A&R[5], jeździłem po całej Europie, aby oglądać zespoły, których nagrania demo brzmiały obiecująco. Praca ta była przywilejem, a niektórzy młodzi koledzy skarżyli się wręcz z powodu mojego awansu. Dlaczego to wszystko ma robić Jules, pytali i twierdzili, że jestem zbyt anachroniczny oraz mało wrażliwy. Jednak szef wsparł mnie, a zespoły, z którymi podpisałem kontrakty, rzeczywiście odnosiły sukcesy. Nigdy nie szukałem artystów po prostu bardzo utalentowanych, jako że takich było zadziwiająco wielu.

Szukałem zespołów i piosenkarzy, którzy chcieli. Więcej niż chciałem ja sam jako fotograf.

Byłem przekonany, że można się zmusić do bycia kreatywnym, że można pracować nad swoją wyobraźnią, ale nie nad swoją wolą. Prawdziwym talentem była wola. Dzisiaj jestem pewny, że właśnie takie podejście najbardziej przeszkadzało moim kolegom.

Liz i Toni zostali tymczasem dobrymi przyjaciółmi, moja siostra często chodziła z nim na pchli targ, oglądała jego występy jako magika albo jeździła z nim na motocyklu. Tylko nigdy nie rozmawiali na jeden temat.

– Czy coś właściwie was łączy? – zapytałem pewnego razu.

– Nie gadaj bzdur. Toni jest o wiele za niski.

– Jest tylko kilka centymetrów niższy od ciebie, czy to rzeczywiście przeszkoda po wsze czasy? Jesteś taka małostkowa?

Moja siostra spojrzała na mnie, jakbym nie miał zielonego pojęcia, o czym mówię.

– W każdym razie nic między nami nie ma, on po prostu mnie pilnuje.

Wiedziałem, że była taka noc, kiedy Liz wzięła coś zbyt mocnego. „Taki mały epizod”, jak to nazywała. Nie mogła wtedy mnie złapać i w rozpaczynie zadzwoniła do Toniego, który natychmiast do niej przyszedł. Przesiedział całą noc na krześle obok jej łóżka.

– I w pewnym momencie powiedziałem jej, że ją kocham od zawsze – zwierzył mi się później Toni. – Liz powiedziała, że o tym wie. Stwierdziłem, że niczego nie oczekuję, że chciałem tylko wyjaśnić sytuację. – Roześmiał się. – Że w przyszłości wystarczy mi, jeżeli będę mógł jej pilnować, tak jej powiedziałem. I wiesz co? – Toni spojrzał na mnie. – To mi naprawdę wystarcza. Jasne, że chcę więcej, ale tak, jak jest teraz, też jest okay.

– Czy mogę cię zacytować za parę miesięcy, kiedy ona będzie miała nowego chłopaka?

– Raczej nie.

Liz pracowała już na pełnym etacie jako nauczycielka w gimnazjum. Podczas jednej z kolacji opowiedziała mi o uczniu, który pisał do niej potajemnie listy miłosne.

– Jest jednym z najgorszych uczniów w klasie – mówiła. – Zawsze błędnie pisał słowo „uczucia”, z drugim „u” kreskowanym. Słodkie, prawda? – Roześmiała się dziecinnie zawstydzona.

I ten właśnie uśmiech przypomniał mi dawno zapomnianą scenę.

Pomyślałem znowu o Alvie i o naszym spotkaniu w Monachium. W pierwszej chwili uznałem to za sentymentalny odruch, potem jednak zrozumiałem, że to nie chodzi o samą Alwę, lecz o odpowiedź na pytanie, które mi wówczas zadała: jak się czułem, kiedy po śmierci rodziców przyjechałem z rodzeństwem po raz pierwszy do internatu?

Obraz ten powoli wyłaniał się z bieli, jak zdjęcie z polaroidu.

Ponad dwadzieścia lat temu, w tunelu przeszłości, siedziałem w samochodzie na tylnym siedzeniu, obok mnie Marty. Wizja zamieszkania w domu dziecka dręczyła mnie podczas całej podróży. Myślałem ciągle o pogrzebie rodziców. O tych dwóch małych dziurach, do których włożono ich urny.

Za szybą przesuwały się nagie zimowe krajobrazy, zniknął ostatni promień dnia.

A w środku tego mrocznego nastroju Liz zaczęła zachwycać się naszym nowym domem.

– Założę się, że mają tam szkolne mundurki – powiedziała. – Bluzki i spódniczki dla dziewczyn i garnitury z krawatem dla chłopców.

– Nie lubię garniturów – odparł Marty. – I krawatów też nie.

– Jadalnia jest z pewnością ogromna – mówiła dalej Liz. – Chyba mają też basen. Są boiska, można grać w tenisa lub nawet w krykieta.

– Nie lubię krykieta – wtrącił Marty, który już od kilku tygodni co drugie zdanie zaczynał od „nie lubię”. – Gra się w to przecież tylko w Anglii i w Indiach.

Ale Liz pędziła już dalej i rysowała przed nami pełne przepychu sypialnie oraz wspaniale wyposażone wspólne kuchnie. Dziwiłem się wtedy, ale teraz, po latach, zrozumiałem, że po prostu się bała. Na serwetce napisała po raz ostatni swoje imię. *Liz, Liz, Liz.*

Pierwsze tablice informowały o internacie. Wyobrażałem sobie, jak przyjmą mnie tam koledzy, i na samą myśl o tym skurczył mi się żołądek.

– Tam będzie genialnie – oświadczyła moja siostra. – A wy jak myślicie?

– Nie! – Marty czyścił okulary i spojrzał na mnie zatroskany.

Także ciotka usiłowała dodać nam otuchy.

– Jako dziecko zawsze chciałam mieszkać w internacie. Ale nigdy mi się to nie udało. Na pewno będzie wspaniale.

– Właśnie, wspaniale – powtórzyła Liz. – Zaraz dojedziemy. Nie mogę się już doczekać.

Kiedy w ciemnościach ujrzeliśmy zaniedbany, nędzny budynek internatu, w którym świeciło się tylko kilka okien, zamilkła również i ona.

Z samochodu widziałem, jak kierowniczka domu rozmawia z ciotką, jak moje rodzeństwo wyjmuje swoje rzeczy z bagażnika i niepewnie staje na parkingu. Ja także wysiadłem i chciałem ze swoją walizką do nich podejść, ale kierowniczka internatu zakomunikowała, że piąto-i szóstoklasiści są zakwaterowani w oddzielnym budynku. Zanim pojąłem, że rozdziela mnie z rodzeństwem, Marty i Liz zarzucili torby na ramiona i po krótkim pożegnaniu zniknęli w dużym budynku. W drzwiach siostra odwróciła się po raz ostatni i spojrzała na mnie – w jej spojrzeniu odbijało się wszystko to, co miało się później wydarzyć. Udało jej się wykrzesać jeszcze uśmiech, dziecinnie zawstydzony, potem zniknęła i upłynęły całe lata, zanim powróciła.

*

Pod koniec jesieni 2005 roku, po jednym z koncertów w Bawarii, odwiedziłem brata.

Z Eleną i jej siostrzeńcami i siostrzenicami poszliśmy na festyn ludowy. Popołudniowe słońce otuliło złotą poświatą karuzele i budki z przekąskami, zewsząd dobiegały dudniąca muzyka i głośny gwar, owiewał nas zapach prażonych migdałów. Marty oznajmił, że książki będziemy wkrótce czytali już tylko w wersji elektronicznej.

– To jakaś bzdura! – powiedziałem. – Przecież w ten sposób wypatroszymy całą rzeczywistość. Wyrzucimy książki, płyty i filmy, do takiego zdigitalizowanego świata nie da się

nigdy wejść. W przyszłości dzieci będą siedziały w pustych białych pokojach.

– White Wall Kids – stwierdził mój brat. – Niezła nazwa dla zespołu muzycznego.

Zmarszczyłem czoło.

– Dawniej trzeba było czekać, aż film się wywoła. Kochało się nie tylko zdjęcia, ale także radość oczekiwania, kiedy wreszcie weźmie się je do ręki.

– Niestety, dziadku. – Na twarzy Marty’ego pojawiła się zapowiedź uśmiechu. – Nikt nie zdoła cofnąć czasu.

Machnąłem ręką. Jednak później coś w naszej rozmowie zaczęło mnie uwierać, jak małe skaleczenie na palcu, które zauważa się dopiero po dobrej chwili. Chodziło o zdanie „Nikt nie zdoła cofnąć czasu”, które długo jeszcze zaprzętało moje myśli.

– Wszystko w porządku? – Marty mnie szturchnął. – Wyglądasz na przygnębionego.

– Wszystko okay.

– No, nie wiem. Niedługo skończysz trzydzieści trzy lata, a mam wrażenie, że czas przecieka ci przez palce. Mówiłeś niedawno, że nienawidzisz tego, co robisz.

– Powiedziałem tylko, że mam nadzieję, że nie będę się tym zajmował do końca życia.

I co z tego? Wszystko jest okay. Przestań się ciągle martwić.

Być może powiedziałem to nieco zbyt głośno.

– Jules, do cholery, nie zamierzam się z tobą kłócić. Nie chciałem tylko, żebyś gdzieś tak koło pięćdziesiątki ocknął się i stwierdził, że zaprzepaściłeś swoje szanse. Ty ciągle żyjesz marzeniami, w innym świecie – Marty złapał mnie za ramiona. – Musisz w końcu zapomnieć o przeszłości. Wiesz, ilu ludziom było gorzej niż nam? To nie twoja wina, że miałeś kiepskie dzieciństwo ani że zginęli rodzice. Ale jesteś winien temu, co te fakty robią z tobą. Sam ponosisz odpowiedzialność za to, jak wpływają na ciebie i twoje życie. A jeżeli robisz tylko to, co robiłeś zawsze, to w rezultacie dostaniesz wyłącznie to, co zawsze dostawałeś.

Milczałem, przez ostatnie minuty już go właściwie nie słuchałem. Nagle dostrzegłem młot siłomierz. I coś mnie naszło. Zapłaciłem bez zastanowienia, chwyciłem młot i z całej siły uderzyłem w zaznaczone miejsce. Metalowa kula podskoczyła do góry, ale tylko do kreski oznaczającej osiemdziesiąt procent.

W kolejne uderzenie władowałem wszystko, co się we mnie nagromadziło, całą złość i frustrację. Tym razem kula podniosła się zaledwie do sześćdziesięciu pięciu procent.

Metaliczny głos klauna z aparatu zadrwił:

– Nie stać cię na więcej?

Uderzyłem ponownie. Siedemdziesiąt procent.

– Tylko tyle? – Skrzeczący głos automatu zaśmiał się ochryple.

Uderzyłem w niewielki czarny znak jeszcze raz, i jeszcze, ale wszystko, na co było mnie stać, było zbyt słabe i kula nigdy nie podskoczyła na samą górę.

Tego wieczoru otworzyłem prezent od Alvy.

Było to kieszonkowe wydanie książki *Przemieniona myśl i inne opowiadania* A.N. Romanowa. Nostalgiczny podarunek, jak moja płyta Nicka Drake'a: w szkolnych czasach Romanow należał do naszych ulubionych pisarzy.

Najpierw przeczytałem dedykację od Alvy, dosyć zwięzłą. Poniżej dopisał się prawdopodobnie jej mąż.

*Drogi Julesie,
moja żona mówi o Panu tylko dobrze.
Życzę miłej lektury.
Z serdecznymi pozdrowieniami*

Aleksander Nikolaïj

Przeczytałem te słowa kilka razy. Czy to możliwe? Przypomniałem sobie, z jakim zachwytem Alva wyrażała się o opowiadaniach Romanowa. Jak pełnym czci głosem czytała mi ich fragmenty. Dlaczego nie powiedziała, że wyszła za niego za mąż? Czyżby chciała oszczędzić mi upokorzenia, że nie dorastałem mu do pięt?

Pojechałem vespą za miasto. Pod wieczór, w porze ciemnego błękitu, w pobrzasku jak z innego świata okolica wabiła tajemniczością. Z oddali dobiegało tylko głucho dudnienie miasta.

I właśnie tutaj, na pustkowiu poczułem dojmujący, niemal fizyczny ból, bo uświadomiłem sobie, że zmarnowałem swój czas. Walczyłem o minuty, kiedy trzeba było złapać autobus, a zaprzepąściłem całe lata, bo nie zrobiłem tego, co chciałem.

Jeszcze tej samej nocy napisałem utrzymany w żartobliwym tonie mejl do Alvy i jej męża, że podarowaną mi książkę przeczytałem wreszcie z niewielkim opóźnieniem kilku lat i że bardzo ucieszyłem się z prezentu oraz niespodziewanej dedykacji. Alva, inaczej niż poprzednim razem, odpowiedziała natychmiast. Swój list zakończyła następującymi słowami: *Mój mąż i ja bardzo byśmy się ucieszyli, gdybyś nas kiedyś odwiedził. Mieszkamy teraz w domku górskim niedaleko Lucerny, jesteś zawsze mile widziany.*

*Mam nadzieję, że zobaczymy się ponownie.
Alva*

Jej tak szybka odpowiedź oraz kilkakrotne zaproszenie poruszyły mnie. Znowu poczułem nadzieję – jak wtedy, gdy miałem piętnaście lat. I wtedy, gdy skończyłem trzydzieści.

Jednocześnie czułem, że muszę wreszcie zakończyć tę historię, o ile nie chcę przez resztę życia gonić za uludą. Zaraz potem, jak na zamówienie, zadzwoniła Norah i oznajmiła, że bardzo ucieszyłaby się na mój widok po swoim powrocie. Miała dla mnie niespodziankę. „Musisz uzbroić się w cierpliwość”, powiedziała tylko. I dodała: *You will like it*. Po jej telefonie rozmyślałem o tym, jak chętnie Norah chodziła ze mną potańczyć, jak przywoziła mi z Anglii moje ulubione *scone*. Była śliczna z tym malutkim znamieniem nad wargą, któremu dla zabawy nadała imię Simon. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że naprawdę ją lubię, że brakowało mi jej przez ostatnie miesiące, że jest rzeczywista. Że dla niej coś znaczę.

Decyzję podjąłem po rozmowie z Tonim. Jego apartament znajdował się w pobliżu

Oranienburger Strasse. W dużym pokoju stał olbrzymi stół bilardowy, w korytarzu wisiały w ramkach fotografie Willa Steacy'ego i rysunki Rothki, pokój do pracy pełen był skrzynek z narzędziami, generatorów światła, kolb lutowniczych i innych rzeczy, których potrzebował do swoich sztuczek magicznych. Najnowszy numer Toniego polegał na wykrzywianiu na scenie

zielonego promienia lasera, względnie zawiązywaniu go w supeł, przekładaniu przez niego dłoni, a potem umieszczaniu na nim, w sposób niedający się wyjaśnić, wieszaka na ubrania, który – trzymany wyłącznie przez zielone światło – zdawał się unosić w powietrzu.

Graliśmy w bilard, jak zwykle, kiedy go odwiedzałem. Już w czasach internatu w każdy prawie weekend chodziliśmy wraz z moim bratem do Jackpotu. Marty był jednym z najlepszych bilardzistów w szkole, postacią jak z filmów kategorii B, z kijem bilardowym, długimi tłustymi włosami, kocią bródką i w czarnym skórzanym płaszczu. Nie dorastaliśmy mu do pięt.

– Ma chłopaka – oświadczył Toni. – Nawet dosyć sympatycznego.

– I co teraz?

Przypatrywał się bezradnie bilom. Potem wziął na cel żółtą.

– Nie wiem. Myślę, że kocham twoją siostrę i jestem w niej zakochany. Część mnie, która ją kocha, zgadza się na tego chłopaka. Część, która jest w niej zakochana, najchętniej by go rozszarpała.

Spudłował.

– Wiem, że od dawna zastanawiasz się, kiedy wreszcie dam sobie po prostu spokój z twoją siostrą – powiedział. – Dlaczego po prostu nie ograniczę naszych kontaktów, nie poszukam sobie innej, nie zacznę nowego życia, które byłoby pewnie całkiem miłe. Mówiłbym sobie: szkoda, że nie wyszło z Liz, ale jest przecież całkiem niezłe, więcej nie mogłem oczekiwać. – Potrząsnął głową. – Nie umiem inaczej.

– Wiem.

– To się nigdy nie uda, a ja może za rok będę mówił co innego i zacznę sam siebie oszukiwać, ale przynajmniej teraz jestem wobec siebie uczciwy. – Odłożył kij na bok. – Jak myślisz, czy jeżeli przez całe życie idzie się w złym kierunku, to czy mimo wszystko nie może to być słuszne?

*

Styczniowy dzień. Do przedziału wpadało szare, pobrudzone sadzą wieczorne światło, krawędzie chmur połyskiwały metalicznie. Pociąg zmniejszyła prędkość, toczył się coraz wolniej, wreszcie się zatrzymał. W Lucernie na peronie czekała na mnie Alva. Pocałowała mnie trzy razy w policzki, potem poprowadziła do samochodu, gdzie czekał jej mąż.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę przyjechałeś – powiedziała po drodze głośno, o czym sam myślałem.

A.N. Romanow miał już wtedy sześćdziesiąt siedem lat, ale wyglądał na co najmniej o dziesięć lat mniej.

– Aleksander – przedstawił się i podał mi rękę. – Bardzo mi miło pana poznać.

Mówił z ledwie słyszalnym obcym akcentem. Był szczupły, wysoki, dystyngowany, z siwymi włosami układającymi się w fale, tamtego wieczoru elegancko ubrany w garnitur i koszulę rozpiętą pod szyją. Jego kanciasta twarz była jak wyrzeźbiona, wokół ust błąkał się cień szelmowskiego uśmiechu, a poza tym emanowała z niego jakaś staromodna męskość: nie można sobie było nawet wyobrazić, że kiedyś mógłby uchylić się od udziału w bójce i bez wątpienia wiedziałby, jak zreperować nieszczelną rurę odpływową.

Alva nazywała męża nie Aleksander, lecz rosyjskim zdrobnieniem Sasza. Podczas jazdy do domu ona siedziała za kierownicą, Romanow opowiadał mi o okolicy. Zafascynowany słuchałem dźwięcznego głosu mężczyzny, którego tyle intymnych, zapisanych w prozie myśli poznałem. Romanow przebił się na szczyt w wieku dwudziestu kilku lat jako intelektualny dandys. Jego powieści i opowiadania przetłumaczono na trzydzieści języków. Obecnie jego

sława nieco przybladła i trwała już tylko w internecie, gdzie obok informacji o pierwszym małżeństwie znalazłem także sporo czarno-białych fotografii, niektóre ze znanymi artystami z tamtego dobrego czasu, inne przedstawiające jego samego, z papierosem w ustach, przed jakimś klubem w Camden.

On i Alva od dwóch lat nie mieszkali już w Lucernie, lecz w małej górskiej wsi Eigenthal u stóp Pilatusa. Okolica miała wiejski charakter, ale oprócz kilku chłopów i miejscowych nikt już tu na górze nie mieszkał, a większość domków wczasowych wydawała się opuszczona. W oddali zabrzmiał melodyjny klakson żółtego samochodu pocztowego.

Dojechaliśmy do dużej działki otoczonej spróchniałym drewnianym płotem. Sam dom był potężną budowlą z kamiennymi fundamentami, pierwsze piętro, pokryte gontem, było zrobione z drewna. Z tyłu rozpościerał się ogród, a dalej łąka, z delikatną warstwą lodu. Miejsce odludne, które nigdy chyba tak do końca nie otworzyło się na świat. Rozpakowałem swoje rzeczy w pokoju gościnnym i przez moment zastanawiałem się, co ja tu właściwie robię.

Na kolację podano raclette, ziemniaki oraz białe wino. Z gramofonu na komodzie dobiegał jazz.

– *Time Further Out* – powiedziałem. – Czegoś takiego słucha pan do kolacji?

Romanow się ucieszył.

– Czasami. Podoba się panu?

– Moja matka bardzo lubiła Brubecka.

– Spotkałem raz Dave’a w San Francisco. Bardzo towarzyski typ, po jednym z jego występów wylądowaliśmy w tym samym barze, rozmawialiśmy parę godzin.

Alva rzuciła mi krótkie spojrzenie.

– Musisz wiedzieć, że przez całe lata sześćdziesiąte Sasza był stalkerem. Jeździł za Brubeckiem z jednego koncertu na drugi. Kiedyś Brubeckowi zrobiło się go żal i porozmawiał z nim jakieś pięć minut.

Romanow położył rękę na jej dłoni.

– Nie wiem już, jak jej imponować. Daję jej Dave’a Brubecka, a ona zawsze chce więcej.

Alva pogłaskała go rozbawiona po dłoni. Bolało mnie, kiedy widziałem, jak wymieniają pufne spojrzenia. Jak bardzo podoba jej się jego sposób bycia, jego zagadkowy uśmiech, jakby jedynie on zauważył coś zabawnego, ale zachował to tylko dla siebie. Wyobraziłem sobie szczęśliwe lata, które z nim spędziła. Jak jej początkowy dystans powoli zniknął, a ona rozkwitała u jego boku. Dawniej często pożyczała mi książki Romanowa. Niektóre fragmenty były podkreślone, dotyczyły śmierci jego ojca albo paraliżującego strachu przed niezdolnością do bycia szczęśliwym. Podziwiała go jeszcze teraz, widziałem to wyraźnie.

– Jadąc tutaj, przeczytałem jeszcze raz pana *Niezlomne serce* – powiedziałem. – To, obok *Śniegów Kilimandżaro* Hemingwaya, najlepsze opowiadanie, jakie znam.

– Dziękuję, ale uważam je za nieco przeceniane. – Romanow posypał ser pieprzem.

– Musi pan wiedzieć, że kiedy je napisałem, miałem dwadzieścia lat. O tego czasu minęło już...

To było bardzo dawno. Ta historia jest nieprecyzyjna, kiczowata i pełna błędów.

– Mnie poruszyła.

Romanow spojrzał na Alwę.

– Ile mu zapłaciłaś, żeby to powiedział?

– Wyczyściłam nasze konta do cna.

Podał mi rękę, tak jak przedtem na dworcu.

– Jules, dziękuję panu za te słowa.

Po kolacji usiedliśmy w dużym pokoju. Wszyscy wypiliśmy nieco za dużo wina, policzki Romanowa się zaczerwieniły, był w świetnym nastroju. Oznajmił nam, że doskonale wie, jak wygląda jego dusza.

– Jest mniej więcej średnicy dwudziestu pięciu centymetrów i unosi się na wysokości piersi – powiedział. – Poblýskuje srebrną siwizną, a kiedy się jej dotknie, ma się wrażenie, jakby przesuwano się dłonią po najdelikatniejszym jedwabiu, zanim ręka przejdzie przez nią na wylot, jak przez obłok powietrza.

Później opowiadał o swojej przyjaźni z Nabokovem oraz o podróży do Chin.

– Byłem w pana wieku i każdego wieczoru szedłem z przyjaciółmi do nielegalnego kasyna w Makau. – Romanow odstawił kieliszek wina, aby móc gestykulować obiema rękami.

– Panowała cudowna przestępcza atmosfera, pojawiały się najbardziej jednoznaczne propozycje, flirtowało się i rozmawiało z kryminalistami i podejrzanymi ludźmi interesu. Pierwszego wieczoru moi przyjaciele chcą pograć na automatach, a mnie ciągnie do ruletki, umawiamy się więc, że spotkamy się punktualnie o północy przy kantorze wymiany walut. Jak każdemu początkującemu sprzyja mi szczęście i w ciągu następnych kilku godzin wygrywam dwa tysiące dolarów, wtedy sumę dla mnie niewyobrażalną. Punktualnie o północy czekam w umówionym miejscu, ale moi przyjaciele się nie pojawiają. – Romanow upił łyk wina. – Kiedy tak czekam, widzę, że przy jednym ze stołów już dwadzieścia trzy razy z rzędu wypadło czerwone. To jest idealny moment, myślę, podchodzę więc i stawiam sto dolarów na czarne. Żadnego ryzyka.

Wypada czerwone. Stawiam raz jeszcze sto dolarów na czarne, ale po raz dwudziesty piąty wypada czerwone. Aby odzyskać pieniądze, stawiam dwieście dolarów na czarne. Znowu czerwone. Teraz muszę już postawić czterysta dolarów. Znowu nic. Osiemset dolarów.

Czerwone. W tym momencie nadchodzą moi przyjaciele. Pożyczam pieniądze i stawiam dwa tysiące na czarne. Dwa tysiące! Jednak po raz dwudziesty dziewiąty wypada czerwone.

Załamany opuszczam kasyno i słyszę, jak krupier za moimi plecami woła: czarne.

Właściwie to żadna wyjątkowa anegdota, ale opowiedział ją z takim mistrzowskim timingiem, że przy puencie człowiek musiał się roześmiać.

Romanow wydłubał ze srebrnego etui papierosa.

– To mój papieros na dobranoc. Chce pan także?

Odmówiłem z podziękowaniem i podziwiałem, z jaką przyjemnością wydmuchuje dym w kierunku sufitu, jak potrafi rozkoszować się tą zwykłą czynnością.

– Alva mówiła mi, że znacie się od czasów młodości.

– To prawda.

– Dlaczego straciliście się wzajemnie z oczu?

– Ponieważ... – Spojrzałem na Alvę, ale ona siedziała ze spuszczoną głową.

Przypomniała mi się dawno już wyparta ze świadomości scena: skąpo, chłodno urządzony dom. Wbiegam po schodach i w głębi duszy podnieca mnie widok nagiej Alvy, choć w te samej chwili rozpada się nasza przyjaźń. I po raz kolejny zadałem sobie pytanie: czy jej matka z premedytacją posłała mnie na górę?

Romanow spojrział najpierw na mnie, potem na Alvę, a w jego spojrzeniu pojawiła się nagle melancholia.

Podniósł się i podszedł do mnie. Byliśmy równego wzrostu.

– Jules, pan jest młody. Niech pan o tym pamięta. Ma pan czas. – Kategoryczność, z jaką wymówił słowo „czas”, zafascynowała mnie. Zaciągnął się po raz ostatni papierosem, potem zgasił go w popielniczce. – Cieszę się, że jest pan naszym gościem. Proszę pozostać, jak długo pan zechce, zobaczy pan, że tutaj, na górze, śpi się wyśmienicie. – Pocałował Alwę i wolno ruszył

schodami na piętro.

Kiedy już poszedł, opadłem na kanapę i dolałem sobie fendant.

– Jesteś jego groupie? – zapytałem na wpół żartobliwie. – Jego muzą?

– Prawdopodobnie i tym, i tym – odparła. – Nawiasem mówiąc, Sasza od wieków tak dużo nie mówił. Myślę, że chciał ci zaimponować. Nie wziął nawet laski, zazwyczaj się z nią nie rozstaje.

– Lubię go. Jak go poznałaś?

Alva usiadła na komodzie i przyciągnęła kolana do piersi.

– To było dziesięć lat temu, na sympozjum w Sankt Petersburgu, podczas którego pracowałam jako tłumaczka. Miał wtedy pięćdziesiąt parę lat i wyglądał jak aktor, ale miał także w sobie coś z George’a Gershwina. Zwrócił moją uwagę przede wszystkim dlatego, że znakomicie mówił po niemiecku, a kobiety wręcz się na niego rzucały, nigdy czegoś takiego nie widziałam. Wygłaszał swoje frazesy i cały czas spoglądał w moją stronę. Sama nie wiem, on ma w sobie taką nonszalancję... To mnie zafascynowało.

– A jak zareagowali na niego twoi rodzice? Odwiedzają cię tutaj?

– Ojciec przyjeżdża kilka razy w roku. Z matką nie utrzymuję żadnych kontaktów. Nie rozmawialiśmy ze sobą od czasu mojej matury.

Na zewnątrz panowała cisza, najbliżsi sąsiedzi mieszkali daleko stąd, skryci za atramentową ścianą nocy. Przyglądałem się Alvie, która w ostatnich latach prawie się nie postarzała. Nosila okulary, rude włosy upięła wysoko. Na jej szyi połyskiwały dwie blizny koloru kości słoniowej.

Odchyliła głowę do tyłu.

– Wiesz, chcę być szczerą. Kocham Saszę... – nagle posmutniała – ale niech cię ten dzisiejszy wieczór nie zmyli. On od miesiący nie opuszcza tego domu, a w ostatnim czasie stał

się nieco... zapominalski.

Z góry dobiegł szum wody z kranu, potem znowu kroki.

– Dawniej dużo podróżowaliśmy. Wycieczki, wykłady i sympozja, on ma tylu przyjaciół na całym świecie. Ale przede wszystkim był taki żywy, taki ciekawy. Zanim go poznałam, myślałam zawsze, że jest pogrążony w depresji, skoro napisał te wszystkie smutne rzeczy.

A okazało się, że roztacza wokół siebie dziecięcą ufność, którą po prostu zaraża. To najbardziej w nim kochałam.

Alva dolała nam wina.

– Przed dwoma laty Sasza przeszedł poważną chorobę. Jak na razie wszystko jest dobrze, ale to go zmieniło. Jakby ulotnił się czar, jakby nagle stał się zwyczajnym starym człowiekiem, ze zwyczajnymi strachami i przywarami. Siedzi wciąż na górze i pisze, koniecznie chce skończyć książkę. Niedawno powiedział mi, że przeczuwa koniec. „Koniec jest tutaj, w pomieszczeniu – powiedział. – Nie czujesz?” Objęłam go wtedy, ale najgorsze jest to, że ja także wyczuwam koniec.

Skrzywiła się i przerwała na moment. Po chwili odzyskała równowagę i zwróciła się do

mnie.

- Poza tym on wie, że ty także piszesz.
- Ale ja wcale nie piszę, Alvo, zupełnie nic. To było lata temu.
- Być może nie piszesz na papierze, ale robisz to w głowie – powiedziała cicho i dotknęła mojego ramienia. – Zawsze tak robiłeś. Jesteś tym, który wspomina i przechowuje, wiesz o tym.

*

W oddali masyw Pilatusa o świcie. Szum potoku. Głęboki wdech, powietrze klarownie czyste. Biegłem wczesnym porankiem wzdłuż rzeki, mijałem gospodarstwa chłopskie i lasy.

Godzinę później spocony i zdyszany wróciłem do domu. Ku mojemu zaskoczeniu na schodkach przed wejściem czekał na mnie Romanow.

– No, no, sportowiec – powiedział. – Moja żona uwielbia sportowców, ale o tym pan z pewnością wie.

– Pańska żona uwielbia przede wszystkim pisarzy.

Chwycił mnie za ramię.

– Jules, proszę na chwilę.

Zaprowadził mnie na górę, do swojego gabinetu. Pachniało ciepłym, suchym kurzem.

Wielkie biurko, na nim olivetti, mały stolik w rogu, pianino, do tego kilka rozrzuconych wokoło rękopisów oraz drewniany krucyfiks, to wszystko.

– Mój mózg potrzebuje miejsca – wyjaśnił Romanow. – Kiedyś miałem tutaj jeszcze dwa regały z książkami, ale zamiast pisać, czytałem, i dlatego musiałem je niestety zlikwidować.

Muszę pracować. Czas ucieka.

Zadanie „czas ucieka” wydawało się jego motywem przewodnim, nieustannie je powtarzał. Stwierdził kiedyś, że jako dziecko napisał wiersz pod tytułem *Czasie, który uciekasz*, który zaginął podczas jednej z przeprowadzek. Tytuł zapożyczył, jak zdradził, od Schuberta, swojego ulubionego kompozytora, tylko nieznacznie go zmienił. Pierwsze wersy tego dziecięcego wiersza brzmiały: *Czasie, który uciekasz,*

weź mnie ze sobą.

Romanow zaintonował jeden z *Tańców fantastycznych* Szostakowicza. Jego palce jakby same wiedziały, co mają robić, bez trudu odnajdywały właściwe klawisze.

– Swojego czasu nie przyjęli mnie do konserwatorium – oznajmił – ale ja zawsze miałem w zanadrzu swoją olivetti. Można by więc powiedzieć, że spędziłem życie na mniej lub bardziej eleganckim uderzaniu w klawisze.

Skończył grać i zamknął klapę. Robił wrażenie, jakby coś leżało mu na sercu. W końcu wskazał na stolik w kącie.

– Jeżeli pan chce, to może pan tutaj pracować lub pisać.

– Dziękuję, ale nie chciałbym przeszkadzać.

– Nie przeszkadza mi pan, wręcz przeciwnie. Dawniej chętnie pisałem w bibliotekach, obserwowanie innych ludzi przy pracy mnie uskrzydlało. Przedtem często siedziała przy mnie Alva, ale ona jest zbyt ciekawska, a to mnie denerwuje. – Spojrzał na mnie. – A więc co pan na to? Ucieszyłbym się, gdybym miał jakieś towarzystwo.

Mówił to jakby mimochodem, jednak wyczuwałem, że był to rodzaj prośby. W rezultacie już po obiedzie zasiadłem w gabinecie. Jego biurko stało pod oknem, moje przy ścianie.

Romanow miał widok na krajobraz górski Szwajcarii, ja na drewniane belki. On miał skórzany fotel na kółkach, ja składane krzeselko z plastiku. Jasny podział klasowy.

Początkowo redagowałem raport dla swojego wydawnictwa płytowego, ale ciężko mi

szło. W końcu zamknąłem dokument i zacząłem pisać, co mi przyszło do głowy. Jakkolwiek absurdalna wydawała się sytuacja – oto siedziałem obok autora, którego od dawna uwielbiałem – to jednak stanowiła niewątpliwą motywację. Moja wyobraźnia była jak zamknięta kopalnia, a teraz zjechałem na dół i zdumiony stwierdziłem, jak wiele da się stamtąd wydobyć. Z miejsca zapisałem kilka pomysłów i szkiców, które drzemały we mnie zapewne od lat.

Romanow mnie obserwował.

– Coś nie tak? – zapytałem.

– Pan pisze tak szybko. Wręcz wali pan w klawisze. Stuk, stuk, stuk.

Rzuciłem okiem na jego olivetti: na wkręconej kartce widniało tylko kilka wersów. Miał na nosie okulary, a wargi zacisnął z wysiłku.

– O czym pan pisze?

– O wspomnianiu. Powieść składa się z pięciu opowiadań. Wszystkie są ze sobą powiązane, ale w zasadzie chodzi o to, jak wspomnienia nas kształtują i kierują nami. To jest...

– Romanow zamyślił się na moment, a potem prychnął – to wszystko jest okropne. – Wstał.

– Tak okropne, że najchętniej wyrzuciłbym tę maszynę przez okno. Moja ostatnia publikacja ukazała się sześć lat temu, ciągle odsuwałem od siebie tę książkę.

Romanow zaczął chodzić po pokoju, wspierając się na jednej z lasek wziętej z kosza w kącie pokoju. Był na nie skazany od wypadku podczas wędrówki przed kilkoma laty. Postukał się w czoło.

– Tutaj nic już po prostu nie ma. Jak w opróżnionej do końca spiżarni. Wszystko zostało w opublikowanych książkach, na zmiętych kartkach, w wypowiedzianych słowach. Mogę...

Wydawało się, jakby w połowie zdania zapomniał, co chciał powiedzieć. Odwrócił się gwałtownie. Dopiero teraz usłyszałem tykanie zegara, który wisiał w rogu na ścianie.

– Kiedy byłem w pana wieku, Jules, to również tak wiele pisałem. Stuk, stuk, stuk. Byłem taki beztrojski. Myślałem, że tak będzie zawsze. Jednak pisałem coraz mniej. Powinienem to zaakceptować. Ale nie umiem. Nie mogę, dopóki pan uważa, że *Niezlomne serce* to moje najlepsze opowiadanie. Napisałem je w wieku dwudziestu lat.

Zamilkł na dłuższą chwilę. A potem nadszedł ten straszny moment, kiedy po prostu zmienił temat i raz jeszcze, słowo w słowo, opowiedział mi historię o nielegalnym kasynie.

*

Pierwsze dni z Alvą były jak powrót do domu po długiej podróży. Te krótkie chwile z naszej młodości miały dla mnie o wiele większe znaczenie niż wszystko, co zdarzyło się później – każda rozmowa z nią, każde spojrzenie, nawet ówczesne rozczarowanie tkwiły w mojej pamięci jak potężny monolit. A teraz znowu znalazłem się u źródła. Kiedy siedzieliśmy w kuchni, piliśmy wino i wygłupialiśmy się, spacerowaliśmy po lesie, nie zamieniając ze sobą ani jednego słowa. Kiedy niezgrabnie grała mi coś na pianinie, a ja opowiadałem o swoim rodzeństwie, albo kiedy nocą siedzieliśmy na kanapie, słuchaliśmy muzyki, a Alva opierała się o mnie – we wszystkich tych chwilach widziałem wyraźnie, jak nasza przeszłość zająbia się delikatnie z naszą teraźniejszością i przyszłością.

Trzeciego dnia moich odwiedzin Alva z mężem pojechali wcześniej rano do miasta.

Podczas ich nieobecności wszedłem na górę. Zorientowałem się, że śpią w oddzielnych pokojach.

Na piętrze unosił się silny zapach ziół, maści i lekarstw. Alva powiedziała mi, że Romanow od operacji prostaty przyjmuje silne środki. Jego pokój przypominał magazyn sklepu z antykami,

na stoliku nocnym – obok azjatyckiej plecionej lampy i globusa oraz notatników – siedział poszarzały pluszowy zajac. Natomiast pokój Alvy robił wrażenie prowizorki: okrągłe łóżko, obok piętrzyły się sięgające pasa wieże z książek, draceny i juki przy oknie rosły do sufitu.

Tym razem moja ścieżka podczas joggingu wiodła przez wilgotną, otoczoną jodłami górzystą okolicę. Szlak turystyczny prowadził mnie wyżej i wyżej, aż na sam Chräigütsch. Poda mną lodowaty wiatr pędził po polach.

Kiedy wróciłem, przy wejściu czekała na mnie Alva.

– Obserwowałam cię z okna – przywitała mnie. – Kto by pomyślał, że jeszcze kiedyś zobaczę cię biegającego.

Po późnym śniadaniu poszliśmy oboje na spacer. Dom graniczył z gęstym lasem. Drzewa rosły tu tak blisko siebie, że całkiem zasłaniały niebo, a las wydał mi się skrytym w cieniu magicznym światem podziemi. Alva szła tuż przy mnie, twarz zaczerwieniła się jej od zimna.

– W ostatnich latach często myślałem o twojej siostrze – powiedziałem po dłuższej chwili

– i o tym, że znaleziono tylko jej kurtkę. Wolałbym, żebyś opowiedziała mi o tym wcześniej, o wiele lepiej bym cię zrozumiał.

Alva milczała. Podniosła kamień z ziemi i przyglądała mu się, jakby był czymś drogocennym.

– Tego było zbyt wiele, nie dało się wszystkiego opowiedzieć. – Odrzuciła kamień.

– Kiedy moja siostra zniknęła, ojciec o mało nie oszalał. Najgorsze dla niego było to, że na jej kurtce nie znaleziono żadnych śladów. Zrezygnował z pracy, brał udział w każdej akcji poszukiwawczej, na własną rękę przepytывał świadków. Prawie nie spał, a kiedy już nie mógł dłużej, sam zgłosił się do kliniki. Matka przez kilka tygodni bez przerwy płakała, a potem nigdy już nie rozmawiała na ten temat. Jakby Phine wcale nie istniała. Po prostu przemilczała jej egzystencję.

Głos Alvy stał się cichszy.

– Moi rodzice już się tylko kłócili. Po rozwodzie matka i ja przeprowadziłyśmy się do innej wsi, dosyć daleko od domu. Nikomu nie mówiłyśmy o tym, co się wydarzyło. Miałam wtedy depresję, myśli samobójcze. Ale zawsze myślałam sobie: a jeżeli Phine kiedyś wróci, a mnie nie będzie?

Chciałem ją wziąć w ramiona, ale się uchyliła. Przechodziliśmy obok zamrożonej łąki.

Przez chwilę miałem ochotę dotknąć elektrycznego płotu.

Chwyliła mnie za ramię.

– Nikt w klasie nie miał pojęcia, przez co przeszłam, rozmawiali sobie o feriach i swoich rodzicach, i wszyscy oni wyglądali na takich szczęśliwych. Tylko ty... – Przeszedł mnie dreszcz.

– ...tylko ty nie wyglądałaś na szczęśliwego. Dlatego usiadłam wtedy koło ciebie.

Szliśmy w kierunku gospodarstwa alpejskiego, które nosiło dziwną nazwę Unterlauelen.

– W takim razie znasz to uczucie – powiedziałem spokojnie – kiedy życie na samym początku zostanie czymś zatrute. To tak, jakby dolać czarnej cieczy do basenu z czystą wodą.

– Myślałam, że podróże pomogą. Po szkole pojechałam na pół roku do Nowej Zelandii, potem do Rosji. Później, z Saszą, byłam wszędzie. Ale nie pomogło.

– A literatura pomaga?

– Czasami.

– A A.N. Romanow?

Uśmiechnęła się.

– Także czasami. Właściwie zawsze czytałam, żeby uciec, żeby znaleźć pocieszenie

w kilku zdaniach czy całej historii. Dawniej chciałam koniecznie zostać postacią z powieści. Być nieśmiertelna i na zawsze żyć w książce, podczas gdy z zewnątrz każdy może mnie „czytać” i obserwować. Wiem, porąbane. – Rzuciła mi zawstydzone spojrzenie. – Chociaż, mówiąc szczerze, nadal najchętniej zostałabym postacią z powieści.

I wtedy zrozumiałem, dlaczego zwabiła mnie do Szwajcarii: czuła się oszukana. Dlatego też pewnie wyszła za Romanowa – wytwarzał dwa jej ulubione narkotyki: poczucie bezpieczeństwa oraz piękne słowa. Tymczasem ten siedemdziesięcioletni już prawie dostawca zaczął być niesolidny. Wyobraziłem sobie, jak Alva spędziła te ostatnie lata w górach.

Osamotniony satelita krążący wokół gabinetu, w którym jej mąż z coraz większym wysiłkiem trzyma się nad maszyną do pisania i prawie nie rozmawia.

Usiedliśmy przy stoliku w gospodzie. Opowiedziała o ojcu, który na osiemnaste urodziny podarował jej czerwonego fiata i stał się zapalonym alpinistą.

– Nawiasem mówiąc, bardzo go ubawiło, kiedy dowiedział się, że jego zięć jest od niego dziesięć lat starszy.

– A co u niego teraz?

– Myślę, że całkiem dobrze. Znowu pracuje jako internista we wspólnej praktyce lekarskiej. Zawsze lubił rozmawiać z pacjentami, jako dziecko często odwiedzałam go w pracy.

– Nigdy o nim nie opowiadałaś.

Wpatrywała się w talerz.

– Kiedy matka otrzymała prawo do opieki, ojciec wyprowadził się do Augsburga.

Początkowo odwiedzałam go co drugi weekend, miałam własny pokój, dawał mi książki w prezencie, wędrowaliśmy po górach. Później kontakt zerwał się nagle na kilka lat. Myślałam, że to moja wina, że być może zbyt przypominał mu siostrę, ale kiedy skończyłam osiemnaście lat, odwiedził mnie i wszystko sobie wyjaśniliśmy. Byłam taka szczęśliwa, że mam go znowu! Dopiero wtedy dowiedziałam się, że matka nie przekazywała mi jego listów.

Powiedziała mu, że nie chce go już więcej widzieć.

– Dlaczego to zrobiła?

– Nie wiem. Zawsze kochała Phine bardziej niż mnie i nigdy nie uporała się z jej zniknięciem. Często się kłóciłyśmy. Mówiłyśmy straszne rzeczy. Była wobec mnie taka zimna, czułam się szczęśliwa, kiedy mogłam wreszcie od niej odejść. Myślałam, że to koniec, tymczasem kilka lat temu wysłała na adres ojca list do mnie. Mieszka gdzieś za granicą, ale niewiele na ten temat napisała. W każdym razie list był ładny, taki rodzaj pożegnania.

Alva potrząsnęła głową.

– Żałuję tylko, że nie powiedziała mi tego wszystkiego, kiedy byłam młodsza. Wtedy tak nienawidziłam życia. Miałam uczucie, że kiedy zniknęła moja siostra, a matka mimo to mnie nie kocha, to nie jestem nic warta. Chciałam stać się osobą, która właśnie na takie traktowanie zasługuje.

Jej oczy błyszczały. Pochyliłem się i ją objąłem.

– Zostaniesz jeszcze trochę? – zapytała tuż przy moim uchu.

Zobaczyłem jej błagalny wzrok i uświadomiłem sobie, być może jeszcze wcześniej niż ona sama, jak głęboko sięga to pytanie.

Potrzebowałem dwóch podejść, aby ku zdumieniu swojego szefa złożyć wypowiedzenie z pracy. Za pierwszym razem udawałem, że mam zapalenie płuc, ale jako że nigdy nie byłem dobrym kłamcą, za drugim razem powiedziałem mu, że nie pojawię się już w firmie. Inaczej niż

zawsze tym razem w ogóle nie pomyślałem o konsekwencjach. Na pełen czułości mejl Norah odpowiedziałem, że na razie nie mogę się z nią dalej spotykać. Napisała potem do mnie kilka razy, dzwoniła i zostawiała wiadomości w skrzynce, ale nie reagowałem.

W ciągu kilku dni definitywnie skończyłem z dotychczasowym życiem. Przy czym nawet nie byłem pewny, jak ma wyglądać przyszłość z Alwą. Wiedziałem tylko, że nie wolno mi dopuścić, by odeszła kolejny raz. Że nie chcę przez całe życie pokutować za błędy popełnione w młodości.

– Powtórzę ci to raz jeszcze, ale niechętnie: nie można przywrócić przeszłości ani jej zmienić – usłyszałem od brata przez telefon.

– Nieprawda, można – powiedziałem.

*

Przez kilka godzin w dużym pokoju surfowałem w sieci, w końcu zorientowałem się, że Alvy nie ma w domu. Najpierw pomyślałem, że dotrzymuje towarzystwa Romanowowi na górze, ale nie słyszałem jej kroków ani szumu wody w kranie, zwykłych o tej porze w tym niezbyt dźwiękoszczelnym domu. Poczekałem w pokoju na dole jeszcze dobrą chwilę, zanim położyłem się do łóżka. Był koniec lutego, na dworze mocno śnieżyło. O szóstej rano obudziło mnie trzaśnięcie drzwi wejściowych. Kiedy później spytałem Alwę, gdzie była przez ten cały czas, wzruszyła tylko ramionami i spojrzała na mnie, jakby nie wiedziała, o czym mówię.

Nowością dla mnie była jej pasja do uprawiania ogrodu. Wiosną poświęcała całe godziny na hodowanie warzyw, przesadzanie i podlewanie. Z ogrodu wracała z czarnymi paznokciami, ale szczęśliwa. Królestwem jej męża był dom, a gdybym chciał opisać, z jakim odgłosem kojarzy mi się Romanow, byłoby to powolne, niestrudzone stukanie na maszynie.

Pewnego dnia wziął nagle którąś ze swoich lasek i wyzwał mnie na pojedynek. Także chwyciłem jedną z nich i przez moment fechtowaliśmy zawzięcie. Kiedy później zapytałem go o ten pojedynek, Romanow odpowiedział lakonicznie: – Najlepsze, co można o nim powiedzieć: miał coś z dziecka i jednocześnie coś

z mężczyzny!

Szermierka wyraźnie go wyczerpała, usiadł na krześle i wytarł pot z czoła.

– Jules, a co właściwie porabiają pana rodzice?

– Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałem dziesięć lat.

– Przykro mi.

Machnąłem ręką.

– A co z pana rodzicami? Jacy byli?

Opowiedział o swojej matce, poetce wywodzącej się ze starej petersburskiej rodziny.

– Uwielbiała niemiecką literaturę i język, dlatego zawsze mieliśmy nianię z Niemiec.

Ojciec natomiast pochodził z prostej rodziny, z okolic Jekaterynburga. *Muzyk* marzyciel, który ciągle miał w głowie wielkie pomysły na zrobienie interesu, ale nigdy żadnego z nich nie urzeczywistnił z sukcesem. Także i jego rodzina uciekła przed rewolucją październikową, kiedy był jeszcze dzieckiem. Moją matkę poznał w Ameryce, później mieszkaliśmy w Holandii. Tam też mój ojciec się zastrzelił.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Brak sukcesu – wyjaśnił. – Zrujnował kolejną firmę, nie wiedzieliśmy, co będzie dalej, znaleźliśmy się dosłownie na ulicy. Z jego winy. Wtedy ze sobą skończył. Niektórzy znajomi uznali to za tchórzostwo, według mnie wykazał się konsekwencją. – Poszukał mojego wzroku.

– Syn zawsze ma instynktownie dobrą więź z matką, natomiast ojca obserwuje, nie ufa mu i jednocześnie go podziwia, mierzy się z nim. Przez całe życie o nim rozmyślałem.

– Ja prawie nie znałem ojca – powiedziałem. – Często zadaję sobie pytanie, jakie byłyby nasze stosunki, gdyby żył. Utrzymywalibyśmy w ogóle ze sobą kontakt? A może bylibyśmy zaprzyjaźnieni, obaj już dorośli chodzilibyśmy do baru pogadać? Brakuje mi tego wszystkiego.

Rozmów, chwil spędzonych razem, zwykłych spraw między ojcem i synem. Dopiero kiedy miałem dwadzieścia lat, okazało się, że źle się gołę. Staliśmy ze współlokatorem w łazience.

„Pod brodą zawsze pod włos”, poradził. Nie wiedziałem tego.

Usiadłem na krześle obok Romanowa. Pogłaskał mnie po ramieniu.

– Jest pan dobrym człowiekiem, Jules. Ojciec na pewno by pana lubił.

Zmieszałem się.

– Jak to się właściwie stało, że znalazł się pan w Szwajcarii?

– Dlaczego tutaj? Moja pierwsza żona pochodziła stąd, od razu polubiłem ten kraj, poza tym Alva, po tylu latach przebywania za granicą, chciała w końcu gdzieś osiąść na stałe. Po pieriestrojce przeniosłem się do Rosji, ale mówiąc szczerze, nigdy nie czułem się tam tak dobrze, jak miałem wcześniej nadzieję.

– Zacząłem czytać pana korespondencję z Nabokovem. Czy to prawda, że odwiedził go pan jako mały chłopiec?

Romanow roześmiał się i odsunął włosy z czoła. Na moment był jakby pozbawiony wieku.

– Po prawdzie to nie byłem wcale taki mały. Myślę, że miałem wtedy szesnaście lub siedemnaście lat i właśnie przeczytałem *Lolite*. To była pierwsza książka, która naprawdę mnie zachwycała, nawet jeżeli tylko połowę z niej zrozumiałem. Ale już ta niesamowita łatwość operowania dowcipem, to mistrzostwo w używaniu języka... Musiałem go poznać. Mieszkaliśmy jeszcze wtedy w Oregonie. Pewnej nocy uciekłem i autobusem Greyhound pojechałem do Nowego Jorku, aby odwiedzić go na Cornell University. Ale akurat tego dnia nie miał żadnego wykładu. Powiedziałem – z silnym rosyjskim akcentem – że jestem jego siostrzeńcem, i dali mi jego prywatny adres. Kilka godzin później dzwoniłem do drzwi jego mieszkania. Był bardzo zdziwiony, kiedy dowiedział się, że to z jego powodu uciekłem z domu. Zatelefonowaliśmy do moich rodziców, potem wypiliśmy herbatę i rozmawialiśmy o literaturze i tenisistach, których obaj podziwialiśmy. Oczywiście przesyłałem mu wszystkie swoje opowiadania, później także do Szwajcarii. Zawsze je czytał, mimo że był starszy ode mnie o czterdzieści lat.

Krótką przerwę.

– Co robi Alva, kiedy wychodzi w nocy? – zapytałem. – Znikała już parę razy. Co ona wtedy robi?

– Nie wiem. Nie mówi mi, ale robi tak, od kiedy się znamy. Zawsze miałem poczucie, że nie powinienem jej o to pytać. Myślę, że byłoby to dla niej niewygodne, ona potrzebuje tych nocnych spacerów.

Przytaknąłem.

– Panie Aleksandrze, czy zechciałby mi pan powiedzieć coś jeszcze? Dlaczego ożenił się pan z Alvą?

– Dlaczego się z nią ożeniłem? – Romanow często powtarzał pytania, które mu zadawałem. W ogóle coraz częściej zdarzało się, że o czymś zapominał, był zdekoncentrowany albo szukał okularów. – Alva mówiła panu już z pewnością, że zagadnęła mnie na sympozjum. Ja jednak już wcześniej zwróciłem uwagę na młodą damę, która objaśniała drogę gościom i była tak oddana temu, co robiła. Oddana, ale także tajemnicza. Czuło się, że

sporo przeżyła. – Z dumą mówił dalej: – Była taka śliczna! Niekiedy poznaje się ludzi lepiej z dystansu, a ona robiła wrażenie osoby, która potrafi być w tej samej chwili smutna, serdeczna i wesoła. No i czytała.

Mój Boże, ile ta kobieta czytała, na schodach, na krześle, na podłodze, w każdej wolnej minucie miała książkę na kolanach.

– A potem? – zapytałem cicho.

Zastanowił się.

– Alva zachowywała się bardzo powściągliwie. Kilka razy poszliśmy do restauracji, ale ona była wręcz nieśmiała, na początku prawie nic nie mówiła. Zazwyczaj w takich chwilach czuję się zobowiązany do podtrzymywania rozmowy, do kreowania siebie w pewnym sensie. Ale w jej obecności po raz pierwszy rozkoszowałem się ciszą w sobie. Była jak chłodna dłoń na moim gorącym czole.

Stałem później sam przed panoramicznym oknem w dużym pokoju i obserwowałem, jak zapada zmrok. Początkowo w nocy czułem się w tym domu nieco nieswojo. Śmiejące się maski afrykańskie na ścianach wydawały się upiornie żywe, głowy jeleni i inne trofea myśliwskie wpatrywały się we mnie, a za oknem widać było tylko śmiertelnie ponury zmierzch wiszący nad doliną, który zastępowało czarne nic. Czasem przez kilka dni nie spotykaliśmy żywej duszy i czuliśmy się tak, jakbyśmy istnieli tylko my. Do rzeczywistości przywracały nas jedynie odgłosy cywilizacji: bulgotanie centralnego ogrzewania albo gwizd czajnika z wodą na herbatę.

To była monotonna, osobliwa codzienność, bardzo szybko też zorientowałem się, że wszyscy wylądowali tutaj i na coś czekamy. A kiedy uświadomiłem sobie na co, przeraziłem się.

*

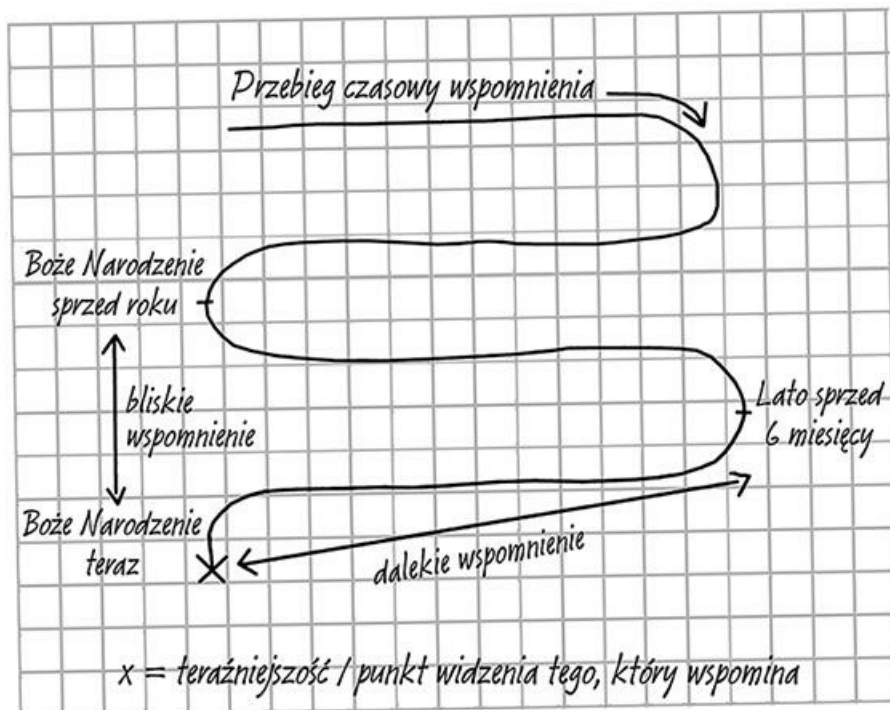
Pewnego wieczoru przypomniała mi się dziwna scena, którą wypierałem od czasów młodości. W kinie studyjnym obejrzelśmy film Billy'ego Wildera i poszliśmy jeszcze coś zjeść do miasta. Romanow, który niechętnie przebywał między ludźmi, tym razem wyjątkowo poszedł

z nami. W drodze powrotnej opowiedział nam, jak to socjolog Max Weber pokłócił się ze swoim ojcem, który krótko po tym zmarł. Nie zdążyli się pojednać, a Weber po śmierci ojca stał się wrakiem człowieka.

– Musiał zrezygnować z pracy wykładowcy – mówił Romanow. – W wyniku tego zajścia stracił także mowę.

– Tylko z powodu kłótni?

– Było zapewne wiele powodów, ale prawdopodobnie nie mógł poradzić sobie z tym, że nie pogodził się z ojcem. To niszczyło go od wewnątrz. Żona Webera nazwała to złym Czymś, co



z podziemi życia próbowało uchwycić jej męża pazurami.

W domu Romanow poszedł do siebie na górę, a Alva włączyła płytę Nicka Drake'a.

– Bardzo często jej słuchałam po naszym ostatnim spotkaniu w Monachium

– powiedziała. – Byłam wtedy pewna, że już więcej się nie zobaczymy. – Siedziała z zamkniętą książką na skrzyni od kredensu. Alva uwielbiała siedzieć w najbardziej zaskakujących miejscach.

– Słyszę czasem, jak rozmawiasz na górze z Saszą, i nie mogę wprost uwierzyć, że naprawdę tutaj jesteś. Przebywanie z tobą, rozmowy i słuchanie muzyki było kiedyś bardzo ważną częścią mojego życia, ale w ostatnich latach często miałam wrażenie, że to był tylko sen, że to nigdy nie istniało. A teraz nagle wydaje mi się, że wszystko działo się zaledwie wczoraj.

– To dlatego, że słuchamy tej samej muzyki co wtedy. Czas nie biegnie linearnie,

podobnie jak wspomnienia. Człowiek zawsze przypomina sobie wyraźniej to, co aktualnie jest mu bliższe emocjonalnie. W Boże Narodzenie myśli się, że poprzednie święta były całkiem niedawno, mimo że minęło całe dwanaście miesięcy. A lato, choć w rzeczywistości bliższe, wydaje się bardziej odległe. Wspomnienia zbliżone pod względem emocjonalnym do terażniejszości dochodzą do nas w pewnym sensie na skróty. Zobacz... – Zrobiłem szkic na kartce i pokazałem jej:

– No, no. Rozmyślasz o takich sprawach? – zdziwiła się.

Złapałem laskę Romanowa i zrobiłem z nią kilka kroków po pokoju. Alva podeszła i wyjęła mi laskę z ręki.

– Od kiedy chodzisz z tym? – Przesunęła palcami po polerowanym mahoni.

– Oddaj mi laskę. Potrzebuję jej.

– Nie. – Roześmiała się.

Cichy pomruk pioruna. W górach zbierało się na burzę, co chwila nad szczytami pojawiały się błyskawice i rozjaśniały mrok nocy. Im gwałtowniej wiatr szarpał gałęziami

drzew, tym przytulniej i bezpieczniej wydawało się w domu.

Alva podeszła bliżej.

– Dlaczego tak naprawdę przestałeś fotografować?

– Kiedy robiłem zdjęcia, miałem zawsze uczucie, że jestem blisko ojca. Potem uświadomiłem sobie, że wcale tak nie jest. – Krew nabiegła mi do twarzy. – Ale zacząłem dlatego, że po prostu dobrze się...

Podeszła jeszcze krok bliżej.

– Po prostu co?

Przed moimi oczami pojawiła się dawno, jak mi się wydawało, zapomniana scena: taksówka oddalająca się ode mnie i skręcająca za róg. Chciałem coś jeszcze za nią krzyknąć, coś ważnego, ale nie mogłem...

Oszołomiony spojrzałem na Alvę. Czy miałem jej powiedzieć to, czego tylko się domyślałem i do czego samemu przed sobą trudno mi było się przyznać? Że z powodu podświadomego poczucia winy zmarnowałem swoje najlepsze lata, wybrałem złe studia i ponownie złapałem za aparat fotograficzny? Że przez te wszystkie lata odmawiałem sobie pisania, mimo że to kochałem?

– Opowiem ci innym razem.

– Innym razem, innym razem – przedrzeźniała mnie Alva czarująco, a ja machinalnie dotknąłem dłonią jej łokcia.

Dłoń zaczęła żyć własnym życiem, wspięła się ostrożnie wyżej po jej ramieniu i dotarła do policzka. Zrobiłem pół kroku w jej kierunku, mój podbródek o mało nie zderzył się z jej czołem. Spojrzałem w dół, ona w górę trochę zmieszana. Chwyliła mnie za rękę i w tym samym momencie cofnęła się o krok, dźgnęła mnie laską w brzuch i życzyła dobrej nocy.

*

Wtedy nie przypuszczałem jeszcze, jak szybko stan Romanowa się pogorszy, nawet wówczas, kiedy dwa razy z rzędu przelał wodę w wannie, bo zapomniał, że zamierzał się wykapać. Był mistrzem w ukrywaniu swojego prawdziwego samopoczucia. Przypominał dom, którego zewnętrzna fasada była jeszcze w porządku, podczas gdy w środku wszystko się już waliło.

Poszedłem razem z nim do piwnicy, gdzie regulowało się ogrzewanie oraz suszyło pranie.

Na dole uderzył mnie intensywny zapach środków czyszczących, starych gazet i wilgotnych murów. W osobnej części znajdowały się regał z winami oraz szafa z bronią. Romanow wyjął parę karabinów i opowiedział mi o każdym z nich. Były większego i mniejszego kalibru, karabiny Zimmerstutzen, broń ładowana przez lufę oraz jedna dubeltówka.

– Dawniej dużo polowałem – powiedział. – Ale nie robię tego już od lat. Polować nauczył mnie ojciec, byłem wtedy małym chłopcem, miałem może z dziewięć lat. Był znakomitym myśliwym.

Romanow dostrzegł moje spojrzenie i skinął głową.

– Tak, to ten karabin. Browning, jego ulubiony. Mój ojciec był człowiekiem, który potrafił się uwolnić. Jego śmierć była dla nas czymś strasznym, ale za tę odwagę zawsze go podziwiałem, a dzisiaj podziwiam chyba nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Dotknął opuszkami palców lufy karabinu.

– Posłuchaj – niespodziewanie zwrócił się do mnie na ty – przed dwoma laty zachorowałem na raka, przywitałem się już ze śmiercią. Uważałem, że pozostało mi niewiele czasu. Od tamtej chwili muszę pisać. Wiem, że moja żona cierpi z tego powodu. Tkwi tutaj na

górze odcięta od świata zewnętrznego, ciągle jej powtarzam, że powinna wynająć sobie mieszkanie w mieście, ale ona chce zostać przy mnie. Bardzo mi przykro, że nie jestem już tym mężczyzną, w którym się zakochała. Ale już tego nie zmienię. Miałem nadzieję, że będziesz dla niej kolegą, z którym będzie mogła rozmawiać i spędzać czas. Zależy mi na tym, aby Alva nie czuła się taka odizolowana i samotna. Jesteś naszym przyjacielem i dużo to dla mnie znaczy.

Położył mi dłoń na ramieniu i spojrzał prosto w twarz. Potem odwrócił się gwałtownie.

– Tylko uważaj, nie pieprz jej.

Minęło kilka sekund, zanim dotarł do mnie sens jego słów. Instynktownie cofnąłem się o krok.

– Ja nie chciałem...

– Nie jestem głupcem. – Romanow nadal na mnie nie patrzył. – Przyszłość zostawiam wam, młodym. Ale dopóki żyję, wolałbym, żeby mnie nie zdradzała. Jeszcze kilka lat temu sam bym o to zadbał, wiem, jak przywiązać do siebie kobietę. Ale teraz... Niech pan mi obieca, że jej pan nie tknie.

Milczałem, spojrzałem najpierw na broń, potem na niego.

– Niech pan mi to przyrzeknie, Jules!

Romanow patrzył na mnie teraz napastliwie, a jego tak zazwyczaj przyjazne oczy świdrowały mnie nieubłaganie.

*

W czerwcu minęło pięć miesięcy, odkąd tutaj przyjechałem. Aby nie wydać wszystkich oszczędności, wynająłem za pośrednictwem Liz swoje mieszkanie w Berlinie. Jednak jakie to wszystko stało się dalekie, uświadomiłem sobie, kiedy pojechaliśmy z Alvą nad małe, lodowato zimne górskie jezioro. Trzęsąc się, wyszliśmy z wody i położyliśmy się na ręcznikach, żeby wysuszyć się na słońcu. Pachniało trawą, niebo było bezchmurnie niebieskie. Przez chwilę przyglądaliśmy się parolotniarzowi, który w dali szybował w dół doliny. Ja leżałem na plecach, Alva na brzuchu. Co jakiś czas zginała nogi i uderzała mnie palcami w lewy goleń.

– Bawi cię to? – zapytałem.

– Trochę... A czy przeczytałeś już *Serce to samotny myśliwy*?

– Tak, jeszcze w szkole, naprawdę mnie poruszyło, chciałem wtedy nawet napisać do ciebie list.

– Dziwne – powiedziała – ale ja nie dostałam od ciebie żadnego listu.

– Uznałem, że jest zbyt kiczowaty, i wcale ci go nie dałem.

– Masz go jeszcze?

– Nie.

– Kłamiesz, Jules, założę się, że dalej masz ten list.

Nad łąką przeleciał cytrynek i zamarł tuż przede mną.

– Chciałabym przeczytać coś twojego – powiedziała Alva.

– Jeszcze za wcześnie.

– Co wy w ogóle robicie tam we dwóch? Słyszę, jak ciągle rozmawiacie.

– Zazwyczaj rozmawiamy o tobie.

Znowu jej palce u nóg trafiły w moją goleń, tym razem było to lekkie ostrzeżenie.

– A jak idzie Saszy?

– Trudno powiedzieć. – Zastanowiłem się, jak to sformułować. – Zauważyłaś, jaki on jest ostatnio rozkojarzony? Mam wrażenie, że czuje się gorzej niż jeszcze kilka tygodni temu.

– Wiem – przyznała Alva bezgłośnie, jakby z bardzo daleka.

– I co to oznacza?

Milczała. To było pytanie, na które nikt z naszej trójki nie znał odpowiedzi.

Podczas gdy ja robiłem postępy i pracowałem nad dwoma opowiadaniem, u Romanowa pisanie szło bardzo powoli. Od czasu do czasu czytał mi kilka zdań na głos, pytał mnie nawet o opinię. Niekiedy tylko patrzył, jak piszę. „Stuk, stuk, stuk”, mówił wtedy raz rozbawiony, kiedy indziej zdeprymowany. Nie było ważne, że jest lepszy; nigdy nie umiałby pisać z takim entuzjazmem jak ja.

– Obejrzymy potem film? – zapytała Alva.

– Ale pod warunkiem, że nie będziesz płakała.

– Na pewno nie będę płakała.

Mówiła to za każdym razem. A potem płakała mimo to. Melodramatyczne sceny zawsze wyciskały jej łzy z oczu, wzruszały ją niesłychanie nawet najbardziej kiczowate zwroty akcji, na przykład kiedy jakaś para odnajdywała się na końcu albo gdy stary, poobijany futbolista trafiał

tryumfalnie do bramki w ostatniej sekundzie meczu. Wstydziła się tego, a ja uwielbiałem jej dokuczać.

– Uwaga, zaraz się pocałują – mówiłem. – Może lepiej nie patrz?

Najbardziej jednak zacząłem cenić w Alvie jej przezorność. Jakby to słowo zostało wymyślone specjalnie dla niej: była przezorna przy przesadzaniu kwiatków, formułując myśli, czule głaszcząc męża po karku, podczas pisania listu czy nakrywania do stołu, kiedy talerze i szklanki zawsze stawiała we właściwym miejscu. Jakby nic nie chciała pozostawić przypadkowi.

Wczesnym wieczorem wybrałem się do Romanowa ze swoimi notatkami. Już z daleka słyszałem muzykę. Zajrzałem przez uchylone drzwi. Romanow siedział przy pianinie, Alva na krześle obok niego. On szeptał do niej coś, co ją rozśmieszało. Pocałowali się niezbyt namiętnie, potem Romanow grał dalej. Jego palce tańczyły elegancko po klawiszach, aż nagle zafaloszował.

Próbowałem kilka razy wrócić do tego fragmentu melodii, daremnie. Nie mogłem po prostu przypomnieć sobie nut. W końcu zamknął kłapę pianina. Alva powiedziała coś po rosyjsku i oparła mu głowę na piersi, a Romanow głaskał ją po włosach. Długo nie mogłem zapomnieć jego spuszczonego wzroku.

Owej nocy Alva znów zniknęła na kilka godzin i wróciła do domu dopiero nad ranem.

*

Nie byłem pewny, jak moje rodzeństwo odniesie się do Alvy, ale już na dworcu przywitani ją z otwartymi ramionami. Liz i Marty mieli zostać na weekend, razem pojechaliśmy do wsi na górę. Alva prowadziła samochód po serpentynach z przesadną wręcz ostrożnością, a ja myślałem o tym, jak jeździła w młodości.

– Tutaj jest jak w Śródziemiu, tylko bez hobbitów. – Marty zafascynowany obserwował obramowane złotem obłoki na wieczornym niebie.

Od niedawna miał problemy z dyskiem, siedział nieco sztywno obok kierowcy.

– Kupujemy nawet mleko u chłopów – powiedziała Alva. – Mamy dwulitrowy baniak i niesiemy to pieniące się mleko do nas do domu.

– Chciałaś powiedzieć, że ja niosę – wtrąciłem.

– A ja gotuję dla ciebie już od miesięcy.

– Szkoda, że Jules przestał sam gotować – westchnął mój brat. – Kiedy był mały, najchętniej siedział w kuchni. Czasem nawet wyrzucał rodziców, bo mu zaglądali do

garnków.

– Nie wiedziałam o tym – stwierdziła Alva. – Niedawno pytałam go, czy nie zechciałby może czegoś ugotować, ale powiedział, że nie umie.

Spojrzałem wymownie na rodzeństwo.

– Mąż Alvy bardzo się cieszy z waszego przyjazdu.

– Wyszukałem go w Google’u – pochwalił się Marty. – Ameryka, Holandia, Rosja, Szwajcaria. Prowadził ciekawe życie. Ile ma lat?

– Sześćdziesiąt siedem.

Spojrzenie Marty’ego powędrowało ode mnie do Alvy, a ona wiedziała, że wszyscy w samochodzie pomyśleli o tym samym, ale wcale jej to nie wzruszyło.

– Według mnie to świetnie – odezwała się moja siostra. – Kiedy byłam nastolatką, chciałam mieć dużo starszego męża.

– Boże, wiem – powiedział Marty. – Chodziłaś wtedy przez kilka miesięcy z trzydziestosześcioletnim facetem, a twój dziwny narzeczony też był prawie dwadzieścia lat od ciebie starszy. Poza tym nigdy z nami nie rozmawiał.

– Mój brat nie powinien zabierać głosu w tej kwestii – zwróciła się Liz do Alvy. – Od stu lat jest z tą samą kobietą. Z jedyną, jaka kiedykolwiek go chciała.

Marty pocałował swoją obrączkę i zrobił wyniosłą minę.

Samochód z głośnym chrzęstem zatrzymał się na wysypanym żwirze podjeździe.

Romanow obserwował nas z balkonu jak myśliwy zwierzynę ze swojej ambony. Przywitał się wprawdzie z moim rodzeństwem bardzo wylewnie, ale potem zniknął na drugim piętrze i nie pokazał się aż do kolacji.

– Odwykł już po prostu od odwiedzin. – Alva stała w kuchni i kroїła cebulę. – Dlaczego właściwie nie powiedziałaś, że lubisz gotować? Byłoby miło zjeść raz coś przyrządzonego przez ciebie.

– Gdyby kilka spraw potoczyło się inaczej, to już dawno gotowałbym dla ciebie.

– Ach tak? Kiedy?

– Pod koniec szkoły. Zapytałem cię, czy chciałabyś wynająć ze mną mieszkanie w Monachium, mieliśmy to omówić wieczorem przy kolacji. Zrobiłem zakupy, myślałem, że kiedy zjesz moje farfalle z *ragoût*, to zapomnisz o swoich planach emigracyjnych.

Roześmiała się.

– Ach tak, pamiętam. A dlaczego kolacja nie doszła do skutku?

Spojrzałem na nią skonsternowany, a z jej twarzy zniknął nagle uśmiech. W kuchni zrobiło się cicho. Na czole Alvy znowu pojawiły się bruzdy. Milcząc, wyraźnie spięta mieszała risotto w garnku. W końcu odłożyła łyżkę na bok.

– Przepraszam.

– Nieważne.

– Ugotujesz kiedyś coś dla mnie?

Przyglądałem się jej przez chwilę. Potem przytaknąłem.

Podczas kolacji Romanow siedział sztywno na krześle na końcu stołu i nie wiedział, jak się zachować wobec tak rzadkich w tym domu gości. Miał na sobie czarną koszulę i szarą marynarkę, wyglądał nadal bez zarzutu. Ale teraz, inaczej niż w dniu, w którym go poznałem, przez większość czasu milczał.

Marty opowiadał o swojej habilitacji oraz o tym, że Elena otworzy wkrótce gabinet psychoterapeutyczny w Monachium. Liz mówiła niewiele. Robiła wrażenie niespokojnej, jakby

tylko czekała, żeby stąd uciec. Dzikie zwierzę w mojej siostrze, które przez ostatnie lata drzemało sobie zadowolone, nagle zaczęło się budzić. Lizało łapy i krążyło niespokojnie po klatce.

Kiedy siedzieliśmy później w salonie, Romanow powoli się ożywił. Nie pamiętam już, o czym opowiadał na początku, ale potem mówił o swojej pierwszej żonie, córce bardzo bogatego przemysłowca z Zurychu. Świątował wtedy w Kronenhalle ukazanie się powieści *Nienaruszalność duszy* i przy barze poznał tę dziewczynę.

– Niestety zmarła o wiele za wcześnie – powiedział. – Myślałem, że to było moje największe nieszczęście. Wyjechałem do Rosji z zamiarem wycofania się z życia. Ale wtedy dobry Bóg obdarował mnie raz jeszcze.

Romanow podniósł kieliszek, aby wznieść toast za Alwę. Wiedziałem, że o tym dobrym Bogu mówi poważnie, wystarczająco często wygłaszał mi prelekcje na temat tego, że tylko głupcy nie wierzą.

Znów nalał sobie wina i zaczął opowiadać, przeskakiwał z jednej anegdoty do drugiej, sądził, że nas bawi, ale tego wieczoru uświadomiłem sobie, że to nie on włada tymi historiami, lecz owe historie nim. Wydawało się, że jego mózg pracuje niestrudzenie, że otwiera wszystkie możliwe szuflady. Widziałem, że Alva cierpi z tego powodu, chociaż usiłowała nie dać tego po sobie poznać.

W pewnym momencie Romanow przerwał swoją opowieść w środku zdania i wbił wzrok w moje rodzeństwo. Jego oczy zdradzały niepewność, jakby przez chwilę nie wiedział, kim oni w ogóle są. Przerazająca pauza. W końcu uśmiechnął się i pewnym głosem zapytał Liz i Marty'ego, czy po raz pierwszy są w tej okolicy i jak im się tutaj podoba. Ogólnikowe pytania, jakie mógłby zadać każdemu obcemu człowiekowi, a które ja interpretowałem już jako część jego strategii kamuflażu. Krótco potem Alva zaprowadziła go na górę.

W salonie zapanowała kłopotliwa cisza. Marty zmarszczył czoło, ale nic na razie nie powiedział.

Liz zapaliła papierosa.

– Kiedyś musiał być szalenie przystojny.

– Robi wrażenie nieco... – Marty zawahał się – rozkojarzonego. Nie przez cały wieczór, ale co jakiś czas staje się to widoczne. Jak radzi sobie z tym Alwa?

– Przytłacza ją ta sytuacja, ale nie chce ze mną o tym rozmawiać, nie powiedziała mi nawet, co mu właściwie jest. Przypuszczam, że alzheimer, ale nie jestem pewny.

– A jak ty sobie z tym radzisz? – Liz spojrzała na mnie. – Powoli zaczynamy się już martwić, co ty tu właściwie robisz. To znaczy, jak jest między wami, czy wy...

Pokręciłem głową.

Liz przewróciła oczami.

– Mój drogi, w duchu jesteś naprawdę jednym z najbardziej romantycznych ludzi, jakich znam. I z pewnością nie jest łatwo z jej mężem – strąciła słupek popiołu z papierosa – ale jak długo, do cholery, jesteś już tutaj na górze? Kilka miesięcy?

Skrzypnęły schody. Alwa zeszła na dół, wzięła do ręki kieliszek i skinęła w naszym kierunku.

– Miło, że masz rodzeństwo – zwróciła się do mnie.

– Miło, że mój mały brat ma kobietę – powiedziała Liz.

Spojrzałem na nią wściekły i w tym samym momencie zezłościłem się na samego siebie: przez to nie zobaczyłem miny, jaką zrobiła Alwa.

To była jedna z pierwszych łagodnych nocy lata, usiedliśmy na werandzie. Marty, którego

rozbolał kręgosłup, wyciągnął się na podłodze. Dolinę rozpościerającą się przed nami spowijała ciemność, po drugiej stronie ktoś rozpałił ogromne ognisko.

– Szkoda, że Toni nie mógł z wami przyjechać – powiedziałem i spojrzałem przy tym na siostrę. – Czy złamałaś mu już serce swoim nowym chłopakiem, czy też masz dopiero zamiar?

– Właśnie się do tego zabieram. – Liz zrobiła przeproszający gest.

Mój brat zwrócił się do Alvy:

– Wiesz, jesteśmy najbardziej samotnym rodzeństwem na świecie – powiedział, leżąc na plecach. We trójkę dzielimy się jedynym najlepszym przyjacielem. Nazywam to niekiedy *best-friend-sharing*, właściwie warto by otworzyć agencję wynajmującą Toniego takim ludziom jak my. Za miesięczną opłatą mogłby się zaprzyjaźnić też z tobą.

– Przynajmniej zawsze mieliście kogoś – powiedziała Alva. – Ja swojego najlepszego przyjaciela straciłam prawie piętnaście lat temu.

Nie odpowiedziała na moje spojrzenie.

Cieszyłem się, że moje rodzeństwo tak dobrze rozumiało się z Alvą i chyba ją polubiło.

Kiedy Liz zapytała, czy Alva ma rodzeństwo, ta zamilkła na chwilę, ale po krótkim wahaniu opowiedziała o Phine, która być może gdzieś żyje albo od dawna jest martwa, i ku mojej uldze wydawało się, że mówienie o niej w pewnym sensie ją wyzwala.

Łagodna szarość brzasku rozjaśniła się. Niewiele dotąd miałem okazji do przeżywania wschodu słońca w czyimś towarzystwie. Kilka razy w internacie, potem z Liz i Martym w Montpellier. Miało się wrażenie, jakby wraz ze światłem nadchodzącego świtu ujawniała się prawdziwa istota człowieka, jakby znikwały pozory. I tak siedzieliśmy tu w czwórkę, rozmawialiśmy i patrzyliśmy, jak pierwsze promienie słońca trafiają w szczyt góry.

*

Marty i Liz wyjechali, a dom stał się nagle jakiś pusty i zbyt duży. Na początku nie wiedzieliśmy, co robić z hałasem, który pojawił się wraz z nimi. Teraz problemem była cisza, jaką po sobie pozostawili. Romanow nadal zachowywał jasny umysł, ale zdarzało mu się w rozmowie na tematy abstrakcyjne tracić z oczu szerszy kontekst i na całe minuty pogrążyć się w szczegółach. Poza tym zostawiał swoje rzeczy w najdziwniejszych miejscach. Znajdowałem książki w szafce w łazience albo filiżankę po herbacie w szufladzie na buty w przedpokoju.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy z Alvą w salonie, graliśmy w scrabble. Pokój oświetlała tylko kopczą świeca i niewielka lampa. Na dworze szumiał cicho deszcz, od czasu do czasu dał się słyszeć odgłos krowich dzwonek. Alva siedziała po turecku na fotelu. Zabierała się właśnie do ułożenia kolejnego słowa, kiedy usłyszeliśmy kroki Romanowa na górze.

Nagle z impetem rzuciła na planszę litery, które trzymała w dłoni.

– JA JUŻ TEGO NIE WYTRZYMAM! – krzyknęła. – Nie mogę tak dalej. On wariuje, Jules. – Podniosła się. – Już nie jest tym mężczyzną, którego kiedyś poznałam. Czasem mam uczucie, jakbym żyła z kimś obcym.

Jej wargi drżały.

– Każdego dnia traci z siebie coraz więcej. Każdego dnia zapomina więcej mnie.

Chwilami wydaje się całkiem normalny, ale ja wiem, że w środku zanika.

– Nie możesz z nim o tym porozmawiać? Pomóc mu?

– Sasza tego nie chce. Poza tym i tak nie można mu pomóc. – Pozwoliła, aby te słowa odpowiednio wybrzmiały. Westchnęła. – Muszę się napić.

Ze spiżarni wyjęła butelkę szkockiej. Opróżniliśmy kilka szklanek, nie upijając się właściwie. Zamroczeni siedzieliśmy na szafce kuchennej, tuż obok lodówki.

– Jak to się właściwie stało? – spytałem, wskazując na niewielkie blizny pod uchem Alvy.

– To było w pierwszym roku w Rosji, na długo zanim poznałam Saszę. – Mówiła cichym głosem i jakby nie do mnie. – Mieszkałam jeszcze w Moskwie, a moje życie było koszmarem. Żyłam tam całkiem sama i spotkałam niewłaściwych ludzi. Pograżałam się coraz bardziej, robiłam rzeczy, których robić się nie powinno.

– Jakie rzeczy?

– Nie chcę wchodzić w szczegóły. – Machnęła ręką. – To było tak dawno. W końcu definitywnie z tym zerwałam. Ojciec dał mi pieniądze i wyjechałam do Sankt Petersburga. Alva rzadko mówiła o swoich latach w Moskwie, a niekiedy miałem wrażenie, jakby wówczas coś w niej pękło albo jakaś jej część pozostała w tamtym mroku. Szkoda, że mnie tam nie było i nie mogłem temu zapobiec.

– Co robisz, kiedy wychodzisz w nocy na spacer?

– Nic. Po prostu chodzę, lubię być o tej porze sama i konfrontować się z tym, nad czym zazwyczaj nie mam ochoty się zastanawiać. – Spojrzała na mnie, a potem powiedziała:

– Zaczęłam to robić, bo byłam pewna, że któreś nocy nie wrócę już z takiego spaceru. Że po prostu zniknę. Za każdym razem budziło to we mnie uczucie bezgranicznej wolności.

– Chciałaś się zabić?

– Tego nie powiedziałam. I dotychczas zawsze wracałam. – Dodała nieco bardziej pojednawczo: – Niekiedy mam wrażenie, że robię to ze zwykłego przyzwyczajenia. Wiem, że to nieco dziwne.

Wypiła swoją szklanę jednym haustem. Potem spojrzała na mnie jakby zagubiona.

– Jules, powinieneś wyjechać. Najlepiej już jutro.

Nie wierzyłem własnym uszom.

Dopiero teraz poczułem działanie alkoholu, byłem jak sparaliżowany, wycieńczony.

Niezdolny do właściwej reakcji ani do spojrzenia jej w oczy.

– Nie chcę, żeby między nami było tak dalek – usłyszałem jej słowa. – Wiem, co czeka Saszę, nie da się już temu dłużej zaprzeczać, a ja nie zamierzam cię w to wciągać. Powinieneś nas teraz opuścić. To jest mój mąż, który tutaj ginie, to jest moje zadanie.

Nadal siedziałem jak zamroczony. Wyobrażałem sobie, jak jutro z torbą w rękę opuszczam ten dom. Jak zostawiam Alwę i jej męża, a sam, jak często bywało w moim życiu, idę ku bezużytecznej wolności.

To jest mój mąż, który tutaj ginie.

Nagle we wszystkim, co powiedziała, usłyszałem pobrzmiewający refren jej młodości:

„Nie jestem wystarczająco dobra”.

Znów miałem przed oczami jedenastoletnią Alwę, która odwiedziła mnie w pokoju w internacie i nieśmiało przeglądała moje rzeczy. Potem nieosiągalną dziewiętnastolatkę, która tak bardzo nienawidziła samej siebie, że dla mnie nie było już miejsca. Dwudziestopięcioletnią kobietę, której nigdy nie poznałem, właśnie świeżo zakochaną i zapewne szczęśliwą. Łagodną zameźną trzydziestolatkę, która odprowadziła mnie w Monachium na pociąg. A teraz siedziała obok mnie kilka lat później, ze swoimi ranami i strachami i nie umiała podjąć właściwej decyzji.

Lodówka szumiała, na dworze bębnił deszcz. Położyłem dłoń na policzku Alvy i odwróciłem do siebie jej głowę, mój oddech przyspieszył. Drgnęła, a całe jej ciało napięło się.

Wydawało się, że chce coś powiedzieć, usłyszałem delikatny dźwięk, z jakim jej język

odrywał się od podniebienia. W tym momencie pocałowałem ją w usta. Czułem jej zaskoczenie, jej wahanie. Potem odpowiedziała pocałunkiem.

*

Następnego ranka obudziłem się w swoim pokoju krótko po szóstej. Włożyłem buty do joggingu i wyszedłem na zewnątrz. Z drzew spadały krople, okolicę spowijały opary mgły, a w dolinie zagęszczał się mleczny tuman. Obraz jak z bajki. Powoli wychodziło słońce. Przez chwilę poczułem się znowu jak dwudziestolatek, ruszyłem do biegu.

Romanow nie zauważył początkowo przemiany, jaka zaszła pod jego nosem. Zbyt mocno był zajęty samym sobą i własnym przemijającym duchem. Alva, jak zwykle, spała w swoim łóżku, a przy jej mężu unikaliśmy jakichkolwiek czułości.

– Jules, wygląda pan na szczęśliwego – powiedział jednak pewnego dnia znad swojego biurka. – Od tygodnia już stuka pan w ciszy i zadowoleniu. O czym pan teraz pisze?

– Ciągle pracuję nad tymi dwoma opowiadaniem. W pierwszym chodzi o żonatego mężczyznę, który traci kontrolę nad swoimi snami. Każdej nocy śni mu się to samo. Inne życie, inni ludzie, inny zawód, inna żona, którą także kocha. Wkrótce obie te rzeczywistości staną się równie wyraziste. Kiedy umiera żona z jego snu, ma to także ogromne skutki w realnym życiu.

Opowiadanie to zatytułowałem *Inne życie*, a akcja rozgrywa się podczas pierwszej wojny światowej. Bohater zostaje w końcu powołany do wojska, a w snach żyje w okresie pokoju na wsi.

Romanow chwycił laskę i w okularach na nosie podszedł do mojego biurka. Przeczytał kilka linijek. Kiedy skończył, położył mi dłoń na ramieniu, co uznałem za komplement, względnie gest dodający odwagi. Opisałem mu także drugie opowiadanie. Przypominało nieco *Ciekawy przypadek Benjamina Buttona* Fitzgeralda, w którym człowiek starzeje się w przeciwnym kierunku, a bohaterem był mężczyzna, w którego obecności czas biegł szybciej.

Kiedy rozmawiało się z nim przez kilka minut, w rzeczywistości mijało pół godziny. Kiedy kobieta szła z nim na randkę, która według niej trwała trzy godziny, mijało ich siedem, niekiedy dwanaście. Człowiek ten przez całe życie pozostawał samotny. Ludzie unikali go, jak tylko odkryli jego tajemnicę, a on sam szukał kogoś, kto mimo wszystko zaakceptowałby starzenie się u jego boku i uznał, że kilka lat z nim oraz ich wspomnienie są cenniejsze niż całe życie bez niego.

Tego dnia byłem w świetnym nastroju, przyniosłem mleko, pozmywałem naczynia i zająłem się praniem. Wczesnym wieczorem, pogwizdując, otworzyłem drzwi do piwnicy i przeraziłem się. Romanow stał pośrodku pomieszczenia i mówił niespokojnie sam do siebie.

Kiedy mnie zauważył, zamilkł i przyjrzał mi się bacznie.

– Która godzina? – zapytał.

– Za kwadrans siódma.

Informacja ta wydawała się bardziej go denerwować niż uspokajać.

– Za kwadrans siódma wieczorem – dodałem.

– A co ja tu robię?

Mój wzrok padł na szafę z bronią

– Podkreślił pan ogrzewanie. W domu jest zbyt zimno.

Romanow chwilę się nad tym zastanawiał. Skinął głową.

– Zgadza się, tak było. – Rzucił mi przyjazne spojrzenie i podszedł do termostatu.

Jeszcze przez kilka dni pracowałem nad oboma tekstami, wreszcie dałem je Alvie do

przeczytania. Były dosyć długie jak na opowiadania i nie całkiem jeszcze skończone. Jednak ważne były nie tyle zawarte w nich historie, ile wejrzenie w moje wnętrze. Istniały sprawy, o których nie potrafiłem mówić, mogłem tylko pisać. Mówiąc bowiem, myślałem, a pisząc, odczuwałem.

Leżeliśmy na moim łóżku. Alva gryzła jabłko i przesuwała wzrokiem po liniijkach tekstu.

Przypatrywałem się jej w napięciu. Wtem roześmiała się, a ja poczułem się tak, jakby na ciemnej ulicy nagle rozbłysły wszystkie latarnie. W pewnym momencie zasnąłem. W środku nocy przebudziłem się na krótko, Alva nadal czytała obok mnie, wydawała się zmęczona i powiedziała, że tekst bardzo ją poruszył. Zobaczyłem jeszcze, jak sięga po butelkę z wodą i pije, potem zamknąłem oczy.

Kilka godzin później obudziłem się ponownie. Na zewnątrz zrobiło się już jasno, ale był dopiero wczesny poranek.

– No wreszcie! – Alva siedziała w bieliźnie na moich kolanach, a jej palce krążyły wokół mojego pępka. Rude włosy zaplotła w warkocz, nie miała okularów. Patrzyłem na nią chyba pytająco, bo bez słowa wskazała na kartki, które z wyraźnymi śladami czytania leżały rozrzucone na stoliku nocnym. Zanim rzuciła się na mnie, wypowiedziała owe pięć magicznych słów, które ciągle brzmią mi w uszach.

– Jules, to jest naprawdę dobre.

*

Po południu siedziałem w gabinecie. Romanow nie próbował już nawet pisać, lecz cały czas wpatrywał się we mnie.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Przytaknął z roztargnieniem i wstał. Potem złapał się za klatkę piersiową.

– Kłuje – powiedział łamiącym się głosem.

Podbiegłem do niego przygotowany na najgorsze. Mocny chwyt – i nagle moja głowa znalazła się pod ramieniem Romanowa, nawet nie zauważyłem, jak to się stało. Uderzył moją czaszką o biurko i drugi raz o klawiaturę Olivetti. Wreszcie udało mi się wyzwolić z jego uścisku, ale wtedy jego ręka trafiła mnie w twarz. Usiadł, sapiąc, na krześle.

Tak byłem przestraszony tym atakiem, że również usiadłem na swoim miejscu. Dudniło mi w głowie. W ustach miałem metaliczny posmak krwi.

– Myśli pan, że się nie zorientuję, kiedy ktoś pieprzy mi żonę? – usłyszałem. – Jestem stary, ale nie ślepy. Co pan sobie wyobraża, kim pan jest? Casanovą, mistrzem uwodzenia?

Starzy ludzie źle śpią. Każdego ranka budzę się o piątej, a od kiedy żyję tutaj z Alwą, zawsze chodzę do niej do pokoju, żeby popatrzeć, jak śpi w swoim łóżku. Tej nocy jej nie było. I nie poszła też na ten swój spacer. Była u pana.

Dotknąłem językiem zranionej wargi i milczałem.

– Prosiłem, aby pan jej nie ruszał do mojej śmierci. To była prośba.

– To była groźba.

Szczęki Romanowa zaczęły się poruszać.

– Okradł pan umierającego żebraka, nie mógł pan nawet poczekać, aż będzie martwy.

Mówił do siebie po rosyjsku, słowa brzmiały gorzko. Domyślałem się, co mówi. Jakby ktoś ustawił mi na głowie klepsydrę i z każdą sekundą coraz więcej ziaren spadało z jego komory do mojej. Nawet on nie mógł już tego powstrzymać.

Powoli podszedłem do niego.

– Alva jest najważniejszym człowiekiem w moim życiu, odkąd skończyłem jedenaście

lat. Nie mogłem jej... – Instynkt nie pozwolił mi wyjawic, że Alva chciała, abym wyjechał.

– Bardzo mi przykro, Aleksandrze – powiedziałem tylko. – Bardzo mi przykro, ale tu nie chodzi tylko o pana czy o mnie, chodzi także o Alwę. O to, czego ona chce.

Romanow nie odezwał się, jego spojrzenie przesunęło się nade mną. W końcu wskazał na moje biurko.

– Chciałbym przeczytać pana obydwu opowiadania.

– Nic jeszcze pan mojego nie czytał. Być może nie spodoba się panu mój styl, być może pan go nie polubi.

– Sypia pan z moją żoną, którą pan kocha – stwierdził beznamiętnie. – Wszystko, co pan teraz napisze, będzie albo okropne, albo bardzo dobre.

*

Między Romanowem i Alwą doszło do dłuższej kłótni, słyszałem coraz bardziej podniesiony głos Alvy. Nie potrafiła poradzić sobie z jego postępującym wewnętrznym rozpadem. Źle sypiała i z podkrążonymi oczami chodziła wyczerpana po domu. Chciałem coś dla niej zrobić, cokolwiek. Wydawało się, jakby z każdym dniem coraz bardziej bała się podjąć jasną decyzję, a jednocześnie o niczym bardziej nie marzyła.

Mgła zawieszona nisko na wierzchołkach drzew, szare niebo nad górami. Już pod koniec października spadł pierwszy śnieg, co jeszcze bardziej przywiązało nas do domu. Wprawdzie każdego dnia przebiegałem swoje rundy, ale lodowate powietrze cięło mnie w twarz, a zimno przenikało do szpiku kości.

Romanow powiadomił mnie, że podobały mu się obydwu opowiadania, potem nigdy już nie poruszył tego tematu. Dalej powoli, ale niezmiernie pisał na swojej maszynie. Jakby tym nieustannym stukaniem chciał podkreślić swoją obecność w naszej świadomości.

Kiedyś kochaliśmy się w moim pokoju, gdy usłyszeliśmy ostrzegawcze pojękiwanie maszyny do pisania. Usiłowaliśmy nie zwracać na nie uwagi, ale stukanie nie ustawało i w końcu Alva mnie odepchnęła. Bliska płaczu ubrała się bez słowa i poszła do niego.

Nie umiem powiedzieć, czy Romanow był nadal na mnie wściekły. Pewnego ranka zgubił się na drodze gdzieś na dole i przewrócił, a kiedy pomagałem mu wstać, objął mnie, czego do tej pory nigdy nie robił.

Od jakiegoś czasu nieustannie nosił książkę Nabokova. Gdziekolwiek był, zawsze miał ją przy sobie, tylko raz zostawił ją na kuchennym stole. Już chciałem zanieść mu ją na górę, gdy odkryłem tkwiącą między stronicami karteczkę. Od razu rzuciło mi się w oczy moje imię. Obok znajdował się krótki, nakreślony nieczytelnym prawie pismem, opis mojego wyglądu oraz słowo „przyjaciół”. Pod spodem: „Alva, rudowłosa, okulary, młoda. Moja żona”. I dalsze opisy, między innymi jego gabinetu i sypialni, data urodzenia oraz wielkimi literami „Szwajcaria, 2006”.

Najbardziej wstrząsnęły mną jednak dwa słowa, które napisał na prawym marginesie.

1. Pisanie

2. Piwnica

Zaniosłem mu tę książkę – *Pamięci, przemów* – wraz z karteczką na pierwsze piętro.

Romanow wziął bez słowa obie rzeczy. Obawiałem się, że będę rozmawiał z człowiekiem z zaburzeniami psychicznymi, ale on od razu wszystko zrozumiał. To była ostatnia sensowna rozmowa, jaką z nim prowadziłem.

– Jak pan zapewne zauważył, jestem chory – zaczął, siedząc na krześle przed swoim biurkiem. – Żona myślała początkowo, że to operacja prostaty zmieniła moje życie, jednak podczas ogólnych badań przedoperacyjnych wykryto alzheimera, wtedy jeszcze we wczesnym stadium. Usiłowałem to przed nią ukrywać, ale szybko się zorientowała.

Spuścił głowę.

– W mojej głowie panuje chaos, sam to czuję. Przenieśliśmy się tutaj na wieś, ponieważ w mieście czułem się przytłoczony. Początkowo przyjeżdżali jeszcze w odwiedziny przyjaciele i znajomi, ale ja potrzebowałem spokoju. Tu na górze istnieje niewiele rzeczy, które muszę zapamiętać. Siebie, żonę, pana, ten pokój, moją książkę. Jednak mój mózg rozpada się coraz szybciej.

– Dlaczego nie pozwoli pan sobie pomóc? Można by zatrudnić pielęgniarkę.

– Rozmawiałem o tym z Alwą. Nie chcę tego wszystkiego, tych ciągłych wizyt kontrolnych u lekarza, pigułek i ćwiczeń pamięci. Moją terapią jest pisanie. – Odwrócił się. – Nie chciałbym także, aby Alva musiała się mną opiekować. Moja żona musi być wolna.

– Więc lepsza klinika?

– Pan nie rozumie. – Po każdym zdaniu Romanow robił pauzę i ważył słowa. – Moja matka bardzo wcześnie zapadła na demencję, umarła w domu opieki. Pod koniec była śliniacą się istotą z zachwytem oglądającą teatr kukielkowy. A wcześniej była poetką, intelektualistką o przenikliwym umyśle. Jednak nie potrafiła się uwolnić, zareagować w porę. Pozostało mi jeszcze kilka tygodni, podczas których mogę sam decydować o własnym życiu. Wiem, że niewiele już dzieli mnie od chwili, w której mój umysł rozpadnie się ostatecznie, a ja przestanę być panem samego siebie. Wtedy nie będę już zdolny do właściwego zakończenia spraw, pozostanę skazany na wegetację w jakiejś klinice.

Otworzył szufladę.

– Jednakże przedtem muszę uregulować jeszcze kilka spraw. To tutaj... – wyjął dużą kopertę – jest dla pana. Proszę przeczytać po mojej śmierci. Nie wcześniej.

Przyjąłem ją z wahaniem.

– Dlaczego opowiada mi pan to wszystko? Dlaczego pan mi jeszcze ufa?

– Ponieważ jest mi pan to winien, Jules. – Romanow odetchnął głęboko. Chwycił mnie ręką. – Ostatnio znowu widzę wyraźnie swoje dzieciństwo. Mroźne zimy, kolacje w Ameryce, rozmowy z rodzicami, których dawno już zapomniałem. Wszystkie te chwile wypływają na powierzchnię, prześladowają mnie. – Pomasaował sobie kark. – Muszę się teraz uwolnić. Rozumie pan, co to oznacza? Zdawać sobie sprawę, że własne życie wkrótce dobiegnie końca? Że trzeba pożegnać się z umysłem, ponieważ on opuszcza człowieka i nigdy już nie wróci?

Potrząsnął głową.

– Pamiętam, jak byłem w pana wieku, jak wszystko było przede mną, a ja mogłem stawić czoło śmierci. A teraz siedzę tutaj, w płonącej bibliotece, i nic z niej nie mogę uratować.

Usta mu zadrżały.

– Proszę pozwolić mi uregulować swoje sprawy – powiedział cicho. – Nie mogę jeszcze się uwolnić. Ale dam radę, kiedy będzie trzeba.

*

Kiedy w kolejnych tygodniach Alva chciała porozmawiać o przyszłości swojego męża, za każdym razem ją zbywałem. Chciałem dać mu czas, robiłem mu pranie, załatwiałem różne sprawy i wspierałem ich oboje, jak tylko mogłem. Romanow zawsze był dumny z tego, że potrafi wszystko sam załatwić, jednakże teraz nawet ubieranie się sprawiało mu problem, tak że często musiała pomagać mu Alva.

Od czasu do czasu snuł plany, których źródłem była przeszłość. Pewnego wieczoru oświadczył, że zamierza odwiedzić w Ameryce swojego dawno już zmarłego brata. Kiedy zauważył nasze spojrzenia i zrozumiał swój błąd, skrzywił się.

– To nie może być prawda – wymamrotał sam do siebie.

Nowe i przerażające były jego wybuchy złości.

– Nie potrzebuję cię! – krzyczał raz na Alvę na moich oczach i zanim zdążyłem interweniować, solidnie nią potrząsnął. – Sam to zrobię!

Alva się nie broniła. Rozdzieliłem ich i przytrzymałem go mocno. Romanow wyrwał się i krzyczał po rosyjsku coś, czego nie rozumiałem. Długo go uspokajaliśmy, a już po chwili w ogóle nie pamiętał tego zajścia i czule ujął dłoń żony.

Przy obiedzie Alva oświadczyła, że tak dalej już być nie może. Ominęła taktownie niektóre kwestie, aby oszczędzić mi szczegółów powolnego rozpadu jego osobowości.

– Ktoś może przychodzić i się tobą zajmować – stwierdziła.

Romanow nie odpowiedział. Niewiele się już odzywał ze strachu, że powie coś nieodpowiedniego, zrezygnował nawet z porannej gazety. Tylko kiedy jadł, był nadal całkowicie sobą, a ja obserwowałem, jak odcina kawałek mięsa, wciąga jego zapach, wkłada do ust i przeżuwać, zamyka oczy.

– Można ci przecież ułatwić życie – Alva zaczęła raz jeszcze. – I nam także.

Romanow wpatrywał się w swój talerz.

– Żadnej opieki – powiedział. – Nie chcę, żeby ktoś tu przychodził.

Przyciągnął jej dłoń i pocałował, potem wstał i powłócząc nogami, poszedł do swojego pokoju. Z jadalni słyszeliśmy, jak na górze powoli i z uporem wali w maszynę do pisania. To były objawy strachu. Przekopałem jego kosz na śmieci, wyglądało na to, że nie jest już w stanie napisać żadnej sensownej linijki, to były raczej listy nazwisk albo zaszyfrowane notatki: *Monday rain...*

Wieczorem gracz. Idzie, jeżeli on zostanie.

Na końcu bez rozstrzygnięcia

Czego się chciało.

Ale pytanie pozostaje

I z tą samą dumą, z jaką ciągle zasiadał do maszyny do pisania, bronił się nadal przed tym, aby Alva go pielęgnowała. Każdego dnia dochodziło do kłótni i oskarżeń. Znowu zabłądził i wrócił cały przemarznięty, Alva orzekła wtedy, że najlepiej byłoby oddać go po Bożym Narodzeniu pod opiekę Christianstift, prywatnej instytucji opiekuńczej w Zurychu. Przedstawiła już tamtejszemu kierownikowi swoją sytuację i od razu przyrzeczono jej miejsce.

Romanow nie okazał żadnych emocji, ale później widywałem go często zamyślonego, spoglądającego w dal.

A potem nadszedł 17 grudnia, dzień, w którym moja ciotka Helene miała urodziny.

„Dokładnie tydzień przed Bożym Narodzeniem – mówiła zawsze, kiedy o tym zapominaliśmy.

– To bardzo łatwo zapamiętać”.

Od samego rana przytłaczał mnie jakiś dziwny niepokój. Coś tego dnia było inaczej, ale co? Alva pojechała do miasta, ja zadzwoniłem do Liz i Marty’ego. Przed dwoma miesiącami zaprosiłem ich do nas na święta, teraz musiałem to odwołać. Liz oznajmiła, że ona i Toni zamierzają świętować u naszego brata w Monachium. Obiecałem, że wpadnę do nich na jeden dzień, o ile uda mi się to jakoś zorganizować.

– Uciekaj stamtąd – powiedziała moja siostra, zanim się rozłączyła.

Podszedłem do okna. Ogród i łąka przy domu zniknęły, przede mną rozciągała się pokryta śniegiem dolina. W środku panował absolutny spokój. I wtedy wiedziałem już, czego brakuje. Odgłosu maszyny do pisania na piętrze.

*

Pobiegłem do gabinetu – pusty. Kilka sekund później otworzyłem drzwi do piwnicy.

Przedem stał Romanow z workiem na pranie w ręku. Policzki miał blade jak воск, podbródek pokryty siwym zarostem. Wydawało się, że potrzebował kilku chwil, zanim mnie rozpoznał. Ku mojej uldze zwrócił się do mnie po imieniu.

– Jules, musisz mi pomóc – stwierdził przyjaźnie, zwracając się do mnie znowu na ty.

Z kieszeni spodni wyjął złożoną kartkę. Znajdowało się na niej tylko jedno słowo: piwnica. – Po co ja tu przyszedłem?

Pomyślałem o Alvie, która robiła zakupy w mieście, a potem była umówiona z kierownikiem Christianstift, aby uzgodnić kolejne procedury. W tym samym czasie stałem tutaj z jej mężem, który chciał się dowiedzieć, czy właśnie miał zamiar zrobić pranie, czy też się zabić. Przypomniałem sobie jego karteczkę, na której obok opisu mojego wyglądu znajdowało się słowo „przyjaciół”. Skronie mi pulsowały, kiedy podszedłem do ulubionego karabinu jego ojca i dotknąłem ciężkiej metalowej lufy.

Włożyłem Romanowowi broń do ręki.

Po latach widziałem tę scenę w piwnicy z całą wyrazistością, jeszcze dzisiaj śni mi się po nocach.

– Browning – powiedział od razu.

– Pamięta pan swojego ojca?

– Oczywiście.

– Pamięta pan, jak umarł?

– Zastrzelił się. Możesz wierzyć lub nie, ale to był właśnie ten karabin. Dawniej dużo z nim polowałem. Także mój ojciec był zapalonym myśliwym.

Romanow patrzył na karabin zamyślony. Potem wyraz twarzy mu się zmienił.

Zobaczyłem, jak wzbiera w nim strach. Wykrzywił usta, ręce zaczęły mu drżeć.

– O mój Boże, już wiem, dlaczego tu jestem – wyszeptał.

Ta myśl nim wstrząsnęła. Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, a ja uświadomiłem sobie, że to był może ostatni moment, kiedy miał jeszcze kontrolę nad własnymi działaniami.

Później czekał go już tylko bezkres szaleństwa.

– Czy robię to, co należy? – zapytał, trzymając nadal karabin w rękach. – Powiedz, Jules.

Czy tak należy?

– Pana żona jest w mieście. – Zaszło mi w ustach. – Spotyka się z kierownikiem domu opieki. Pan...

Romanow spojrział na mnie pytająco.

– Pan nie chce iść do kliniki – ciągnąłem. – Nie tak jak pana matka. Rozumie pan?

Obserwowałem, jak rozpaczliwie poszukiwał tego wspomnienia.

– Nie, nie chcę – powiedział w końcu.

Podszedłem do niego.

– Może się pan uwolnić? Aleksandrze, może się pan uwolnić?

Wydawało się, że mnie nie słyszy.

– Moja matka zrobiła się na samym końcu zupełnie nie taka – mówił teraz jak dziecko.

– Była jak zwierzę. Nic już nie wiedziała, ani kto jest jej synem, ani kim sama jest. –

Podszedł do szafy i wyjął pudełko z amunicją, załadował karabin. Jeden nabój wypadł, podniósł go z wysiłkiem.

– Czy mam coś powiedzieć pana żonie? Powiem jej, że pan ją kocha.

Romanow się nie odzywał. Drżącymi rękami gładził karabin. Widziałem, że bardzo się boi.

– Kiedy byłem małym chłopcem, zawsze obserwowałem odlatujące ptaki – powiedział.

– Dokąd one lecą? – myślałem. Dokąd one lecą?

Głos w mojej głowie kazał mi wyrwać mu broń i zadzwonić na pogotowie. Zamiast tego objąłem go, a potem bez słowa opuściłem piwnicę.

Pospiesznie poszedłem do pokoju, wziąłem kurtkę i zbiegłem po zboczach ku dolinie. Raz poślizgnąłem się i upadłem w śnieg. Wygrzebałem się i biegłem dalej. Cały czas czekałem na strzał, on jednak nie nadchodził. Wyobrażałem sobie Romanowa, jak stoi z karabinem w piwnicy, sam przed decyzją: stracić życie czy rozum. Jeszcze parę ostatnich chwil, parę pożegnań ze wszystkim, potem wykorzystać tę sekundę odwagi, być silnym i uwolnić się.

Byłem już na dole na szosie, kiedy usłyszałem wystrzał. Kilka ptaków poderwało się niespokojnie nad drzewami, potem znów cisza okryła dolinę.

Narodziny strachu

(2007–2008)

Na podróż do Włoch wynajęliśmy samochód. Tuż przed wyjazdem raz jeszcze obejrzeliliśmy nasz nowy salon. Ściany świeżo pomalowane, podłogi wyszlifowane i wypolerowane; skończyliśmy dopiero kilka godzin temu. Alva opowiadała, jak urządzimy mieszkanie po powrocie, a ja sam już nie wiem, czy dlatego, że znowu byłem w domu, czy że Alva była w szóstym miesiącu ciąży, w każdym razie nagle ze szczęścia łzy popłynęły mi z oczu.

Zawstydzony odwróciłem twarz.

Wyjechaliśmy z Monachium wczesnym rankiem, a w drodze prowadziliśmy na zmianę.

– Wiesz co? – Alva bębniła palcami po kierownicy. – Myślę, że znowu zacznę studiować.

Bardzo brakowało mi uniwerku i nauki, trudno, będę najstarsza.

– A co chcesz studiować? Literaturę?

Potrząsnęła zdecydowanie głową.

– Miałam tak wiele do czynienia z pisarzami, że potrzebuję czegoś własnego, tylko dla siebie. Chcę coś zrobić dla swojego umysłu.

Jej oczy za szklami okularów błyszczały. Patrzyłem na jej twarz, na białą delikatną cerę,

drobne czarne rzęsy i mocną czerwień włosów i czułem się zniewolony jej urodą.

Rozmawialiśmy o naszych wspólnych młodzieńczych wyprawach nad dalekie jeziora i na festiwalu. W zapale powiedziałem coś takiego:

– Czy to nie obłąd, że nie widzieliśmy się przez tyle lat?

Alva wzruszyła ramionami.

– Kiedy chodziliśmy do szkoły, wydawało mi się, że to, co jest między nami, to skomplikowana sprawa. Dopiero później uświadomiłam sobie, że zawsze cię kochałam – właśnie zmieniała pas i nie patrzyła na mnie – ale wtedy byłam już w Rosji. Często o tobie myślałam, ale jakoś chciałam o tobie po prostu zapomnieć.

– Więc tęskniłaś za mną?

– Tak, czasami – przyznała Alva. – Ale w gruncie rzeczy byłam zadowolona, że się ciebie pozbyłam.

Uśmiechnęła się. Położyłem jej rękę na brzuchu. Nadal nie wybraliśmy imion dla bliźniaków. Córkę chciała początkowo nazwać imieniem siostry, ale rozmyśliła się.

– A jeżeli Phine jeszcze żyje?

Szukając imion, odkryłem, że „Alva” znaczy w językach skandynawskich „duch lasu”.

Podobało mi się to. Alva strzegła lasu, którego nie opuściłem od czasów dzieciństwa.

Przed nami sunęło kilkanaście ciężarówek, jechaliśmy w smudze zapachu benzyny i świateł niezliczonych reflektorów. Minęliśmy włoską granicę i cieszyliśmy się na hotel na wybrzeżu Amalfi, w którym chcieliśmy pozostać dwa tygodnie. Za podróż zapłaciłem ze swoich oszczędności, ale nie było to konieczne. Po śmierci Romanowa Alva odziedziczyła przerażająco wielką, jak dla mnie, sumę, do tego sprzedaż domu w Alpach wraz z działką dała milion franków szwajcarskich. Pieniądze nie grały już roli, czy chciałem tego, czy nie.

– Zdążyłeś jeszcze zadzwonić do wydawnictwa?

– Tak – odpowiedziałem. – Umieścili jego książkę w wiosennym planie wydawniczym.

– Dasz radę?

– Już prawie skończyłem.

Ostatnie dzieło Romanowa – *Czasie, który uciekasz* – składało się z pięciu opowiadań.

Trzy z nich zdeponował u notariusza w Lucernie kilka miesięcy przed śmiercią, aby ochronić je przed samym sobą. Pierwsza historia opowiadała o przedstawicielu handlowym w Polsce pod koniec lat czterdziestych. Bohater stracił rodzinę podczas wojny i jedzie przez mroźny, pusty kraj, w którym nie ma już nic z wyjątkiem jego wspomnień. Akcja drugiego opowiadania, *Światło i odbłask*, rozgrywała się w Ameryce, jego bohaterowie to rozwodzące się małżeństwo z Oregonu. Kobieta zorientowała się właśnie, że mąż zdradzał ją całymi latami i z tej przyczyny na dobrych wspomnieniach o nim pojawia się rysa. Trzecia historia mówiła o nim samym, o pisarzu Aleksandrze Nikołaju Romanowie, który został zapomniany. Opisuje w niej, jak zaczął tracić rozum, trafił do domu opieki i cały czas rozbierał swoje życie na czynniki pierwsze i fałszywie składał ponownie. To była moja ulubiona historia jego autorstwa, nawet przed *Niezłomnym sercem*.

Ostatnie dwa opowiadania były moje.

Koperta, którą Romanow dał mi kilka tygodni przed śmiercią, zawierała trzydzieści stron ze scenami, uwagami, wspomnieniami i pomysłami. Dołączony był także list.

Obaj jesteście złodziejami, Jules...

– napisane było na górze.

Dlatego chciałem zaproponować Panu wymianę. Książkę za kobietę. Jest Pan mi to winien.

Chciał dostać – po przerobieniu według jego wskazówek – obie moje historie, które napisałem w Szwajcarii.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego robisz to dla Saszy – dziwiła się Alva. – To tylko prośba, a poza tym on już nie był wtedy sobą.

– On tę prośbę traktował bardzo poważnie.

– A nawet gdyby tak było... Wyzbywasz się swojej przyszłości jako pisarza. Dlaczego to robisz?

Potrząsnąłem tylko głową. Nie mogłem jej powiedzieć.

Przelewanie pomysłów Romanowa do moich opowiadań okazało się niekiedy zaskakująco łatwe, innym znów razem prawie niemożliwe. Wbudowywanie obcych scen do utworu było jak transplantacja. Niekiedy musiałem wymyślać całe dodatkowe wątki, aby wprowadzić treści, których sobie życzył. Jednak po jakimś czasie nie umiałbym już oddzielić jego scen od swoich. Także jego ostatnia książka była pełna tragizmu, chociaż Romanow powiedział kiedyś, że nigdy nie dramatyzował życia, nigdy niczego nie dodawał. Po prostu nie odwracał wzroku.

Alva westchnęła.

– A co będziesz robił, jak już skończysz jego książkę?

– Poszukam sobie pracy.

Machnęła ręką.

– Kiedy zacznę studia, ty będziesz musiał zająć się dziećmi.

– I co mam robić?

– Masz znowu pisać własne historie. Z przyjemnością wydam trochę pieniędzy na wsparcie rokującego wielkie nadzieje pisarza. Możesz potraktować to jako stypendium.

– Bardzo śmieszne.

Zaparkowałem samochód na stacji benzynowej, wysiedliśmy. Alva podeszła do mnie.

– To było zawsze moje marzenie, Jules: własny, zależny ode mnie poeta nadworny.

– Dała mi całusa. – Mój osobisty niewolnik.

– Stałaś się bardzo bezczelna, Krzywozęba. – Oddałem całusa, ale ugryzłem ją przy tym w dolną wargę. – Uważaj, żeby te wielkie pieniądze cię nie zdeprawowały.

– To się już dawno stało.

Kupiliśmy sobie kawę i tramezzini i pojechaliśmy dalej. Niebo zrobiło się czarne, deska rozdzielcza rozświetliła się i było bardzo przytulnie tak siedzieć z Alvą w samochodzie.

Rozmawialiśmy przez całą noc, słuchaliśmy w radiu włoskich piosenek i wygłupialiśmy się.

Wciąż powtarzała, że mam bardzo małe uszy, najmniejsze, jakie kiedykolwiek widziała, a ja twierdziłem, że to oznaka inteligencji.

– Jak już dojedziemy, to zaczniemy od śniadania na plaży.

Błogo zmęczona wtuliła się w fotel. Na horyzoncie pojawił się skrawek słońca, bez słowa patrzyliśmy, jak szosa przed nami wynurza się powoli z ciemności. Koniuszki palców Alwy głaskały moje przedramię, w górę i w dół, i to był chyba właśnie ten moment, w którym nie zamieniłbym już swojego życia na inne, nawet na takie, w którym żyliby moi rodzice.

*

Dziewięć miesięcy później w jednym ze szwajcarskich wydawnictw opublikowana została książka Romanowa. Ukazało się sporo recenzji, w niektórych omówiono nawet całą jego twórczość, jednak książka nie sprzedawała się najlepiej. Nazwisko A.N. Romanowa zostało odkurzone po raz ostatni, a potem zapomniane.

– Przynajmniej nie musiał tego przeżywać. – Alva z goryczą patrzyła na białą książeczkę w swojej dłoni. – Za pięć lat nikt nie będzie jej czytał. Jest zbyt mroczna.

– Ja będę czytał.

– A mianowicie kiedy?

– Kiedy będzie mi źle. Wtedy ta książka mnie pocieszy.

Alva podeszła do dziecięcego łóżeczka.

– Dlaczego miałyby być nam źle? – Spojrzała na niemowlaki. – Czasem robię sobie taki rachunek, przyznając, nieco makabryczny. Życie to gra o sumie zerowej. Po stronie strat znajdują się siostra, która zniknęła, moje dzieciństwo, matka, śmierć Saszy, a przede wszystkim to, jak umarł. Tak więc teraz musi nam się przydarzyć wiele dobrego, aby to się wyrównało.

– Życie nie jest grą o sumie zerowej. Są ludzie, którzy mają wyłącznie pecha, którzy tracą stopniowo wszystko, co kochają.

– A ty oczywiście myślisz, że jesteś jednym z nich?... Mój kochany Hiob. – Alva przejechała mi dłonią po włosach. Ostrożnie, pomyślałem. – Zaufaj mi. – Cmoknęła mnie w policzek. – Następne lata należą do nas.

Wyjąłem córkę z łóżeczka. To było niesamowite uczucie trzymać dziecko w ramionach.

Jakby moja najjaśniejsza część świeciła nie we mnie, tylko w dzieciach.

– Słyszałaś? – wyszeptalem Luise do ucha. – Następne lata należą do nas.

Miałem wtedy trzydzieści pięć lat, prawie tyle samo, ile moi rodzice w chwili śmierci.

Przekraczałem próg, do którego oni już nie dotarli. Bolało mnie, że czas, który z nimi spędziłem, pierwsza dekada mojego życia, coraz bardziej się oddalał. Kiedy patrzyłem na Alwę, teraz młodą mamę, często myślałem o własnej matce i żałowałem, że tak niewiele o niej wiem. Wspomnienie o niej było czymś więcej niż tylko uczuciem, było jej ciepłem, jej niewyczerpaną wesołością.

Natomiast jako człowiek pozostawała dla mnie obca, i dopiero teraz pojąłem dlaczego. Nigdy nie widziałem jej w chwili słabości. Nigdy nie przeżyłem momentu, w którym byłaby przygnębiona czy rozgoryczona. Prześlizgiwała się przez moje dzieciństwo jak aktorka, która swoje prawdziwe „ja” ukrywa pod maską promiennej matki, stąd też pozostało mi w pamięci jedynie tych kilka, zawsze takich samych, historii o niej.

– Wasz ojciec nie był właściwie w moim typie – powiedziała pewnego razu. – Ale nie mogłam przejść obok niego obojętnie. Był przywódcą małej paczki studenckiej. Każdego dnia czekał na mnie przed uniwersytetem i pytał, czy pójdę z nim na randkę. Za każdym razem odmawiałam. „No, to do jutra”, mówił wtedy i kłaniał się z uśmiechem. Podobał mi się ten jego upór. Poza tym zawsze tak źle wymawiał moje nazwisko.

Przy tych słowach patrzyła na ojca, który jak wywołany do tablicy mówił z przesadnym akcentem „Magdalena Seitz”.

Kiedy myślę o tych opowieściach, ukazujących zawiadackiego młodego człowieka, to nie mogę wręcz uwierzyć, jak bardzo się zmienił. Prawdopodobnie ta jego pewność siebie, właściwa chyba większości dwudziestoparolatków, była nieco na wyrost. Albo wręcz przeciwnie: jedynie w tej fazie swojego życia był naprawdę sobą, a dopiero później wydarzenia z młodości zarzuciły na niego swoją sieć.

Aby dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości, przeszukałem komórkę w naszym domu.

To tutaj znajdowały się wszystkie pudła ze wspomnieniami z Berdillac, Monachium, Hamburga i Berlina. W jednym z nich znalazłem, oprócz starych fotografii rodzinnych, czerwony notatnik z krótkimi opowiadaniem, które pisałem jako dziecko, a także zepsuta leicę i

list napisany po francusku.

Drogi Stéphane, ten aparat jest dla Ciebie. Ma Ci przypominać, kim jesteś, oraz o tym, czego w życiu nigdy nie wolno niszczyć. Spróbuj, proszę, mnie zrozumieć.

Odłożyłem list na bok. Co wiedziałem o ojcu? Jako nastolatek lubił grać w piłkę nożną i chciał zostać fotografem, jednak zabrakło mu odwagi i wsparcia. Pewne wydawało się również i to, że on i jego brat Eric dostawali lanie od ojca, zwłaszcza kiedy ten był pijany. Sugerowała to nasza ciotka Helene. Resztę musiałem poskładać z tego, czego nam nie mówiono. Dlaczego wuj Eric zmarł tak młodo? O jego tragicznej śmierci w rodzinie nigdy się nie rozmawiało. Teraz było za późno, aby dopytać. Mój ojciec świadomie trzymał swoją przeszłość na dalekim planie, a mnie nie udało się nastawić na nią ostrości.

*

Sprzątałem już, kiedy w oko wpadł mi jeszcze jeden stary album: na fotografiach byli moi rodzice i państwo Lehnerowie, z którymi kiedyś się przyjaźnili. Hanno Lehner, przystojny dyplomata, który często opowiadał nam, dzieciom, o swoich podróżach do Sudanu czy Iranu.

I Elli Lehner, nauczycielka, jak moja matka. Kilka lat przed śmiercią rodziców nagle przestali nas odwiedzać, musiało chyba dojść do konfliktu. Na zdjęciu siedzieli w czwórkę przy stole w naszym mieszkaniu. Ojciec patrzył na Elli Lehner, która opowiadała coś, mocno gestykulując.

Także Hanno Lehner wpatrywał się swoją żonę jak urzeczony. Tylko moja matka nie patrzyła na nią. Nie spoglądała także na ojca ani w obiektyw aparatu. Patrzyła na niego. Znałem ten wyraz twarzy aż za dobrze. Było to żarliwe, głodne spojrzenie, takie, jakie rzucała moja siostra mężczyznom, których pożądała. I których też dostawała. Ale czy tak było naprawdę? Czy zdjęcie opowiadało mi swoją historię, czy też ja opowiadałem ją sobie samemu?

Zaparzyłem kawę i usiadłem nad swoją powieścią. Jednak prawie nie posuwałem się do przodu. Owa, wręcz magiczna, energia, którą czułem w czasie pobytu w domu w Alpach, zniknęła, a śmierć Romanowa tkwiła we mnie nadal. Alva nigdy się nie dowiedziała, że wcisnąłem jej mężowi karabin do rąk, ale mimo iż nie zrobiłem tego przecież, aby w elegancki sposób pozbyć się konkurenta, niekiedy miałem wyrzuty sumienia.

Przez chwilę machinalnie uderzałem w klawiaturę, aż nagle moje myśli wróciły do ojca.

Do mojego ostatniego z nim spotkania. Bardzo długo pamiętałem je zupełnie inaczej, ale teraz skłonny byłem wierzyć swoim odczuciom z odlotu po LSD. To była prawda, którą od dawna wypierałem, która tkwiła we mnie jak trujący kolec i kierowała mną z mroku mojej świadomości.

Prawdą jest, że podczas tego ostatniego wieczoru rozmawiałem z ojcem o aparacie fotograficznym, który podarował mi na Boże Narodzenie i którego nigdy nie użyłem. Prawdą jest także, że załagodiliśmy tę małą kłótnię, a on zaproponował, że pokaże mi, jak działa mamiya.

Powiedział, że bardzo by się cieszył, gdybym robił zdjęcia, że mam dobre oko do tematów i że zauważył to już dawno.

Jednakże nasza rozmowa na tym się nie zakończyła.

Mieliśmy wtedy napięte stosunki nie tylko z powodu aparatu. Matka była zawsze opanowana i zrównoważona, nigdy bym się jej nie sprzeciwił. Ale kiedy ojciec wysyłał mnie do łóżka, wzruszałem ramionami, a kiedy pozorował autorytet i mnie strofował, tylko się śmiałem.

Widziałem jego strach i niepewność i nie mogłem tego znieść.

W tamten weekend, kiedy rodzice pojechali do Francji, chciałem koniecznie pójść na imprezę organizowaną przez starszego chłopaka. On już palił i pił, a to, że mnie zaprosił, wydawało mi się wielkim wyróżnieniem. Jednak ojciec zabronił mi u niego nocować.

– Tato, ale wszyscy tam będą. Obiecałem, że też przyjdę.

– Rozmawialiśmy już o tym chłopcu, to nie jest towarzystwo dla ciebie. Z całą pewnością nie pozwolę ci tam przenocować bez nadzoru.

– Ale jeżeli nie pójdę, będą mnie uważali za tchórza.

– No to będą.

Dla niego to był koniec dyskusji, zaciągnął zamek błyskawiczny swojej torby i zaczął nabijać fajkę.

– No, tak – powiedziałem. – Tobie jest to obojętne. Sam jesteś tchórzem.

Od razu poczułem, że popełniłem błąd. Ojciec odwrócił się do mnie z fajką w rękę, przerażony tak samo jak ja.

– Co ty powiedziałeś, Jules?

– Że jesteś tchórzem – usłyszałem własne jąkanie. Robiło mi się na zmianę gorąco i zimno, posunąłem się zbyt daleko, a mimo to nie mogłem przestać. – Nigdy nie masz na nic odwagi. Zabraniasz nam wszystkiego, bo sam się wszystkiego boisz. Jesteś tchórzem i chcesz, żebym był taki sam jak ty.

Poczułem uderzenie w lewy policzek. Łzy napłynęły mi do oczu.

– Mam cię gdzieś – wrzasnąłem. – Ciebie i twój gówniany aparat. – Wściekły spojrzałem na niego. – Nienawidzę cię!

Nagle zapanowała cisza.

Zrobiłem krok do tyłu. Miałem uczucie, jakbym po raz pierwszy tak naprawdę widział własnego ojca. Wydawał się dotknięty do głębi i miał taką samą minę jak po rozmowie telefonicznej, która potwierdziła jego zwolnienie z pracy. W głębi duszy natychmiast zacząłem mu współczuć. Pobiegłem do swojego pokoju.

Pół godziny później przyszła do mnie matka. Miała na sobie beżowy płaszcz. Uściskała mnie na pożegnanie, poczułem jej perfumy o zapachu bzu.

– Nie bądź taki – powiedziała. – Tato wcale tego nie chciał.

– Uderzył mnie.

– Wiem. I bardzo, bardzo tego żałuje. On sam nie może wręcz uwierzyć, że zrobił coś takiego. – Przerwała na chwilę. – Obecnie ma pewne... Nie czuje się teraz najlepiej.

– Dlatego wyjeżdżacie?

– Dlatego też. – Pogłaskała mnie po włosach. – Może jednak powiesz ojcu do widzenia?

Bardzo chciałby się z tobą pożegnać, zaraz przyjedzie taksówka.

– Nie – odszczeknąłem.

Matka pocałowała mnie w policzek, potem usłyszałem, jak żegnali się w przedpokoju z Liz i z Martym. Ojciec zapytał, co ze mną.

– Znasz go przecież – powiedziała matka. – Jest uparty.

– Cholera... – mruknął i nadal wydawał się podłamany.

Wreszcie sam przyszedł do mojego pokoju i chciał porozmawiać, ale ja odtrąciłem go w milczeniu. Po chwili przyjechała taksówka i usłyszałem, jak zamykają się drzwi od mieszkania.

Już nie zdążyłem nic dodać do owego „nienawidzę cię” i były to ostatnie słowa, jakie wypowiedziałem do ojca przed jego śmiercią.

Z okna mieszkania widziałem, jak wsiadają do samochodu. Stéphane, mój ojciec,

przytrzymał drzwi Magdalenie, mojej matce, odjechali, a ja jeszcze dzisiaj mam przed oczami tę taksówkę w nocnym świetle latarni, skręcającą za rogiem i znikającą mi z pola widzenia.

To, co niezmiennie
(2012–2014)

Kwiecień 2012 roku, ponad dwa i pół roku przed moim wypadkiem motocyklowym: wspólne Święta Wielkanocne w Monachium. Popołudniowe słońce rozżarzyło dachy koloru miedzi na naszej ulicy, a w powietrzu unosił się zapach świeżo pieczonych ciast. Przy stole Marty nieustannie usiłował rozśmieszać mojego syna, robiąc głupie miny, jednak to było działanie skazane na niepowodzenie. Vincent już w wieku czterech i pół roku był osobą raczej zdystansowaną, a mój brat nie bardzo nadawał się do rozbawiania dzieci.

Po deserze bliźniaki wyruszyły na poszukiwanie pisanek, które Elena pochowała w całym domu. Zawsze w towarzystwie dzieci rozkwitała, tak że często i chętnie przyproceedzałem do niej naszą dwójkę. Od czasu do czasu przychodziłem sam do jej gabinetu. Zacząłem terapię, kiedy dowiedziałem się, że zostanę ojcem, i nie byłem pewny, czy sprostim nowej roli. Podczas naszych spotkań Elena nigdy nie mówiła zbyt wiele, słuchała uważnie opowieści o tkwiącym we mnie strachu przed ponowną utratą wszystkiego. I umiała mnie rozgryźć, z reguły bez jednego słowa. Wystarczyło jedno, raz przyjazne, innym razem karcące spojrzenie, a ja wiedziałem, co myślała. Coraz lepiej rozumiałem, czego szukał w niej Marty i co znalazł. Elena umiała korygować postępowanie człowieka, wyczuwała, kiedy zbacza z drogi, i z łagodną stanowczością zwracała go na właściwy tor.

Toni nie przyjechał do Monachium. Uznałem, że lepiej nie pytać o niego Liz. W owym czasie Toni, kiedy udało mu się po przedstawieniu poderwać jakąś kobietę, opowiadał później Liz wszystko ze szczegółami i razem sobie z tego żartowali. Liz opierała się o niego, brała go za rękę i czule do niego przemawiała. Nigdy jednak nie posuwała się dalej. Kiedy natomiast sama miała nowego mężczyznę, odsuwała się od Toniego prawie całkowicie i jak najdalsza była od zwierzeń. „Sadystka i masochista”, powiedział raz żartem mój brat, ale oczywiście nie był to żart.

Luise przybiegła do ciotki i usiadła jej na kolanach. Moja siostra podczas każdej wizyty oświadczała uroczyście, że również chce mieć dzieci. Miała już czterdzieści dwa lata, więc uważałem, że nie ma już szans na zostanie matką.

– Chciałabym mieć dokładnie taką samą dziewczynkę – mówiła. – Ta jest idealna.

– Całowała Luise w głowę i obie promieniały.

Jednak mimo że moja siostra zachowywała się tak, jakby rozkoszowała się życiem rodzinnym, to w Monachium wytrzymała zaledwie kilka dni. Dawniej, kiedy obchodziliśmy święta Bożego Narodzenia u ciotki i kiedy wszystko przebiegało zbyt harmonijnie i szczęśliwie, zawsze wychodziła na jakąś imprezę. Pomyślałem o cytacie z Jacka Kerouaca, który jako nastolatka zawiesił nad swoim łóżkiem: *(...) dla mnie prawdziwymi ludźmi są szaleńcy ogarnięci szalem życia, szalem rozmowy, chęcią zbawienia, pragnący wszystkiego naraz, ci, co nigdy nie ziewają, nie plotą banałów, ale płoną, płoną, płoną, jak bajeczne race eksplodujące niczym pająki na tle gwiazd (...)[6].*

*

Śmiechy z dużego pokoju. Na kanapie Alva i dzieci, przytulone do siebie. Czytała im na głos, teraz się wygłupiają. Nigdy nie mogłem się nasycić widokiem Alvy w roli matki. Zawsze

trafiała we właściwy ton, dokładnie wiedziała, w odróżnieniu ode mnie, kiedy powinna być surowa, a kiedy wesoła, i wydawało się, że chce dać im to wszystko, czego jej kiedyś zabrakło.

Dzieci ją ubóstwiały.

Podszedłem do gramofonu.

– A teraz uważajcie – powiedziałem i przez moment poczułem tę samą radość oczekiwania jak wtedy, gdy w dzieciństwie chciałem coś pokazać rodzeństwu.

Nastawiłem płytę. Donośne dźwięki gitary, w tle chór. Wszyscy spojrzeli na mnie.

– Tato, co to jest?

– To są Beatlesi – powiedziałem. – *Paperback Writer*.

Luise uznała muzykę za zabawną. Vincent uniósł brwi ze zdziwienia i kołysał stopą do rytmu, a kiedy piosenka dobiegła końca, zażądał natychmiast:

– Jeszcze raz.

Tego dnia dzieci nocowały u Marty'ego i Eleny, abyśmy mogli wyjść tylko we dwoje.

– Oglądamy właśnie film, a potem posłę je do łóżka – wieczorem relacjonowała Elena przez telefon. A potem dodała, już trzeci raz podczas tej rozmowy: – Bardzo na nie uważamy.

– Tak, tak, wiem przecież. – Powstrzymałem się od śmiechu.

Rozłączyłem się i poczułem na sobie wzrok Alvy.

– Co jest?

– Wyglądasz na zadowolonego. Wręcz szczerzysz zęby.

– Nie szczerzę.

– Właśnie że tak, dalej to robisz.

Wziąłem ją za rękę i przyciągnąłem energicznie do siebie.

– Nareszcie znowu sami. – Moje ramiona na jej plecach. – A może zostawimy dzieci u mojego brata, a sami gdzieś zwiejemy?

– A już myślałam, że nigdy na to nie wpadniesz.

Później w restauracji Alva opowiedziała o pewnym wykładzie, który polecił jej Marty.

W ostatnich latach zaprzyjaźniła się z nim, często zdarzało mi się wracać do domu i zastawać oboje pogrążonych w ożywionej rozmowie. Niekiedy przysiadłem się do nich, ale w zasadzie podobało mi się, że rozumieją się tak dobrze i beze mnie.

– Czy zauważyłeś, że pod wieloma względami Alva podobna jest do Liz? – zapytał mnie raz Marty po takim spotkaniu.

W pierwszej chwili roześmiałem się tylko z niedowierzaniem, ale później często myślałem o tym, co powiedział.

Alva dawno już ukończyła studia filozoficzne, a teraz siedziała nad pracą doktorską, a oprócz tego opiekowała się naszym bardzo zaniedbanym dziedzińcem wewnętrznym.

W odpowiedzi na jej propozycję administracja domu posadziła tam świeżą trawę, Alva kazała wybudować w tym miejscu huśtawkę dla dzieci (a także w pewnym stopniu i dla mnie) oraz domek na drzewie.

Jednak nadal odzywały się w niej mroczne wibracje. Od czasu do czasu dawała się ować przeszłości; dopadały ją sceny z młodości i, dla mnie nadal tajemniczych, lat spędzonych w Moskwie. Była nerwowa, miała koszmary nocne i rzucała się we śnie, dopiero gdy ją przytulałem, powoli się uspokajała. Szybko musiałem się nauczyć, że istnieją dwie Alvy i nie mogę mieć jednej bez drugiej. Wprawdzie od narodzin bliźniaków zaprzestała nocnych spacerów, ale w głębi duszy bałem się, że kiedyś znowu zniknie i nie będzie umiała do mnie wrócić.

– Nawiasem mówiąc, przeczytałam kawałek książki dla dzieci tego Szweda. – Jej głowa wychynęła zza karty potraw. – Magnusa Jakiegoś Tam. Bardzo mi się podobało.

Dawno już przyzwyczałem się do tego, że potajemnie czyta teksty, które redagowałem. Mimo to udałem oburzonego.

– Ale o co ci chodzi? – zdziwiła się. – Dopóki nie dostanę do czytania nic twojego, dopóty będę czytała właśnie to.

Pracę redaktora dostałem za pośrednictwem wydawcy Romanowa. Podobało im się, jak opracowałem jego teksty, a potem na moją prośbę polecili mnie jednej z monachijskich oficyn.

Nad własną powieścią pracowałem już tylko sporadycznie. Zapewne dawno bym ją zarzucił, gdyby Alva ciągle się o nią nie dopytywała.

Tego wieczoru wypiliśmy trochę za dużo i Alva zaczęła opowiadać o okresie, zanim się poznaliśmy, oraz o swoim dzieciństwie, o tym, jak bardzo lubiła chodzić z ojcem na łyżwy na zamrożonej sadzawce za domem. Miałem wrażenie, że wypełnia ją wewnętrzne światło.

Przechyliłem się przez stół i pocałowałem ją. Znowu nam nalałem, a ona zapytała, czy chcę ją upić, a ja powiedziałem, że taki był mój zamiar od samego początku.

W drodze do domu rzeczywiście szła trochę niepewnie. Chciałem ją podtrzymać, ale zorientowałem się, że sam niezbyt pewnie trzymam się na nogach. Rozchichotani, ciężkim krokiem, wspierając się wzajemnie, poszliśmy do stacji metra.

W nocy obudził mnie jakiś hałas. Śniło mi się coś i trochę trwało, zanim powróciłem na jawę. Alva płakała. Przestraszony zapaliłem światło.

– Dlaczego nie jestem szczęśliwa? – Mówiła niewyraźnie i zbyt szybko. – Kocham cię, kocham Vincenta i Luise. Kocham wszystko, co mamy. Ale czasami wydaje mi się, że to nie dosyć, że nigdy nie będzie dosyć. Wtedy chcę już tylko odejść i nigdy nie wrócić, i sama nie wiem dlaczego.

Jej słowa zapadały we mnie jak kamień wrzucony do jeziora.

Wziąłem ją w ramiona.

– Jest okay – powtarzałem. Pocałowałem ją delikatnie w głowę. – Kocham cię taką, jaka jesteś.

– Nigdy nie chciałam być taka – powiedziała cicho. – To nie moja wina.

– Wiem.

Przez kilka minut trzymałem ją mocno w objęciach i szeptałem słowa pociechy. Alva nie mogła już zasnąć. Oglądaliśmy filmy, aż pokój rozjaśniło niebieskawo pierwsze światło poranka.

No i oczywiście wszystko to nie miało nic wspólnego z późniejszymi wydarzeniami, jednakże od tej nocy nieco bardziej doceniałem radosne chwile.

*

Kilka godzin przed odlotem bawiłem się z dziećmi na podwórzu. Luise chciała koniecznie być Piotrusiem Panem, Vincent wziął na siebie kilka ról pobocznych. Zbudowany niedawno domek na drzewie był zatoką piratów, której broniłem ja, czyli podstępny kapitan Hak. Jako szabla służyła mi mahoniowa laska Romanowa, dzieci atakowały mnie gałęziami i oczywiście pokonały po twardej walce. Umarłem w mękach.

– Nie żyje, nie żyje. – Śmiejąc się, biegały wokół mnie i dźgały w brzuch swoimi kijkami.

Na podwórzu pojawił się Marty z torbą na ramieniu. Widział, jak tarzam się na ziemi, i wyszczerzył zęby.

– Musimy jechać.

Zaplanowaliśmy krótki wypad do Berlina, chcieliśmy zrobić niespodziankę Toniemu w jego urodziny. Obchodził je w knajpie i chyba bardzo ucieszył się z naszych odwiedzin, ale z przerażeniem stwierdziłem, w jak kiepskim jest stanie. Nic nie pozostało z jego niegdysiejszej charyzmy, robił wrażenie nieszczęśliwego i postarzałego. Także i tego wieczoru całą swoją uwagę skupił na Liz, która najpierw serdecznie z nim rozmawiała, a później siedziała przy barze z nieznanym mi mężczyzną. Widziałem, jak wzrok Toniego nieustannie wędruje w jej kierunku i jak jego udawana wesołość stopniowo gaśnie. Sterczał milczący gdzieś w rogu. Dołączyliśmy do niego z Martym, ale nie udało nam się go rozweselić. W końcu samotnie poszedł do domu.

Tej nocy siedzieliśmy długo w kuchni naszej siostry. Wydawało się, że wyczuwa, co myślimy.

– Już mam tego dosyć – powiedziała w końcu Liz. – Jakby cieszyło mnie, że on jest taki przybity.

– Nie o to chodzi – powiedział Marty. – Rzecz w tym, że od lat go torturujesz. Toni dawno już mógłby mieć własną rodzinę, mógłby być szczęśliwy, ale ty nie chcesz go wypuścić.

Nie zamykasz przed nim całkiem drzwi, zawsze zostawiasz odrobinę uchylone, aby grzecznie za tobą biegał. Bo nie zniosłabyś, gdyby nagle zniknął.

– No to co mam robić? Być z nim, tak po prostu, bo byłoby to właściwe?

– Dlaczego nie? Uważam, że to niezły pomysł.

– Oszalałeś. – Liz popatrzyła na niego z niedowierzaniem, potem spojrzała na mnie.

– A ty co powiesz? Myślisz tak samo?

– No, w zasadzie to przyczyniłaś się trochę do tego, że teraz nie jest w związku ani małżeństwie, tylko jest sam. – Liz chciała już coś odpowiedzieć, ale machnąłem na nią ręką.

– Ale i z tobą nie byłby szczęśliwy. On tak bardzo cię kocha, ty nic do niego nie czujesz – to jego decyzja, że wciąż przy tobie tkwi. Nie chce nic innego i nie ma co go żałować.

Liz obgryzała paznokcie.

– Uczuć się nie wybiera – szepnęła. – Nawet gdyby był tym właściwym, nie kocham go.

– Ale miłość to przecież tylko słowo – zauważył Marty. – Chodzi o to, żeby być zadowolonym.

Liz się roześmiała.

– To takie gadanie mięczaków. Ja mam w dupie zadowolenie, przykro mi. Chcę podniety, wyzwania, napięcia. Toni jest wspaniały i mówiąc szczerze, mogę sobie wyobrazić, że jest mężczyzną, z którym mogłabym się zestarzeć. Ale to tylko przyjaciel. Jego można lubić, ale nie sposób się w nim zakochać. Ja potrzebuję kogoś, kto potrafiłby mnie odepchnąć, kto by mnie źle traktował, o kogo musiałabym walczyć.

– Ale dlaczego? Jak można chcieć czegoś takiego?

Wzruszyła ramionami.

– Istnieją po prostu kobiety, którym nie wystarczą poczucie bezpieczeństwa i czyjaś troska.

Marty podszedł do niej.

– Ach, tak jak, powiedzmy, mojej żonie. Rozumiem, to jest, rzecz jasna, znakomity przykład. Zobaczyła mnie, pomyślała sobie, hm, on ma potencjał, i trzyma się mnie przez dwadzieścia lat. Bywam bowiem może nieco nudny i nikt nie uznałby mnie za wielką wygraną, ale jestem miły i zamożny. A nawet gdyby jako nastolatka marzyła o czymś innym, to do małżeństwa wystarczy. I jak to pięknie, że ja myślę dokładnie tak samo i że oboje odnaleźliśmy się w solidnym średniactwie. Tak mniej więcej?

Zapadła przykra cisza: rzeczywiście tak niekiedy myśleliśmy o jego małżeństwie.

Mój brat chyba się zorientował. Szybko spakował swoją torbę i podszedł do drzwi.

– Jeżeli tak myślisz o wszystkich, to czarno widzę twoją przyszłość – powiedział do naszej siostry. – W ten sposób będziesz nieszczęśliwa przez całe życie.

Zniknął na klatce schodowej.

– Ale przynajmniej jest to moje własne życie – powiedziała Liz, ale on już jej nie usłyszał.

*

Alva pracowała zazwyczaj nad swoim doktoratem w bibliotece państwowej, jednak tego późnojesiennego wieczoru pisała w domu. W jej gabinecie paliło się przytłumione światło.

Stałem na progu pokoju i obserwowałem ją. Nagle między jej brwiami pojawiła się bruzda, patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem i zatopiona w myślach gryzła paznokcie.

Uwielbiałem, kiedy była skoncentrowana i uważna. Po sposobie ułożenia ramion już dawno potrafiłem rozpoznać, czy jest spięta. Niedomknięte drzwi zdradzały, że pragnie towarzystwa.

Nasza zażyłość wydawała się nieskończona; byliśmy jak dwa zwierciadła, które wzajemnie się odbijają.

Przeciąłem banana na dwie części, wziąłem laptop i usiadłem przy stole naprzeciwko niej.

Jedliśmy i w milczeniu uderzaliśmy każde w swoją klawiaturę, od czasu do czasu rzucając sobie krótkie spojrzenia. W takich chwilach, kiedy dzieci spały w pokoju obok, czułem się bezpieczny – tak było dotąd tylko w czasach dzieciństwa.

Przypomniałem sobie owego odważnego, pewnego siebie chłopca, jakim byłem wtedy.

Po śmierci rodziców okazał się nie dość silny i ustąpił miejsca innej części mojej osobowości.

Nie tęskniłem za nim. Tylko niekiedy brakowało mi niesforności, która towarzyszyła mi w tamtych czasach. Czy kiedyś w moim życiu wydarzy się coś, co raz jeszcze, choćby przez krótką chwilę pozwoli mi doświadczyć owej ekstatycznej dziecinnej beztroski?

– Coś nie daje mi spokoju.

– No to wal.

Zamknąłem laptop.

– Zastanawiałem się, co by się stało, gdybym wyjechał do Francji i tam żył. Gdybym miał wypadek. Gdybyśmy nigdy się nie poznali. W moim życiu tyle razy stałem na rozdrożu, miałem tyle możliwości, by stać się kimś innym. – Spojrzałem na Alvę. – A ty nigdy nie zadawałaś sobie pytania, jakim byłabyś człowiekiem, gdyby twoja siostra nie zniknęła? Z pewnością byłabyś teraz inna.

Zamyśliła się.

– Tak, z całą pewnością.

– Pytanie brzmi, co by się jednak nie zmieniło? Co byłoby w tobie niezmiennie? Co pozostałoby takie samo bez względu na to, jaki kierunek obrałoby życie? Czy istnieją w człowieku cechy, które zawsze pozostają takie same?

– I?

Pomyślałem o Liz, która była spontaniczna i chodziła własnymi drogami, nawet kiedy nasi rodzice jeszcze żyli. Także jej fascynacja chłopcami wydawała się częścią jej samej, podobnie jak skłonność do nałogów oraz to, że chętnie śpiewała i rysowała krótkie historie.

I nieważne, że zaprzestała tego przed wielu laty i pogubiła się. Czy znalazła gdzieś inspirującą książeczkę dla dzieci, czy brała z rodzeństwem LSD – rodzaj impulsu był kwestią

obojętną, w jej życiu zawsze zdarzały się chwile, które budziły w niej pragnienie rysowania czy muzykowania.

A Marty nie został wprawdzie lekarzem ani naukowcem, ale niezmiennie było w nim to, że nosił

w sobie ową rzadką moc, która pozwalała mu osiągnąć każdy cel. Prawdopodobnie gdyby tylko chciał, mógłby zostać profesorem biologii czy fizyki.

– Sam nie wiem... – Spojrzałem na Alwę. – A jak jest z tobą? Co ty o tym myślisz?

– Hm... Kierkegaard mówi w tym kontekście, że „osobowość musi zostać złamana, aby zostać osobowością”[7].

– To znaczy?

Zmarszczyła czoło.

– No, że człowiek przychodzi na świat i jest kształtowany przez swoje środowisko, rodziców, przeżywane nieszczęścia, wykształcenie i przypadkowe doświadczenia. W pewnym momencie mówi sobie: „Jestem taki i taki”, ale ma na myśli jedynie to, co na powierzchni, swoje pierwsze „ja”. – Usiadła na moim stoliku. – Aby odnaleźć swoje prawdziwe „ja”, konieczne jest podawanie w wątpliwość wszystkiego, co zastało się po narodzeniu. Wiele trzeba także odrzucić, jako że tylko poprzez ból uczymy się, co tak naprawdę do nas przynależy... Człowiek poznaje siebie w takich właśnie chwilach załamania.

Jej stopy kołysały się w powietrzu.

– Z drugiej strony nie mam pojęcia, co by było, gdyby moje życie przebiegło inaczej lub bardziej prosto. Nie jestem na przykład pewna, czy w takiej sytuacji w ogóle bylibyśmy razem.

Szukałabym wtedy raczej mężczyzny beztroskiego, niepokornego, mniej zastanawiającego się nad życiem. Ale ponieważ wszystko wydarzyło się tak, jak się wydarzyło, to ty byłeś tym właściwym. Ty i tylko ty.

– Szczerze powiedziane, ale trochę boli.

Pocałowała mnie w skroń.

– A dlaczego byłem tym właściwym? – zapytałem.

– Bo ty wszystko rozumiesz.

Zastanowiłem się przez moment.

– A poza tym? Moja nieprzeciętna uroda, moja spora inteligencja... Moja skromność?

– Prawdopodobnie jeszcze ta twoja skromność. – Przyjrzała się mojej czuprynie. – Nadal ani jednego siwego włosa. Jak ty to robisz?

Zamiast odpowiedzi wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej policzka. Zamknęła oczy.

Pomyślałem o naszym weselu przed kilku laty. O małej uroczystości w ozdobionym lampionami ogrodzie mojego brata i o przemowie, którą wygłosił ojciec Alvy. Jej stosunki z ojcem były dość specyficzne. Mimo że odnosili się do siebie z czułością i zaufaniem, rzadko się widywali. Często za to pisali do siebie, i to jej ojciec wziął wówczas na siebie organizację całego wesela.

– Często myślisz jeszcze o Phine?

Kiwnęła głową.

– Chyba nigdy nie przestanę.

Alva z westchnieniem zdjęła okulary i zaczęła je czyścić. Była blada. Od kilku tygodni wyglądała na zmęczoną i gorączkowała parę razy.

Kazałem jej zrobić sobie przerwę i przyniosłem z kuchni butelkę wina, ona nastawiła płytę Gershwina. Nie mogłem się jakoś przekonać do jego muzyki, a Alva kochała swojego

Gershwina – nazywała go zawsze „moim George’em”. Dawniej bałem się starości, ale teraz wizja bycia razem z nią także za czterdzieści lat miała w sobie coś uspokajającego. Będziemy wtedy siedzieli obok siebie, czytali, rozmawiali albo grali w szachy, niekiedy poprzekomarzamy się, aby potem znowu spoglądać na skarb wspomnień, jaki razem zgromadziliśmy.

Zastanawiałem się, jak będzie wyglądała jej twarz pokryta zmarszczkami i jak będzie się ubierała, kiedy skończy siedemdziesiąt lat. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że będzie mi to obojętne, a wizja zesterzenia się razem nie miała w sobie niczego, czego należałoby się obawiać.

Później poszedłem do pokoju dzieci. Oboje już spali, słuchałem ich cichych oddechów.

Najpierw przysiadłem na łóżku Luise. Była pełną temperamentu, wesołą dziewczynką, już teraz nieco zbyt pewną siebie. Znała swoją wartość, wiedziała, że wszyscy uważamy ją za słodką i dlatego wiele jej wybaczymy. Nadal lubiła się do mnie przytulać, jednak już mnie rozgryzła.

Wiedziona instynktem buntowała się tylko w mojej obecności, matki słuchała zawsze.

Pocałowałem ją w czoło i poszedłem do łóżka Vincenta. Przez sen znowu skopał kołdrę. Był większym marzycielem niż Luise i bał się wszystkiego, co nieznanego. Często towarzyszył mi w gabinecie podczas pracy, lubił tę spokojną ciszę, bawił się na podłodze ciężarówką albo opowiadał mi historie, które przeczytała mu Alva. Taki spokojny był już jako niemowlak, ale właściwie dlaczego? Co o tym zdecydowało?

Przykryłem go, potem wziąłem z kuchni piwo i poszedłem na balkon. Owiął mnie zimny podmuch powietrza, od podwórza nadleciał wilgotny zapach liści. Wypiłem kilka łyków

i poczułem, jak wypełnia mnie spokój nocy, i nagle owładnęło mną uczucie prawie absolutnego smutku.

*

W styczniu 2013 roku poleciałem na kilka dni do Berlina, aby z jednym z naszych autorów popracować nad jego rękopisem. Spotkałem się także z Liz na kolacji. Ku mojemu zdumieniu przyprowadziła ze sobą Toniego. W dobrym nastroju opowiadał o magicznym show w Edynburgu, podczas którego gościnnie występował. Wyglądał znacznie lepiej niż ostatnim razem. Nadal nie byli z Liz parą, ale wydawało się, że ona traktuje go poważniej i nie torturuje już swoimi podbojami.

Nad Monachium zapadł właśnie wieczór i miasto widziane z okna samolotu utonęło w mroku pokrytym cieniem chmur. Na ten widok poczułem podskórny niepokój, który zniknął

natychmiast po wylądowaniu. W kolejce podmiejskiej sprawdziłem komórkę. Alva dzwoniła kilkakrotnie, nie pozostawiając wiadomości w poczcie głosowej. Oddzwoniłem, ale nie odebrała. „Zaraz będę w domu – napisałem do niej. – Co się dzieje?”

Po wejściu do mieszkania zobaczyłem, że dzieci kłóciły się zawzięcie. Luise zabrała Vincentowi jego pluszową żyrafę i chciała ją wydać za męża za jedno ze swoich zwierzątek, czego on z kolei nie chciał zaakceptować. Sprzeczali się o tę żyrafę, a ja musiałem interweniować.

– Oddaj mu ją! – powiedziałem w moim przebraniu surowego ojca, ale Luise po prostu uciekła, a kiedy zawołałem, żeby natychmiast wróciła, roześmiała się tak bezczelnie, że sam o mało się nie uśmiechnąłem.

W końcu Vincent odzyskał swoją pluszową żyrafę, bo mojej córce przestało na niej zależeć. Wzięła z łazienki szczotkę do włosów i głośno śpiewała.

Vincent popukał się w czoło.

– Ona jest taka głupia.

Kazałem obojgu szykować się do wyjścia, dawno już zostaliśmy zaproszeni na kolację do Eleny i Marty’ego.

– Ale kolację mama odwołała – powiedział Vincent.

– Dlaczego?

Wzruszył tylko ramionami. Teraz dopiero zauważyłem, że Alvy nie ma w domu.

Szukałem w sypialni jakiejś wiadomości, ale nic nie znalazłem. Zadzwoiłem do niej ponownie i okazało się, że komórkę zostawiła na nocnym stoliku.

– Mama wyszła tylko na chwilę – odezwała się Luise za moimi plecami.

Odwrociłem się gwałtownie.

– Kiedy?

– Niedługo przedtem, zanim przyszedłeś.

– Powiedziała, dokąd idzie albo kiedy wróci?

Luise potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, mówiła tylko, że ty zaraz będziesz i że masz zrobić kolację.

Zdenerwowałem się. Zostawienie dzieci samych, nawet na kilka minut, nie pasowało do Alvy. Potem zacząłem sobie wmawiać, że niepotrzebnie się martwię; zapewne poszła na chwilę do biblioteki albo kseruje coś do pracy doktorskiej. Przygotowałem jedzenie dla dzieci, pograłem z nimi w „Węże i drabiny” i położyłem je do łóżka. Dopiero kiedy usiadłem sam w dużym pokoju i w mieszkaniu zapadła przygnębiająca cisza, znów pojawił się niepokój. Biblioteka była już zamknięta. Zadzwoiłem do Marty’ego i Eleny, ale oni nic nie wiedzieli. Przez moment zastanawiałem się, czy nie zadzwonić na policję, ale postanowiłem jeszcze poczekać.

Gapiałem się na komórkę, wypiałem dwa piwa, gapiałem się na komórkę, obszedłem wokoło

blok, gapiałem się na komórkę, przez długi czas siedziałem na zimnych schodkach przed wejściem do domu i wypatrywałem Alvy. Zrobiła się godzina druga, trzecia, czwarta.

Przygotowałem mocną kawę i usiłowałem myśleć o czymś innym, przerzucałem bezmyślnie kanały telewizyjne i zacząłem czytać *Un amour de Swann*, ulubioną książkę matki. Oczy zamykały mi się ze zmęczenia.

Już miałem położyć się na chwilę, kiedy usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Co za ulga!

Pobiegłem do drzwi. To była Alva, zapłakana i przestraszona. Wydała mi się odmieniona, jak nocna istota, która właśnie przybrała ludzką postać.

– Gdzie byłaś?

W milczeniu powiesiła kurtkę na krześle.

– Powiedz, do cholery, gdzie byłaś?

– Musiałam pobyć trochę sama.

Ja jednak potrzebowałem lepszego usprawiedliwienia. Albo logicznego uzasadnienia jej zniknięcia. Czegoś, co mnie uspokoi, ale nie tego.

– Znowu spacerowałaś? Znowu z tym zaczynasz? – Stałem blisko niej i poczułem, że nie panuję nad sobą. – Masz dzieci, do jasnej cholery. Jak mogłaś tak po prostu zniknąć i napędzić mi takiego strachu?

Wpatrywała się we mnie, jej oczy nadal połyskiwały mrocznie. Wyraźnie wystraszył ją mój wściekły ton.

– Przeraziłem się, że już nie wrócisz. – Cały trząsałem się z nerwów. – Przecież możesz ze mną porozmawiać o wszystkim. To znaczy, czy ty wyobrażasz sobie, co myślę...

– Mam raka.

Minęła sekunda, zatoczyłem się do tyłu, jak trafiony ciosem niewidzialnej ręki. Te dwa proste słowa miały tak pierwotną siłę, że natychmiast zamilkłem, pozbawiły mnie wszelkich uczuć. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć lub zrobić.

– Próbowałam do ciebie zadzwonić – Alva przerwała ciszę. – Kilka razy. W pewnym momencie musiałam wyjść. Przepraszam, nie powinnam tego robić.

Poczułem mrowienie, rozprzestrzeniało się od klatki piersiowej do ramion i nóg, przez chwilę jakbym się unosił.

– Jaki to rak? – wykrztusiłem w końcu. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś ustawił siłę mojego głosu na minimum.

– Białaczka.

– To pewne? Skąd wiesz?

– Poszłam do lekarza już w zeszłym tygodniu, kiedy byłeś w Berlinie. Znowu miałam gorączkę, ale już wcześniej czułam się nie najlepiej. Zrobiłam badania, nic nie mówiłam, żeby cię nie niepokoić. Dzisiaj przyszły ostateczne wyniki.

Usiadłem. Poczułem dłoń Alvy na karku i wzdrygnąłem się mimowolnie. Zabrała rękę.

– Spójrz na mnie – powiedziała.

W milczeniu podniosłem na nią wzrok.

– Ja będę żyć, Jules. Wiem to. – Robiła wrażenie zaskakująco spokojnej. – Będę żyć.

Spojrzałem jej w oczy i uwierzyłem w każde słowo.

*

Rokowania nie były zbyt dobre, ale Alvie dawano jednak realne szanse na pokonanie raka krwi. Otrzymała natychmiast chemioterapię i musiała na pierwsze zabiegi zostać przez kilka tygodni w szpitalu. Lekarstwa dostawała dożylnie. Cytostatyki, inne słowo na nadzieję. Inne słowo na truciznę.

Nowa, hiperrealna rzeczywistość, wręcz nie do zniesienia z jasnym umysłem. Czułem się jak we mgłę, oniemiały duch, który siedział przy niej, przy szpitalnym łóżku, i jej strzegł. Alva nie załamała się nawet wtedy, gdy wypadły jej włosy. Znosiła bolesne zastrzyki i niekończące się mdłości, niekiedy nawet z tego żartowała. Dzieciom mówiła, że to wcale nie takie straszne i że niedługo wyzdrowieje. Usiłowałem ją naśladować. Ufać i wierzyć. Tylko jeden jedyny raz wyrwało mi się, że los znowu jest przeciwko nam, ale Alva natychmiast mi przerwała.

– Nie chcę słuchać czegoś takiego – powiedziała z naciskiem. Potem dodała łagodniej:

– Będziesz mógł biadolić, kiedy poczuje się lepiej.

Przytaknąłem. Staliśmy w naszej sypialni, wtedy po raz pierwszy mogła opuścić klinikę na kilka dni. W radiu leciała francuska piosenka. Wyglądałem chyba na przybitego, bo ujęła moją dłoń i zrobiła kilka tanecznych kroków. Zaskoczyła mnie, od kiedy ją znałem, nigdy nie widziałem, żeby tańczyła, z wyjątkiem kilku niepewnych prób na naszym weselu.

Poruszaliśmy się w takt muzyki, mocno objęci i powoli, bo Alva była bardzo osłabiona.

Zamknęła oczy. Fakt, że jej życie było zagrożone – życie człowieka tak mi bliskiego i znanego, którego oddech, ciepło, ale również wzruszenie czułem całym sobą – wydawał mi się w tamtej chwili czymś niepojętym.

– Gdzie teraz jesteś? – spytałem.

– Jestem tutaj – oczy miała wciąż zamknięte – tańczę z tobą i próbuję nie myśleć o niczym innym.

– Czy to nie dziwne, że nigdy ze sobą nie tańczyliśmy?

– Nie lubię tańczyć, jak pewnie zauważyłeś.

Ściany sypialni rozsunęły się i zniknęły, nasza skóra wygładziła się, byliśmy znowu w internacie, mieliśmy po dziewiętnaście lat i uciekliśmy przed deszczem do mojego pokoju, gdzie upiliśmy się dżinem i gdzie ją...

– Pamiętasz jeszcze, jak pewnego razu zaprosiłem cię do tańca?

– Nigdy tego nie zrobiłeś.

– A jednak, nawet nastawiłem piosenkę, przy której – przynajmniej tak twierdziła moja matka – łatwo poderwać każdą kobietę, ale ty nie chciałaś ze mną zatańczyć. A ja pomyślałem sobie, rzecz jasna, że mnie po prostu nie chcesz.

Twarz Alvy wykrzywił grymas.

– To była jej namiętność, nie moja, rozumiesz? Nie moja. Ona była tą bardziej utalentowaną, od dzieciństwa chodziła na lekcje baletu, a kiedy zniknęła, chciałam zapomnieć, że jest coś takiego jak taniec. Za bardzo mi o niej przypominał.

Miałem wrażenie, jakby przeniknął mnie lodowaty wiatr.

– Gdybym to wiedział... – powiedziałem bardziej do siebie niż do Alvy.

Przez chwilę poruszaliśmy się w milczeniu w takt muzyki. Wciągałem znany mi zapach jej perfum, drewno sandałowe i gardenie.

– Opowiedz mi coś ładnego o swojej siostrze – poprosiłem. – Kiedy o niej myślę, przychodzi mi do głowy jedno: że znaleziono tylko jej kurtkę. Opowiedz, żebym stworzył sobie inny obraz.

Alva zastanowiła się.

– Phine była bardzo żywa, wręcz nadpobudliwa – zaczęła. – Kochała operę. Już jako dziecko często słuchała Mozarta. Kiedyś poszliśmy na *Czarodziejski flet*, a ona była tak podekscytowana, że w trakcie przedstawienia dostała ataku hiperwentylacji i lekarz musiał ją wyprowadzić. – Roześmiała się. – Często razem rozrabiałyśmy. Przed zaśnięciem miałyśmy stały rytuał. Kiedy matka mówiła nam dobranoc, ja i Phine robiłyśmy na łózkach po dwa fikołki. Raz do przodu, raz do tyłu, i dopiero wtedy matka gasiła światło. – Potrząsnęła głową, ale ja widziałem, że ten obraz ocalony z gruzów wspomnień jej się podoba.

Robiłem dla Alvy, co mogłem, pielęgnowałem ją, usiłowałem spełniać każde jej życzenie, nie odstępowałem prawie na krok, mimo to czułem się beużyteczny. Pomagało mi nieco to, że Marty przychodził do nas prawie codziennie, a Elena wpadała wieczorem, wracając z pracy.

Swoim łagodnym usposobieniem sprawiała, że wszyscy zachowywaliśmy spokój.

Tymczasem zakończyła się pierwsza agresywna faza leczenia i rozpoczęła trwająca kilka miesięcy terapia konsolidacyjna. Między kolejnymi cyklami chemioterapii Alva wracała na kilka tygodni do domu, aby się zregenerować. Niekiedy spała ze zmęczenia aż do wieczora, w dobre dni wychodziła na podwórze, które zmieniło się w ogród. Lubiłem patrzeć na nią z balkonu, jak klęczy tam na dole i przekopuje ziemię albo coś sadi. Najbardziej jednak lubiłem obserwować, kiedy po skończonej pracy przyglądała się swojemu dziełu. Ocierała pot z czoła i otrzepywała ręce, i wydawała się zadowolona.

Latem nadal nie powiedziano nam, jakie są rokowania. W owym czasie myśleliśmy już tylko o blastach i leukocytach. Aby wyrwać się nieco z codzienności, pojechaliśmy do Berdillac.

Alva bardzo cieszyła się na tę wycieczkę, chciała zaraz po przyjeździe biec nad morze.

– Szykujcie się – zawołała rozbawiona do dzieci, zanim poszła na górę po swoje rzeczy.

Przypiąłem pasami Vincenta i Luise w samochodzie i wróciłem jeszcze do domu.

Przechodząc obok łazienki, zobaczyłem w lustrze twarz Alvy. Nigdy jeszcze nie widziałem u niej takiego wyrazu. Nawet wtedy, gdy po raz pierwszy opowiedziała mi o swojej siostrze. Usta

miała wykrzywione, po policzkach płynęły łzy. Z jej twarzy biło czyste przerażenie.

Kiedy mnie zauważyła, wytarła oczy.

– Właśnie poczułam, że nie dam rady. – Alva zdjęła perukę. – A jeżeli już niedługo mnie nie będzie? Nie mogę sobie tego wyobrazić.

Popatrzyła na swoją łysą głowę w lustrze.

– To nie jestem ja, Jules. TA TUTAJ TO PO PROSTU NIE JA! – wykrzyknęła nagle, a mnie przeszedł dreszcz.

Alva osunęła się na wykafelkowaną podłogę.

– One mają dopiero sześć lat – powiedziała cicho. – Są o wiele za małe.

*

We wrześniu dzieci poszły do szkoły. Czułem się jak wtedy, gdy Alva weszła w okres dojrzewania, a ja zrozumiałem, że od teraz będę musiał dzielić się nią ze światem. Dla niej odprowadzenie dzieci nie było miłą perspektywą.

– Strasznie wyglądam w tej peruce – powiedziała. – Wszyscy będą się na mnie gapić.

– Bzdura, świetnie wyglądasz.

Westchnęła.

– Jules, nigdy nie umiałeś kłamać, ale teraz to już przeszedłeś sam siebie.

Mimo to poszła z nami tego pierwszego dnia do szkoły.

Luise szalenie się na wszystko cieszyła, Vincent był sceptyczny.

– Czy nie mógłbym jeszcze przez rok pochodzić do przedszkola? – zapytał mnie.

– Nie chcesz się niczego nauczyć?

– Chcę. Ale w przedszkolu byłoby milej.

– Szkoła też będzie przyjemna.

Znowu te wielkie, pełne niedowierzania oczy.

– No więc ja uważam, że jest super – oświadczyła Luise.

– No więc ja uważam, że jest super – przedrzeźniał ją Vincent.

Mimo że byli bliźniakami, niewiele mieli wspólnych cech. Luise była bardziej żywa, dzika, wręcz krnąbrna. Swoim zapałem przypominała mi małą Liz. Nie mogła się już doczekać, kiedy pokaże dzieciom w klasie, że potrafi już czytać i pisać. Vincent także umiał przeczytać kilka słów, ale jego poczucie własnej wartości było bardzo chwiejne. Choroba matki sprawiła, że stał się jeszcze bardziej nieufny i wyobcowany. Rzadko już teraz mówił mi o tym, co go zajmuje.

Tylko podczas meczów piłki nożnej otwierał się całkowicie. Niekiedy grałem z nim i Luise na podwórzu i wtedy przypominałem sobie ojca, jak grał w nogę w Englischer Garten i jako libero płynnie dryblował do przodu. Wyobraziłem go sobie, teraz już pana po siedemdziesiątce z twarzą pokrytą zmarszczkami, jak gra z moimi dziećmi, i to była jedna z tych chwil, kiedy bardzo mi go brakowało.

Przedpołudniami, po raz pierwszy od lat, byliśmy z Alwą tylko we dwoje. Początkowo nie wiedzieliśmy wręcz, co począć z wolnym czasem, ale szybko przywykliśmy do rozkoszowania się długimi śniadaniem na balkonie, dyskusjami o artykułach w gazecie oraz słuchaniem muzyki. Potem brałem kilka rękopisów i redagowałem je w sypialni, aby towarzyszyć Alwie.

Kiedy nie czuła się dobrze, leżała w łóżku, czasem siadała z książką na komodzie, plecami oparta o ścianę. Jej ulubione miejsce. Nadal bowiem była ową zagadkową kocią istotą unikającą krzesel

i foteli i preferującą nisze albo blaty i stoliki.

Gdy czuła się lepiej, chodziliśmy na długie spacery.

– Brakuje mi uniwersytetu – powiedziała kiedyś cichym głosem podczas jednego z takich spacerów i dotknęła mojego ramienia. – Bardzo żałuję, że nigdy nie mogłam tego z tobą dzielić: tego uczucia, że traktuje się własny umysł poważnie, uczenia się czegoś, to jest tak...

Zrobiła zamaszysty gest, nie znalazłszy odpowiedniego słowa.

– Jules, chciałabym, żebyś w przyszłym roku, kiedy poczuje się lepiej, poszedł razem ze mną na jakiś kurs. Wiem, że trochę cię szantażuję, ale ta choroba musi się przecież do czegoś przydać.

Jesień rozścieliła w Englischer Garten liściasty dywan. Z jeziora wyszedł łabędź i zbliżył się do nas niezgrabnie. Alva szturchnęła mnie w bok.

– Co byś chciał robić w przyszłym roku, gdybyś miał wolny wybór?

– Jeździć na motocyklu – odpowiedziałem bez namysłu.

– Naprawdę?

– Marzyłem o tym już jako dziecko. Zawsze zazdrościłem Toniemu, kiedy jeździł na motocyklu i opowiadał, że to jest trochę jak latanie. Jestem pewny, że przesadzał niemiłosiernie, ale chciałbym to sam sprawdzić.

– To dlaczego tego nie zrobisz?

– No... Mogłoby się coś stać.

– Miliony ludzi jeżdżą na motocyklach i nic się nie dzieje.

– Mają szczęście.

– Być może – powiedziała tylko. – Ale dlaczego tobie miałyby go zabraknąć?

Przygotowywaliśmy w kuchni obiad, kiedy komórka Alvy zawibrowała. Po krótkim wahaniu odebrała połączenie. Wymieniliśmy spojrzenia.

– Klinika – wyszeptała.

Mój puls natychmiast przyspieszył. Odłożyłem łyżkę i zacząłem nerwowo krążyć po pokoju, spoglądając nieustannie na twarz Alvy i szukając w niej oznak złej lub dobrej wiadomości. Dlaczego to trwa tak długo? Na moment zacisnęła powieki, co natychmiast wtrąciło mnie w najczarniejszą rozpacz, jednak zaraz potem znowu słuchała w skupieniu.

Nagle przeniknęło mnie gorące, prawie elektryzujące uczucie. Początkowo nie rozumiałem dlaczego. Wreszcie pojąłem: Alva się uśmiechała. Potakiwała raz za razem, twarz jej promieniała.

– Tak. Naturalnie – powiedziała właśnie i gwałtownie złapała mnie za koszulę.

Przyciągnęła mnie do siebie, chciała, abym też to usłyszał, ale rozmowa dobiegła już końca. A potem wszystko działo się bardzo szybko. Odłożyła komórkę, rzuciliśmy się sobie w ramiona, usłyszałem siebie wykrzykującego głośno coś, czego sam prawie nie rozumiałem, i znowu przytuliłem ją mocno do siebie. Czułem, jak drży na całym ciele.

Lekarz prowadzący powiedział jej, że rak zniknął całkowicie. Radził unikać wysiłku i zrezygnować z ryzyka transplantacji szpiku kostnego, a zamiast tego rozpocząć od razu terapię podtrzymującą.

Chciałem ciągle wysłuchiwać tej wiadomości, w innych słowach, a potem jeszcze raz, i jeszcze. Zadzwoniłem do Marty'ego i Eleny, następnie do Liz i Toniego, który siedział w metrze i niewiele zrozumiał, ale to było najlepsze, jako że mogłem krzyczeć:

– Powiedziałem, że Alva pokonała raka!

Jednak prawdziwą rozkoszą była nie ta pierwsza, oszałamiająca radość, lecz

przytłumiona, głęboka ulga, jaka nastąpiła po niej. Po południu poszliśmy z dziećmi do parku

i graliśmy w piłkę nożną. Bawiliśmy się tak aż do wieczora, siedzieliśmy na huśtawce na placu zabaw, mając nogami w powietrzu, jedliśmy frytki kupione w budce i rozmawialiśmy, wszyscy z błyskiem w oczach. Nikt z nas nie chciał wracać do domu, aby nie kończyć zbyt wcześnie tego magicznego dnia.

W nocy ani ja, ani Alva nie mogliśmy zasnąć. Nadal byliśmy w stanie euforii. Na jej życzenie przyniosłem z pobliskiej stacji benzynowej jej ulubione lody: waniliowe z kawałkami keksu. Wracając, szedłem najpierw normalnie, potem coraz szybciej, a ostatnie metry przebiegłem i musiałem się przy tym roześmiać.

Jedliśmy lody i snuliśmy plany. Przez ostatnie miesiące nie myśleliśmy dalej niż do kolejnego telefonu ze szpitala, teraz horyzont przed nami poszerzył się, a my rozmawialiśmy o najskrytszych marzeniach, podróżach i planach wobec Vincenta i Luise, kiedy podrosną.

– Przyznaj się – pogłaskałem jej małe blizny na szyi – od samego początku wiedziałś, że to się dobrze skończy.

– Oczywiście. W końcu to jest przecież...

– ...gra o sumie zerowej, wiem.

– Poza tym nie mogłabym zostawić cię samego z dziećmi. Mnie nie byłoby tak bardzo szkoda, ale nasze biedne dzieci...

Rozmawialiśmy o tym, co by się stało, gdybym musiał sam wychowywać bliźniaki, i wymyślaliśmy najgorsze scenariusze. Luise jako naćpana punkowa z irokezem na głowie, która gra w bardzo złej kapeli na basie i wylatuje ze szkoły. I Vincent, samotny ezoteryk, który przyłącza się do podejrzanej sekty i z nowo poznanymi przyjaciółmi znika na zawsze w puszczy kanadyjskiej.

– Sekta? Byłbym aż tak złym ojcem?

– No, może nie tak bardzo złym.

– One po prostu mnie nie słuchają, zawsze słuchają tylko ciebie. Jak ty to robisz?

Wzruszyła ramionami.

– Silna w jaję – powiedziałem cicho.

Alva zasnęła, a ja patrzyłem na nią. Za oknem padał deszcz, krople bębniły o szyby. Alva robiła wrażenie spokojnej, wydawało się, że sen rozproszył jej wszystkie mroczne myśli.

Obróciła się do mnie, jej ramię leżało na mojej piersi. Trzymałem je mocno. Zalewały mnie fale zmęczenia, mimo to nadal ją obserwowałem, aż odnalazłem się we śnie, w którym szedłem z psem mojego brata przez niekończący się las.

*

Do zimy włosy Alvy znacznie odrosły. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w domu Marty'ego, było tam dość miejsca na rodzinne okazje. Nowoczesny, otoczony gęstym żywopłotem budynek stał samotnie na wielkiej działce. Idealny dom dla filmowego czarnego charakteru, z niezliczonymi zbędnymi pokojami, ogromnym ogrodem i technicznymi gadżetami, takimi jak na przykład lodówka kontaktująca się z internetem czy wysuwany ekran do wideo.

– Marty jest mistrzem bezużyteczności – powiedziała raz moja siostra.

Przyjechali wszyscy, także ojciec Alvy, niski, żyłasty, nieco ekscentryczny mężczyzna z rzymskim nosem i melancholijną bruzdą wokół ust, która niezbyt pasowała do jego wesołego zazwyczaj usposobienia. Spojrzenie miał twarde, na skórze blizny – pamiątkę po licznych wspinaczkach w Alpach. Najpierw długo ścisnął Alwę, potem podniósł do góry nasze dzieci.

Zadawał im dużo pytań, a one nie odstępowały go przez cały wieczór.

Śpiewaliśmy razem piosenki. Liz grała na gitarze, ale jak zawsze odmówiła zaśpiewania

Moon River.

– Tę durną piosenkę zaśpiewam dopiero wtedy, kiedy sama będę miała dzieci.

– To znaczy nigdy – powiedział Marty.

Rzuciła mu karcące spojrzenie.

W końcu dzieci mogły rozpakować swoje prezenty – książki i klocki Lego od nas, ubrania od Eleny, gry wideo od Toniego i Marty’ego oraz akwarele od Liz. Siedzieliśmy przy wielkim stole w salonie i przyglądaliśmy się dzieciakom. Mieliśmy za sobą ciężki rok, ale tym pięknie było teraz siedzieć razem i uznać tamto wszystko za koszmarny sen.

Mój brat i Toni stali przed zestawem stereo i dyskutowali, kto ma wybrać muzykę.

W pewnej chwili Marty wrócił do stołu, kręcąc głową.

– Od dzisiaj jest już ostatecznie jasne, że Toni nie ma zielonego pojęcia o muzyce.

– Nie wiercie w ani jedno jego słowo – zawołał Toni. – W internacie przez lata słuchał black metalu, zostałem zaburzony na całe życie.

Kiedy tych dwóch się spotykało, zawsze najpierw się kłócili, a później siedzieli razem w braterskiej komitywie i rozmawiali całymi godzinami.

Liz przez cały wieczór była bardzo zdystansowana. Na jej dawniej idealnej wręcz twarzy pojawiły się pierwsze zmarszczki. Nie było ich widać, kiedy się śmiała, jednak robiła wrażenie zgorzkniałej. Nie brała już wprawdzie żadnych twardych narkotyków, ale wiedziałem, że nadal zbyt dużo pije, kieliszek czerwonego wina był jej nieodłącznym atrybutem, tak jak blond włosy.

Miała już czterdzieści cztery lata i wyglądało na to, że już nie ma siły przeciwstawiać się upływowi czasu. Zawsze uwielbiała ten moment w swoim życiu, kiedy pozbywała się wszystkiego, aby być wolna, a teraz nie zostało jej już prawie nic, czego mogłaby się pozbyć. Zagadnąłem ją o pracę. Skrzywiła się.

– Jestem coraz starsza, a oni mają ciągle po siedemnaście lat. Będą zawsze mieli przed sobą całe życie, podczas gdy większa część mojego już minęła.

Siedzieliśmy sami w kuchni, zrobiło się już bardzo późno. Liz powiedziała mi, że właśnie rozstała się ze swoim chłopakiem, dziennikarzem. Znowu nic. Przesunęła palcami po wyszczerbionym kancie stołu i nagle z jej twarzy zniknęła cała pewność siebie. Usta jej drżały, usiłowała to ukryć, ale drżenie nie ustępowało. W końcu stanęła za mną i objęła mnie od tyłu ramionami, tak jak robiła to w dzieciństwie. Przytrzymałem ją mocno i pomyślałem o łódce, którą dawno temu ktoś lekko odepchnął od brzegu. Przez te wszystkie lata nie wydarzyło się nic, co powstrzymałoby ten pierwszy niewielki impuls, i łódka dryfowała samotnie w stronę pełnego morza...

– Sam nie wiem – odezwałem się. – A może powinnaś raz w życiu przytrzymać coś do samego końca, zamiast od razu iść dalej?

– Wiedziałaś, że to powiesz. – Odsunęła się ode mnie. – Ale to nic nie da. Wszystko tak szybko przemija i niczego nie można przytrzymać. Można tylko być.

Znowu spojrzała na mnie tym wzrokiem, swoim wzrokiem, ale tym razem nie odwróciłem oczu, wiedziałem już, o czym mówi.

*

Po Nowym Roku zapisałem Vincenta do drużyny piłki nożnej. Zareagował paniką, Luise natomiast uznała to za niesprawiedliwe, bo także chciała dostać się do tej drużyny. Dla mnie jednak było ważne, aby Vincent miał coś, co od samego początku należy tylko do niego i w czym jego wszechstronnie uzdolniona siostra nigdy go nie przebije. Poza tym chciałem, aby mój syn nauczył się grać w zespole i nie musiał później samotnie biegać po stumetrowej bieżni w

walce z samym sobą i z czasem.

Stopniowo wyciekały z nas mroczne chwile minionego roku. Alva siedziała już codziennie w gabinecie przed laptopem i pisała swoją pracę doktorską. Nadal groziła, że zacznie szukać kursów, na które będziemy chodzili razem w przyszłym semestrze.

– Chyba że dasz mi wreszcie do przeczytania kawałek swojej nowej powieści.

– To jeszcze zbyt wcześnie, ale przeczytasz ją w końcu, przyrzekam.

– Sasza też tak zawsze mówił, a w końcu nigdy nic mi nie dawał.

Z upływem czasu nasze dzieci przyzwyczyły się do szkoły. Teraz wiodły już własne życie, o którym coś niecoś wprawdzie słyszałem, ale co było już jakby poza mną. Pewnego razu jednak Vincent zaczął opowiadać przy jedzeniu o tym, że rozmawiali z nauczycielem o „Muhma Dali”. W końcu okazało się, że chodzi o boksera.

– Masz na myśli Muhammada Ali! – wykrzyknąłem. – To był najlepszy bokser wszech czasów!

Vincent spojrzał na mnie z wyrazem twarzy, który wydawał się mówić: „Skoro tak uważasz...”. Także Luise nie czyniła żadnych wysiłków, aby ukryć swój całkowity brak zainteresowania.

– Ali był wspaniały. Miał niewyparzoną gębę. Zobacz. – Podniosłem się z krzesła, wybałuszyłem oczy i zacząłem wrzeszczeć: – Jestem najlepszy. W ostatnim tygodniu siłowałem się z wielorybem, zamordowałem skałę, zraniłem kamień i posłałem cegłę do szpitala. Jestem tak paskudny, że nawet medycyna robi się chora. Latać jak motyl, żądlić jak pszczoła.

Skakałem po całej jadalni. Dzieci obserwowały ten niespodziewany wybuch swojego ojca ze zdumieniem.

– A swoich przeciwników Ali zawsze obrażał. O tak. – Podszedłem prowokująco do

Luise. – Jesteś tak brzydka, że twoje łzy wdrapują się po policzkach do góry i spadają z tyłu głowy. – Roześmiała się. Wypuściłem kilka ciosów w powietrze i podszedłem do Vincenta.

– Założę się, że przerazisz się na śmierć, kiedy tylko spojrzysz w lustro. Ty paskudny niedźwiedziu!

Usiłowałem wykonać *shuffle* i zatańczyłem szybko w miejscu, co chyba nie wypadło najlepiej. Zaraz dostałem zadyszki, ale nie przestawałem. Dzieci śmiały się w głos, Alva zdumiona tylko kręciła głową, a ja tańczyłem przed nią tak długo, aż również i ona się roześmiała.

*

Pod koniec lutego pojechałem po Marty’ego na uniwersytet, mieliśmy razem zjeść obiad.

Wyszedł z instytutu i przed drzwiami dyskutował jeszcze z grupą studentów, niektórzy byli o połowę młodszy ode mnie. Jak pewny siebie w kwestiach gustu stał się mój brat w porównaniu do czasów swojej młodości. Miał na sobie elegancki szary garnitur, niebieską koszulę, jasnobrązowe plecione skórzane buty oraz, zapewne aby ukryć powiększającą się łysinę, kaszkiet. Słuchał utworów Springsteena, Talking Heads oraz Van Zandta, nosił prawie niewidoczne okulary i robił wrażenie człowieka, na którym można absolutnie polegać.

– O czym rozmawiałeś ze studentami?

Marty popchnął drzwi do restauracji.

– Ach, pod koniec zajęć jeden z nich zapytał, czy istnieje wolna wola.

– No i?

– Oczywiście, że musi istnieć. Ale samo pytanie jest właściwie mniej ważne od postawy człowieka wobec tej kwestii. Nawet gdyby badania mózgu dostarczyły niepodważalnych

dowodów na to, że nigdy nie podejmujemy wyboru świadomie, to i tak bym tego nie zaakceptował. Gdyby wolna wola była jedynie złudzeniem, to i tak byłaby wszystkim, co posiadam.

Chciałem mu właśnie odpowiedzieć, kiedy zadzwoniła moja komórka. Alva.

– Wracaj szybko do domu, proszę – powiedziała.

Poczułem silny ucisk w piersi. Z jakiegoś powodu przed oczami pojawił mi się natychmiast Vincent. Jeżeli coś się stało, to tylko jemu.

– Coś z dziećmi? – zapytałem od progu. – Czy Vincent jest ranny?

– Nie.

Poczucie ulgi. Podeszedłem do niej.

– To co?

Alva uśmiechnęła się, ale nie był to prawdziwy uśmiech. Jej oczy błyszczały. Odwróciła wzrok, a ja w milczeniu opadłem na łóżko obok niej.

*

Życie nie jest grą o sumie zerowej. Nic człowiekowi nie jest winne, a co się zdarza, to się zdarza. Niekiedy słusznie, tak że wszystko ma swój sens, niekiedy tak niesprawiedliwie, że wątpi się we wszystko. Zerwałem losowi maskę z twarzy i znalazłem pod nią przypadek.

*

Odkąd wiedziałem, że choroba Alvy powróciła, przeżywałem kolejne dni jak w zamroczeniu. Rak się rozprzestrzenił, miała przerzuty w wątrobie i w śledzionie. Lekarze zaaplikowali jej chemioterapię i naświetlania, coraz to zwiększali dawki. Wpompowano w nią ogromne ilości trucizny, znów pojawiła się kwestia, kogo zabije: raka czy ją.

Elena i mój brat przeprowadzili się do nas i we trójkę zajmowaliśmy się dziećmi. Marty bawił się z nimi, Elena czytała im wieczorami i rano, przed pracą zawoziła je do szkoły, kiedy ja byłem już w drodze do szpitala. Wszyscy staraliśmy się być optymistami, ale Vincent nas przejrzał.

– Czy ona umrze? – spytał.

Spojrzałem na niego wstrząśnięty.

– Nie, oczywiście że nie.

– To dlaczego tak długo jej nie ma?

– Żeby można było jej lepiej pomóc. Twoja mama jest niezwykczona, nie martw się.

Poprzednio przecież wyzdrowiała, prawda?

To go chyba uspokoiło. Luise robiła wprawdzie wrażenie nieco mniej wystraszonej od brata, ale odwiedzała Alvę w szpitalu najczęściej jak się dało i od razu wsuwała się do niej pod kołdrę. Jeszcze dzisiaj widzę, jak leży obok matki i obie nic nie mówią, jedna z osłabienia, druga ze strachu.

– Robimy wszystko jak należy – powtarzała mi ciągle Elena. – Nie musisz się martwić o dzieci.

– Dziękuję.

– A jeżeli chciałbyś porozmawiać...

– Wiem.

Dotąd podtrzymywało mnie na duchu to, że Alva nie traci nadziei i wierzy w swoją przyszłość, ale czułem, że nie brała pod uwagę tak szybkiego nawrotu choroby. Chciałem coś zrobić i w końcu zadzwoniłem do Toniego.

Miesiąc później, nastał już tymczasem maj, wbiegłem w klinice po schodach i wpadłem do

pokoju Alvy. Drzemała obłożona książkami do pracy doktorskiej. Wiosna była oszłamiająco piękna, także tego dnia promienie słoneczne wręcz rozsadzały niewielkie pomieszczenie.

– Możesz wstać? – Podprowadziłem Alwę do okna i wskazałem na motocykl stojący na parkingu.

Spojrzała najpierw na maszynę, a potem na mnie.

– Ale przecież zawsze tak się bałeś.

– Koniec z tym – powiedziałem. – Cienia strachu i już.

Dała mi długiego całusa i objęła mnie. W rękę trzymałem jeszcze kask i teraz rzuciłem go na łóżko. Nagle zorientowałem się, że Alva płacze. Bez jednego słowa przytuliłem ją mocno.

– Ale ja się boję – wyszeptła mi do ucha, jakby zdradzała tajemnicę. – Chemioterapia nie skutkuje.

– Zwiększą dawkę albo wypróbują inny środek.

– Prawie cały czas jestem tutaj.

Potrzebowała dobrej chwili, aby się uspokoić, potem musiałem jej opowiedzieć o swoich potajemnych godzinach nauki jazdy i o tym, jak Toni doradzał mi przy kupnie motocykla.

Opowiadanie czegoś Alvie było zawsze dla mnie ogromną przyjemnością. Jej oczy się rozszerzały, pochylała się do przodu, łapała człowieka podświadomie za łokieć i całą sobą chłonęła każde słowo. Nigdy też nie zasypiała na filmach, nawet kiedy była bardzo zmęczona; zawsze chciała się dowiedzieć, jak skończy się opowiadana historia.

– Kiedy stąd wyjdiesz, zabiorę cię na przejażdżkę.

Spojrzała na mnie sceptycznie.

– Czy ty w ogóle umiesz jeździć?

– W końcu dotarłem tu, nie powodując wypadku.

Położyliśmy się do łóżka. Było za wąskie dla dwojga.

Alva przytuliła się do mnie.

– Jak dobrze tak z tobą tu leżeć. – Jej palce głaskały mój podbródek, usta, powędrowały przez brwi do skroni. – Wiesz, że lubię twoje małe uszy?

– Coś takiego podejrzewałem.

– Te małe uszy są w tobie najlepsze.

Długo patrzyła, jakby po raz pierwszy przyglądała mi się świadomie. W końcu dotknęła moich włosów.

– Tyle siwizny – powiedziała i już się więcej nie odezwała.

*

Liz wpadła kilka razy na weekend, zajmowała się dziećmi albo szła ze mną na spacer i oczywiście zaglądała do Alvy do szpitala. Czułem jednak, że sama ma problemy. Praca ją nudziła, a świadomość, że nigdy nie będzie miała dzieci, dołowała ją coraz bardziej. Pewnego wieczoru oglądaliśmy w telewizji reportaż o Indiach i Liz stwierdziła, że nigdy tam jeszcze nie była. Zabrzmiało to jak wtrącona mimochodem uwaga, ale oczy jej rozbłysły, a ja wiedziałem już, że niedługo coś zrobi. Kiedy wyłączyliśmy telewizor, objęła mnie w geście pocieszenia.

Albo ja ją, to nie było całkiem jasne.

W tym czasie pracowałem głównie nocami, zresztą i tak nie mogłem spać. Prosiłem lekarzy, żeby szczerze mówili, jak jest, ale oni tylko mnie uspokajali. Nie ma jeszcze żadnego powodu, by tracić nadzieję. To wystarczyło, aby wciąż wierzyć. Co rano biegłem przez park, często w towarzystwie psa mojego brata. Potem w każdej sekundzie dnia usiłowałem

wspierać Alwę, sprzątałem, załatwiałem różne sprawy, krążyłem między kliniką a domem, zajmowałem się dziećmi. Moje własne „ja” zanikało stopniowo w dążeniu do całkowitego oddania się tej dwójce.

Jednak Vincent i Luise kłócili się coraz częściej, a kiedy próbowałem ich godzić albo chciałem położyć spać, uciekali ode mnie, krzycząc ze łzami w oczach, że chcą do mamy.

Pomagał mi Marty, odgrywał tego, który jest dobrej myśli, ale niekiedy widziałem, jak pełen rezygnacji patrzy przed siebie. Bardzo lubił Alwę, ale w swoim nihilistycznym świecie niewiele znajdował rzeczy, które mogłyby okazać się krzepiące w takiej sytuacji. Ludzie rodzili się, żyli, umierali, ich ciała gnęły, a potem wszystko ulegało zapomnieniu. Mnie zdarzyło się modlić kilka razy, żeby Alva wyzdrowiała. Wprawdzie niewiele miałem do czynienia z religią, ale nigdy nie byłem zdeklarowanym ateistą. Przypomniałem sobie jedną z rozmów z Romanowem. Staliśmy w jego gabinecie i dyskutowaliśmy o teodycei.

– Jules, niech pan już da sobie z tym spokój – powiedział. – Na niektóre pytania po prostu nie ma odpowiedzi, tak już jest. My, ludzie, jesteśmy tu na dole zdani wyłącznie na siebie. Cóż to byłoby bowiem za świat, w którym wysłuchana zostałaby każda modlitwa, a my z całą pewnością wiedzielibyśmy, że po śmierci jest ciąg dalszy? Do czego potrzebne byłoby nam wówczas życie, dawno bylibyśmy już w raju. Zna pan przysłowie: daj człowiekowi rybę, a dasz mu pożywienia na jeden dzień, naucz go łowić ryby, a dasz mu pożywienia na całe życie. I dokładnie tak to funkcjonuje tutaj. Bóg chce, abyśmy nauczyli się troszczyć sami o siebie. Nie daje nam ryby i nie wysłuchuje wszystkich naszych modlitw, ale słucha nas i obserwuje, jak sobie tu, na dole, ze wszystkim radzimy, z chorobą, niesprawiedliwością, śmiercią i cierpieniem. Życie jest po to, aby nauczyć się łowić ryby.

Te słowa były dla mnie teraz pocieszeniem. Jak wspaniałomyślny okazał się Romanow, że zaprosił mnie wówczas do swojego domu. Bardzo musiał kochać Alwę. Postanowiłem wtedy, że pewnego dnia odwiedzę jego grób w Lucernie.

*

Nadszedł czerwiec, a Alva, mimo że była nadal zbyt wyczerpana, aby pracować, nie rozstawała się w łóżku z książkami do swojej pracy doktorskiej: czytała Spinozę, Locke’a i Hegla. Jakby postanowiła zignorować własne ciało, które ją zdradziło.

– To strasznie trudne – powiedziałem tylko.

– Lubię to. Zawsze sprawiało mi przyjemność zajmowanie się myślami innych.

Nie mogłem powiedzieć tego, co chciałem, ale ona i tak to wiedziała.

– Jeżeli miałabym naprawdę umrzeć, to z podniesioną głową. Żyć możliwie długo tak, jak żyłam. Czytając i ucząc się.

Byłem pewny, że brakuje jej owych nocnych wędrówek. Często wyobrażałem sobie, jak Alva potajemnie snuje się w nocy po szpitalu, wręcz chciałem, aby to robiła. Aby nie odeszła tak zwyczajnie, lecz owiana tajemnicą zniknęła na zawsze w ciemności.

– Jak tam maluchy? – zapytała.

– Luise trzyma się całkiem dobrze, tylko ostatnio bardzo przycichła. Pytała, czy może opuścić lekcje i przyjść tu razem ze mną. A Vincent pobił się z kolegą z drużyny.

– Zobacz, co narysował.

Alva wskazała na obrazek leżący na stole. Była na nim Alva z psem, chyba tym mojego brata. Obok Vincent narysował jeszcze czarny okrąg. Musiał użyć wszystkich kredek, żeby uzyskać taki odcień czerni. Ten czarny krąg to śmierć, pomyślałem.

– Wspólny kurs filozofii będziemy musieli chyba przełożyć – powiedziała z udawanym

rozbawieniem. – Znowu ci się upiekło.

Uśmiechnąłem się blado, ale wdarł się we mnie strach, silny i fizyczny, jakby pięść wwiercała mi się w żołądek. Ból, który zaciskał cały świat w jeden wielki węzeł.

Alva złapała mnie za rękę. Uspokajające, piękne uczucie. Trzymałem jej dłoń w swojej, pasowały do siebie idealnie. Stwierdziłem to już dawno, siedząc w czerwonym fiacie przed większą knajpą. Zostałem przy niej aż do zmroku, potem wsiadłem na motor. Ale nie pojechałem do domu, gdzie Marty położył już dzieci do łóżek, lecz za miasto. Na szosie podniosłem szybkę wizjera. Wiatr smagał mnie po twarzy, uwielbiałem to.

Patrzyłem nieruchomo na drogę, a dookoła wszystko znikło. Wtedy zobaczyłem, jak siada obok mnie w szkole. Rudowłosa, nieśmiała, w zbyt dużych okularach w rogowej oprawie, bardzo ładna mimo nieco krzywego przedniego zęba. Tak tajemnicza dla mnie Alva.

Teraz wiedziałem już wszystko, co wcześniej było tajemnicą. Wiedziałem, że straciła siostrę, że zamieszka na jakiś czas w Rosji i wyjdzie za mąż. Wiedziałem, że spotkamy się ponownie i będzie miała ze mną dzieci, wiedziałem o jej nocnych spacerach, jak również o tym, że okaże się wspaniałą matką. I wiedziałem, że w końcu zachoruje i trafi do szpitala. Jednak wtedy, w szkole, to wszystko pozostawało wielką niewiadomą. Po prostu dziewczyna ze wsi usiadła obok chłopca z miasta, który właśnie został sierotą. Początek pewnej historii. Naszej historii.

A później pomyślałem o śmierci. Dawniej wyobrażałem sobie, że to niekończący się bezkres, jak śnieżny krajobraz, nad którym szybuje ludzka dusza. A tam, gdzie dotknie bieli, nicłość wypełnia się wspomnieniami, uczuciami i obrazami, które człowiek w sobie nosił, i otrzymuje określone oblicze. Niekiedy to, co powstaje, jest tak piękne i własne, że dusza zanurza się, aby pobyć tam przez chwilę, i leci dalej swoją drogą przez nicłość.

*

Pewnego wczesnego popołudnia pod koniec lipca byłem sam w domu. Panowała nieprzyjemnie obca cisza, a ja obserwowałem, jak wiatr hula po podwórzu i ginie w krzakach.

Dotąd padało bez przerwy, ale teraz przez chmury w kolorze łupków przebijały szerokie snopy światła. Postanowiłem poszukać listu, który napisałem do Alvy w wieku dziewiętnastu lat, tuż przed tym, zanim się rozstaliśmy. Wtedy, po długich wahaniach, jednak jej go nie dałem, uznałem, że jest zbyt dziecinny i patetyczny. Zamiast tego zacytowałem swojego ojca, tę bzdurę, że niby jest tylko moim prawdziwym przyjacielem. Nie przeczytała więc tych linijek z 26 maja 1992 roku: *Droga Alvo,*

mam nadzieję, że podobają Ci się moje opowiadania. Jeżeli nie, to nie bądź, proszę, zbyt surowa. Chciałem Ci też powiedzieć, że w weekend wreszcie skończyłem Serce to samotny myśliwy. Teraz już wiem, dlaczego tak bardzo lubisz McCullers, mnie także poruszyła ta historia.

Rozumiem też bardzo dobrze, dlaczego chcesz zostać postacią z tej książki i chodzić zawsze po północy do kawiarenki. W sumie jednak ci wszyscy ludzie, którzy spotykają się tam każdej nocy, są niespokojni i nieco zgorzkniali. Mam więc nadzieję, że Ty taka nie będziesz. Poza tym bardziej poruszyło mnie to, jak jedna z postaci podzieliła życie na świat zewnętrzny i wewnętrzny. Często o tym myślałem w ostatnich dniach, jako że uświadomiłem sobie, że robię podobnie.

Świat zewnętrzny to jest to, co ludzie określają mianem rzeczywistości. To świat, w którym umarli moi rodzice, w którym nie mam żadnych przyjaciół, w którym odeszło moje rodzeństwo, nie obejrzawszy się nawet za mną. Świat, w którym będę coś tam studiował, a potem pracował w jakimś zawodzie. W którym nie potrafię porozumieć się z innymi, w którym robię być może

wrażenie zimnego i w którym utraciłem z siebie coś lub nawet wszystko. W którym na końcu czeka śmierć i w którym mam niekiedy poczucie, że po prostu znikam.

Natomiast świat wewnętrzny jest inny, istnieje tylko w mojej głowie. Ale czyż nie wszystko jest w głowie? Pytałaś mnie, o czym myślę, kiedy zaczynam marzyć albo gdy nie uważam na lekcji. Prawda jest taka, że wtedy nie myślę, tylko po prostu jestem. Niekiedy wyobrażam sobie, że dorastałem w Ameryce albo że moja matka i ojciec jeszcze żyją. Dzisiaj na przykład podczas lekcji podróżowałem po Włoszech. Z rodzicami, z ciotką i rodzeństwem, wszyscy razem w wygodnym kamperze. Było to tak intensywne, że nie jestem w stanie ująć tego w słowa. Byliśmy znowu dziećmi i jechaliśmy wzdłuż wybrzeża Amalfi, i mógłbym dokładnie Ci opisać, jak tam pachniało, cytrynami oraz algami, i jaki kolor miały jesienne już wtedy liście, i jak lśniły w słońcu czerwone plastry arbuźów, które jedliśmy. Mógłbym Ci opisać, o czym rozmawialiśmy, moje rodzeństwo i ja, i jakie spojrzenia rzucali nam rodzice, i jak jedliśmy w tej małej włoskiej restauracji, a moja siostra po raz pierwszy upiła wina z kieliszka i udawała, że jej smakuje, ale w rzeczywistości uważała, że jest okropne, wiem to wszystko.

Zdaję sobie oczywiście sprawę, że te fantazje są dziecinne. A jednocześnie jestem pewien, że w tym uniwersum musi istnieć miejsce, z którego obydwa światy wydają się równorzędne. Ten prawdziwy i ten wymyślony. Ponieważ, kiedy wszystko przeminie i zostanie zapomniane, kiedy czas oddali wszystko o miliardy lat i nie będzie już żadnego dowodu, że cokolwiek istniało, wówczas nie ma żadnego znaczenia, co było rzeczywistością. Wtedy historie, które wymyśliłem, staną się być może tak samo rzeczywiste i nierzeczywiste, jak to, co ludzie nazywali realnością.

Zadajesz sobie z pewnością pytanie, dlaczego piszę do Ciebie o tym wszystkim. I zapewne chcesz wiedzieć, dlaczego pytam Cię wyłącznie o to, czy przeprowadzisz się ze mną do wspólnego mieszkania w Monachium, zamiast powiedzieć Ci po prostu, co do Ciebie czuję, mimo że jest to przecież oczywiste. Nie chcę, abyś poczuła się urażona, wręcz przeciwnie. Prawda jest taka, że tego jeszcze po prostu nie potrafię. Nie wiem bowiem, co myślisz o mnie i co do mnie czujesz.

I boję się narazić to, co jest między nami, żeby po rodzicach i rodzeństwie nie stracić jeszcze Ciebie.

Ale ten list jest moim pierwszym, po tylu latach, dużym krokiem na drodze powrotnej do świata zewnętrznego. Powierzyłem Ci coś, czego nigdy jeszcze nikomu nie powiedziałem. Wiem, że człowiek nie powinien tak wycofywać się w siebie. Chciałbym być tam, gdzie Ty jesteś, to jest rzeczywistość.

Twój

Jules

*

Jakiś dzień w sierpniu, nie pamiętam już, który. Lampa na suficie kliniki miga, co bardzo mi przeszkadza. Zapach środków dezynfekcyjnych drażni nos, ktoś biegnie korytarzem, tenisówki piszczą po podłodze. Obserwuję mechaniczny ruch ust lekarza, słowa przenikają do mnie bardzo powoli. Terapia już nie skutkuje, są nowe przerzuty, walka stała się bezcelowa. Rak był w całym, osłabionym lekarstwami, ciele Alvy i nie napotykał już teraz żadnych przeszkód.

Lekarze zaproponowali przerwanie leczenia i podjęcie działań paliatywnych.

Dawali jej jeszcze tylko kilka tygodni, powtarzałem to ciągle w duchu. Jeszcze tylko kilka tygodni.

Choć od dawna się z tym liczyliśmy, jednak wszyscy mieliśmy nadzieję, że nastąpi jakieś

cudowne uzdrowienie. I nawet po tej straszliwej diagnozie nie mogłem nadal uwierzyć w prawdę.

To jakieś przywidzenie, za chwilę wszyscy będziemy siedzieli przy stole, zjemy kolację, a potem zagramy w gry planszowe. To nie mogła być prawda. Nie powinna.

Nic już prawie nie czułem, pusty w środku powlokłem się korytarzem i otworzyłem drzwi do pokoju Alvy. Wszedłem do tego małego pomieszczenia, jak setki razy w ciągu ostatnich tygodni, tylko że teraz wszystko było inaczej.

– Więc stało się – powiedziała Alva, kiedy mnie zobaczyła. – *Game over*.

Myślałem, że zastanę ją całą we łzach, a nie z książką w ręku. Nadal nie odpuszczała pracy doktorskiej, choć było już pewne, że nigdy jej nie ukończy. Przysiadłem koło niej na łóżku i chciałem ją objąć, ale odrzuciła mnie delikatnie.

– Teraz akurat nie mogę znieść żadnej bliskości – powiedziała. – Przez to trzeba przejść samemu. Daj mi trochę czasu, okay?

Cofnąłem się.

– Jasne.

– Jutro z pewnością będę w lepszym stanie.

Odwróciłem wzrok. Spojrzałem na nią krótko, a potem wyszedłem z pokoju.

*

W mieście było dla mnie zbyt jasno, słońce rozlało się po ulicach i domach. Nie zadzwoniłem do nikogo, dałem się nieść strumieniowi ludzi. Zapach precli z piekarni, robotnicy reperujący bruk. Starsze małżeństwo spacerujące po chodniku i trzymające się za ręce. Jeszcze tylko kilka tygodni.

Elena przygotowała dzieciom obiad. Już wiedziała, objęła mnie bez słowa. Dzieci siedziały cicho przy stole. Nikt im chyba jeszcze nic nie powiedział, ale najwyraźniej czuły, że coś się w sposób zasadniczy zmieniło.

Wziąłem córkę w ramiona, potem syna, zjadłem kilka kęsów, poszedłem do sypialni i położyłem się na swojej części łóżka. Ta druga na zawsze już pozostanie pusta. Poczulem złość na siebie za litowanie się nad sobą, za ten nieznośny patos. W końcu zasnąłem.

Wieczorem obudził mnie brat. Bez słowa położył się obok mnie na łóżku, tam, gdzie zawsze leżała Alva. Był blady.

– Zatelefonowałem do Liz – powiedział. – Prawie nic nie mówiła, ale chyba czuje się wyczerpana. Przy tym wszystkim, co się teraz dzieje, nikt z nas nie ma do tego głowy, a z nią jest naprawdę kiepsko. Niedawno stwierdziła, że najchętniej zrezygnowałaby z pracy.

Zaproponowałem, żeby na wakacje przyjechała do nas. – Odwrócił się do mnie. – A od Toniego mam ci przekazać, że zawsze możesz na niego liczyć, kiedy tylko będziesz go potrzebował.

Przyjedzie natychmiast, jeżeli chcesz.

Spojrzeliliśmy po sobie.

Marty potrząsnął głową.

– Nie wiem zupełnie, co ci powiedzieć. Przez cały dzień zastanawiałem się, co by cię mogło pocieszyć, ale nie ma niczego takiego... Twoje dzieci przynajmniej się z nią pożegnają.

Nie jest to dużo, ale więcej, niż nam było dane w tamtym czasie.

– Mają dopiero siedem lat – powiedziałem. – Za trzydzieści lat nie będą w stanie przypomnieć sobie własnej matki.

– To twoje zadanie, aby im o niej opowiadać.

Poleżeliśmy tak jeszcze kilka minut, potem Marty wstał. Tego wieczoru zajmował się dziećmi razem z Eleną. Ja leżałem bez ruchu w pokoju, słyszałem, jak Luise i Vincent o mnie pytają, słyszałem brzęk naczyń, szum wody lejącej się z kranu. Nie mogłem się ruszyć. W końcu zrobiło się cicho i wszyscy zasnęli. Wtedy zapaliłem światło i zacząłem czytać ostatnią powieść Romanowa.

*

Nie chcę opowiadać, co na końcu choroba zrobiła z ciałem Alvy. A także opisywać chwil, w których traciła panowanie nad sobą i oddawała się rozpacz. Miałem wrażenie, jakby wisiła nad przepaścią i tylko jedną ręką trzymała się jeszcze krawędzi, podczas gdy choroba odginała jej jeden palec po drugim.

Jednakże w tym poddanym samozniszczeniu ciała nadal mieszkał silny duch. Po kilku dniach bezradności i niemocy Alva postanowiła odważnie przeciwstawić się śmierci. Nie miałem pojęcia, skąd wzięła tyle siły, jako że z trudem już podnosiła się z łóżka i coraz dłużej spała odurzona morfiną. Ale kiedy się budziła, ta siła rozbłyskiwała.

Alva została przeniesiona na oddział opieki paliatywnej. Nie było to już białe, nijakie pomieszczenie, lecz prawie mieszkalny pokój z drewnianą podłogą, akwarelami na ścianie i czerwonym fotelem ze sztucznej skóry. Siedziała tam w swoim łóżku od rana do wieczora.

Wykorzystywała każdą sekundę, w której była przytomna, i chciała ukraść jak najwięcej ostatnich wspomnień z czasu, jaki nam jeszcze pozostał. Niekiedy podczas tych rozmów traciłem panowanie nad sobą, przepełniony uczuciem straty, ale wtedy ona uśmiechała się, choć nie był to jej dawny uśmiech, i mówiła, żebym wziął się w garść, bo co sobie śmierć o mnie pomyśli?

Zachowywała się zawsze tak, jakby śmierć była już z nami w pokoju.

– Możesz mówić otwarcie – powiedziała. – Nie mam przed nią żadnych tajemnic.

Najtrudniejsze były dla Alvy przedpołudnia, kiedy odrętwiała i milcząca leżała w łóżku, niezdolna do rozmowy ze mną.

– Kiedy śnię, wszystko znika – wymamrotała. – Ale kiedy się budzę, każdego dnia muszę uczyć się na nowo tego, że wkrótce umrę. A potem w nocy, we śnie, znowu o tym zapominam.

Z powodu osłabienia i zmęczenia nie mogła czytać i nie sięgała już po leżące na nocnym stoliku książki o filozofii. Za to czytałem jej na głos fragmenty powieści, ale także wiersze. Jej ulubiony utwór Rilkego znałem na pamięć.

Wielka jest śmierć.

A nasze życie

to roześmiana jej tylko twarz.

Kiedy czujemy się w sił rozkwicie,

ona w nas skrycie

waży się łkać[8].

Najbardziej jednak lubiła, kiedy czytałem jej którąś z moich dwóch nowel umieszczonych w książce Romanowa. O człowieku, który prowadził w snach drugie, inne życie. Oraz o tym, który aż do śmierci pozostawał samotny, ponieważ kradł ludziom czas i nie znalazł nikogo, kto zrezygnowałaby z długiego życia na rzecz spędzenia kilku lat razem z nim.

– Niestety, w tym życiu nie przeczytam już twojej powieści – westchnęła Alva podczas jednej z naszych ostatnich dłuższych rozmów.

Później, kiedy lekarze zwiększyli jej dawkę morfiny, była najczęściej zbyt zmęczona albo odurzona, by rozmawiać sensownie, jednak tego popołudnia czuła się całkowicie rozbudzona.

– Jest tak wiele rzeczy, które chciałabym jeszcze zrobić. Tak wiele miejsc, które chciałabym

zobaczyć. – Spojrzała na mnie. – Miałaś dla mnie coś ugotować.

– Często dla ciebie gotowałem.

– Ale nigdy tak, jak zamierzałeś zrobić to wtedy, w szkole.

Musiałem przyznać, że ma rację.

– A te dwa maluchy... – ciągnęła. – Zawsze chciałam zobaczyć, jak dorastają. Tak bym chciała porozmawiać z Luise, kiedy wejdzie w okres dojrzewania i będzie miała problemy. Albo z Vincentem, kiedy zakocha się pierwszy raz. – Chwyciła moją dłoń. – Teraz to będzie twoja rola.

Kilka tygodni wcześniej wmówiłem sobie, że jakoś sobie ze wszystkim poradzę, teraz jednak ogarnęły mnie rozpacz i zwątpienie. Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju.

– Ale ja nie dam rady! – powiedziałem głośno. – Nie potrafię cię zastąpić. NIE JESTEM JESZCZE PO PROSTU GOTOWY.

– Jesteś wspaniałym ojcem.

– Ale tylko dlatego, że miałem ciebie. Ty je wychowywałaś, ty zajmowałaś się wszystkim, co najważniejsze. Ja tylko się z nimi bawiłem. Nie jestem jeszcze gotowy, żeby samemu o nie dbać. Dzieci już teraz mnie nie słuchają, nie zaakceptują tej mojej nowej roli.

Alva zmęczona potrząsnęła głową.

– Z pewnością podołasz, jestem pewna. Będziesz gotowy, kiedy zaczną cię potrzebować.

– Nie chcę po prostu, żeby miały takie życie, jak ja wcześniej. – Opadłem na krzesło, nerwowo kiwałem stopą.

Ona była spokojna.

– Rozumiem cię. Ale widzę w tobie nie tyle wesołego żartownisia, jakim bywasz przy dzieciach, ile raczej poważnego mężczyznę, którym zawsze byłeś. A brat i siostra będą cię wspierali.

– Liz jest w Indiach – powiedziałem, nadal z niedowierzaniem.

– Nie wiedziałam.

– Trzy dni temu zwolniła się z pracy i tak po prostu uciekła do Bombaju, zamiast mi tu pomagać. Ulotniła się, jak zwykle.

Przez chwilę Alva nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Nieważne – stwierdziła w końcu. – Nie wyobrażam sobie dla nich lepszego ojca od ciebie.

W tej kwestii musisz mi zaufać bardziej niż sobie.

Usiadłem na jej łóżku.

– Okay – szepnąłem.

Jej dłoń znowu w mojej.

– Boisz się? – spytałem.

– Czasami. Kiedy nie mogę sobie wyobrazić, że wkrótce umrę, wtedy zaczynam się bać.

Ale równie często umiem to już sobie wyobrazić i wtedy czuję się dobrze. Kiedyś przecież i tak musiało to nastąpić.

Przytaknąłem. Nasza rozmowa przypominała wyścig: każde z nas chciało jeszcze coś dodać.

– To było tylko osiem lat – powiedziałem. – Tylko osiem lat, podczas których byliśmy razem. Zmarnowaliśmy tyle czasu.

– Też często o tym myślałam. – Alva wyprostowała się z trudem i spojrzała na mnie.

– Jules, pamiętasz, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy w szkole?

– Na balu absolwentów?

– Nie, wtedy nawet na mnie nie spojrzales. To było wcześniej.

– Zgadza się. Przyszedł nagle do mnie i zapytał, czy spędzimy razem ostatni weekend roku szkolnego, chciałaś koniecznie ze mną porozmawiać. A ja nie zadzwoniłem, byłem chyba zbyt dumny. Ale oczywiście bardzo chciałem cię zobaczyć. Tylko kiedy później zagadnąłem cię o to, ty już nic nie pamiętałaś. Było ci to całkowicie obojętne.

Odsunęła dłoń.

– Nie – zaprotestowała. – Było odwrotnie. To ja zapytałam cię po weekendzie, dlaczego nie zadzwoniłeś, ale ty...

Jej głos docierał do mnie nieco przytłumiony. Po raz kolejny na rzeczywistości pojawiła się delikatna rysa, a ja widziałem wyraźnie, jak stoję wtedy w klasie i z zarożumiałym uśmiechem kłamię w żywe oczy, że zapomniałem o naszym spotkaniu i że na jakiejś imprezie coś tam robiłem z inną dziewczyną.

Alva spojrzała na mnie.

– Przez cały weekend miałam nadzieję, że zadzwonisz. Nareszcie wtedy cię... zrozumiałam, Jules. Jak tylko telefon się odezwał, chciałam, żebyś to był ty.

– Czy to prawda?

– Tak. A kiedy nie zadzwoniłeś, byłam smutna i zła, przede wszystkim sama na siebie. Potem chciałam już tylko wyjechać.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć, próbowałem się pokajać, ale natychmiast mi przerwała.

– Nie byliśmy po prostu jeszcze gotowi.

– Ale wtedy mielibyśmy dużo więcej czasu.

– I tak mieliśmy swój czas – usłyszałem. – Lepsze osiem lat z tobą niż pięćdziesiąt bez ciebie.

Oparłem głowę o łóżko. Kiedy zamknąłem oczy, mogłem wrócić do tamtego lata z młodości i dostrzec nieśmiałe sygnały z jej strony. Album ze zdjęciami, który mi, tak po prostu, podarowała i w którym umieściła tylko nasze zdjęcia i napisane przez siebie krótkie wiersze.

Drwiące słowa, że chce wyjechać za granicę i musiałaby się zakochać, by zostać. Mijaliśmy się wtedy, potrzebowaliśmy siebie jako przyjaciół i za późno dotarło do nas, co do siebie czujemy.

Teraz umiałbym skorygować nasze błędy, to było tak piekielnie proste. Wszystko jedno gdzie, czy w jej aucie, w moim pokoju w internacie czy też w górskiej chacie, wystarczyłoby kilka słów, kilka gestów i wszystko potoczyłoby się inaczej...

Musiałem jednak otworzyć oczy i stawić czoło temu, co nadchodziło teraz. Było to coś, co nie dało się odmienić.

*

Odwiedziło Alvę paru sąsiadów oraz kolegów i koleżanek, aby się z nią pożegnać. Jej ojciec przyjeżdżał regularnie z Augsburga i przywoził kwiaty. Tylko pod sam koniec nie mógł już znieść, że traci drugą córkę. Poprosił mnie o przekazanie jej listu.

Przyszedł dzień, kiedy nasze dzieci zobaczyły Alvę po raz ostatni. Właśnie był u niej lekarz. Czekaliśmy z Luise i Vincentem na ławce na korytarzu. Oboje milczeli, wyraźnie było to dla nich zbyt trudne. Mieli dopiero siedem lat i z całą pewnością nie uświadamiali sobie jeszcze, jak ostateczne będzie to pożegnanie, ale instynktownie rozumieli aż za dobrze, co ich czeka.

Dwie pielęgniarki przeszły, dyskutując, obok naszej ławki. Potem zapanowała cisza.

- Czy Nangilima istnieje naprawdę? – zapytała Luise.
- A co to jest? – Nie wiedziałem.
- To jest z jednej bajki, którą czytała nam Elena.
- Z *Braci Lwie Serce* – wyjaśnił Vincent cicho. – Nangilima to kraina, do której się idzie, jak się umrze.
- Czy tam jest ładnie?
- Tak – odpowiedzieli oboje.

Patrzyli na mnie pełni nadziei, jakby to ode mnie zależało, co stanie się z Alvą po jej śmierci.

– Jestem pewny, że mama pójdzie tam, jeśli zechce. Ale może będzie wolała pójść gdzie indziej. W każdym razie znajdzie się w miejscu, z którego będzie mogła was dobrze widzieć.

Oboje uwierzyli w to natychmiast, a ich wiara udzieliła się także mnie. Lekarz opuścił pokój Alvy, a my weszliśmy do środka.

Bąłem się, że zastaniemy Alvę śpiącą lub odurzoną lekarstwami. Z ulgą stwierdziłem, że robiła wrażenie w miarę rozbudzonej. Na widok dzieci wyraz jej twarzy się zmienił. W pierwszej chwili wydawała się zadowolona, ale kiedy zrozumiała, w jakim celu je przyprowadziłem, w jej oczach pojawił się ból, dla mnie wręcz nie do zniesienia.

Dzieci bez słowa położyły na nocnym stoliku swoje podarunki. Vincent narysował jej na pożegnanie obrazek ze swoimi ulubionymi zwierzakami i drugi, przedstawiający jego samego z mamą, a Luise przyniosła wyjątkowo ładny kamień znaleziony w parku, który miał przynieść mamie szczęście.

Uściskali Alvę i położyli się ostatni raz obok niej w łóżku. Po chwili zaczęli płakać, a ja odwróciłem głowę i wyszedłem z pokoju. Z zamglonym spojrzeniem siedziałem znowu na ławce w korytarzu, taki bezsilny, tak całkiem bezużyteczny. Była we mnie pustka, jakiej nie czułem nawet po śmierci rodziców.

Po kilku minutach Luise i Vincent wyszli do mnie na korytarz. Nie pamiętam już, co potem robiliśmy ani o czym rozmawialiśmy.

*

Mój brat i Elena zajmowali się dziećmi, żebym mógł być przy Alvie. Nie ograniczały mnie już godziny wizyt. Nie chciałem zostawiać jej samej także w nocy.

Od czasu do czasu słuchaliśmy muzyki z odtwarzacza CD, który przyniosłem ze sobą, płyt Nicka Drake'a lub jej ukochanego George'a Gershwin. Z reguły zasypiała, a ja kładłem się obok niej, czasem mówiłem cicho o swoich zgrzyotach, o tym, jak to będzie bez niej.

Kiedy była przytomna, opowiadałem jej, jak wstąpiłem do drużyny lekkoatletycznej tylko dlatego, że ona podziwiała sportowców, albo o miesiącach absolutnej wolności, kiedy przeprowadziliśmy się do Monachium. Jak często razem obserwowaliśmy dzieci, kiedy spały. No i oczywiście powtarzałem jej ciągle, jak bardzo ją kocham i jak bardzo jest dla mnie ważna, i że pewnego dnia o niej napiszę.

Alva leżała tylko i przysłuchiwała się.

– O nie – powiedziała raz cicho.

– Co się stało?

– Właśnie pomyślałam o tym zamrożonym lisie i o tym, co wtedy mówiłeś.

Na jej wychudzonej twarzy pojawił się cień dawnego uśmiechu.

*

W jej ostatnim dniu prawie nie wypuszczałem z ręki jej dłoni. Nie chciałem, aby odchodząc, czuła się samotna, wiedziałem, że pogodzenie się ze śmiercią nadal przychodzi

jej z ogromnym trudem. Potworność tego, że może umrzeć w każdej chwili, że musi wszystko zostawić i przejść w nieznane, była wręcz wyczuwalna. Na dworze świeciło słońce, opuściłem żaluzje, jednak światło przedzierało się przez szpary i padało cienkimi smugami na podłogę. Alva miała już wtedy przeważnie zamknięte oczy, ale zawsze kiedy ścisnąłem jej dłoń, odpowiadała uściskiem. Po kawę biegłem najszybciej, jak potrafiłem, żeby znów trzymać ją za rękę. I znów krótko ją ścisnęła, a potem znowu ja, ciągle jeszcze tu była.

Ostatni raz otworzyła oczy po południu. Spojrzała na mnie i kiedy dostrzegła, że płaczę bezgłośnie, wydała mi się przygnębiona, jakby obwiniąca za to siebie. Raz jeszcze ścisnęła moją dłoń i zamknęła oczy. Czuję wręcz, jak jej myśli pędzą przez przestrzeń i czas, szukając ostatniej drogocennej rzeczy, ostatniej pięknej chwili, której mogłaby się przytrzymać. Myślała może o dzieciach i o mnie albo o swojej siostrze i rodzicach, o tym, co minęło, i o tym, co będzie.

To był ostatni wielki chaos myśli i uczuć, bezładny strach i spokój, które odlatywały razem z nią, zaskakująco szybko i obco, i nieskończenie daleko.

Inne życie

A jeżeli czasu nie ma? Jeżeli wszystko, co przeżywamy, jest wieczne, jeżeli to nie czas przechodzi obok człowieka, lecz sam człowiek mija to, co przeżył? Często zadaję sobie to pytanie. Odpowiedź twierdząca zmienia wprawdzie perspektywę i oddala nas od ukochanych wspomnień, ale mimo to nadal możemy je odnaleźć. To jest jak z książką, którą kartkujemy od końca, może do samego początku. Ojciec wiecznie spacerowałby ze mną wieczorem po parku, a Alva i ja na zawsze zatrzymalibyśmy się podczas naszej wycieczki do Włoch – siedzielibyśmy w nocy w samochodzie i jechali w pełną nadziei przyszłość. Usiłuję pocieszać się tą myślą, ale jeszcze jej nie czuję. A wierzyć umiem tylko w to, co czuję.

*

Długo trwało, zanim Liz dowiedziała się o moim wypadku motocyklowym, podróżowała przez Indie bez komórki i dopiero po kilku tygodniach przeczytała swoją pocztę mejlową.

W dniu jej powrotu pojechaliśmy wszyscy na monachijski Cmentarz Północny. Idę, kulejąc, alejką wzdłuż grobów, wsparty na lasce Romanowa, z rodzeństwem po bokach. Liz z lewej, Marty z prawej. Z powodu wypadku uroczystości pogrzebowe odbyły się bez mojego udziału.

Teraz po raz pierwszy stoję nad grobem swojej żony. Prosty kamień z czarnego marmuru, w którym wygrawerowane są jej nazwisko i daty urodzin oraz śmierci. Szyfr dla historii: *Alva Moreau, 3.1.1973–25.8.2014*.

Mam to wszystko przed sobą i stopniowo znika ucisk w moich piersiach. Śmierć jest przeciwieństwem nieistotności, tak myślę. Chciałbym pobyc przez chwilę sam. Marty zabiera dzieci, także Liz odsuwa się na bok. Na cmentarzu panuje cisza, słychać tylko lekki poszum wiatru. Nagle opada mnie wstyd, że przez ostatnie tygodnie uciekałem jak dziecko w świat swoich marzeń. Ale tylko tam Alva mogła jeszcze żyć. Tam, gdzie znajdują się też moi rodzice.

Wspomnienie, ostatnie miejsce schronienia zmarłych.

I znowu widzę Alwę przed sobą i rozmawiam z nią, lecz tym razem obraz szybko się rozwiewa, wypiera go inny: jak siedzę na motocyklu i jadę szosą. Słucham muzyki przez słuchawki, szyba wizjera jest otwarta, a ja nie wiem, co dalej. Tego ranka ustaliłem termin pogrzebu, a potem rozmawiałem z dziećmi, i wtedy uświadomiłem sobie po raz kolejny, że nie jestem po prostu gotowy na to wszystko.

Przyspieszam i jadę coraz szybciej, i tak, to prawda, jest w tym coś z latania, jak twierdził

Toni. Ale jestem pewny, że da się jeszcze zintensyfikować to uczucie. W uszach mam ciche tony gitary, *Heroin Velvet Underground*, ostrożnie włączają się perkusja i wokół, muzyka staje się bardziej gwałtowna, gniewna, śpiew się urywa. Ustawiam na maksymalną głośność. Serce bije mi szybciej, pęd powietrza napiera na moją twarz i nagle wszystko ulatuje gdzieś w przestworza, śmierć Alvy, przekonanie, że nie dam rady sam zatroszczyć się o dzieci, że straciłem wszystko, i widzę przed sobą Romanowa, jak z pełnym strachu spojrzeniem mówi, że nie może się uwolnić.

Ale mnie się to nie przydarzy.

I w tym momencie uwalniam się.

Motocykl nie wchodzi w zakręt, lecz pędzi dalej prosto, zjeżdża z szosy, a ja myślę, że to naprawdę jak latanie. Przez sekundę jestem tak wolny jak nigdy w życiu wcześniej, nic więcej ode mnie nie zależy, nad niczym nie mam już kontroli, stanie się, co ma się stać.

A potem, przez ułamek sekundy, widzę przed sobą swoje dzieci. W ostatnim momencie skręcam w lewo, ocieram się o drzewo tylko bokiem i wszystko staje się czarne aż do chwili, kiedy budzę się w szpitalu.

*

Kilka dni po wizycie na cmentarzu wypisują mnie ze szpitala. Liz mieszka tymczasem u mnie, Marty i Elena są częstymi gośćmi. Sami nie mogą mieć dzieci i teraz opiekują się moimi.

Kiedy wychodzę z psem na spacer, Elena gotuje obiad, kiedy jak sparaliżowany leżę w łóżku i dzwonię na skrzynkę pocztową Alvy, aby usłyszeć jej głos, Marty bawi się z dziećmi na podwórzu. Ołowiany czas, w którym nie mogę się podźwignąć. Parę lat przed śmiercią Alva powiedziała, że nie chciałyby wiedzieć, że robi coś po raz ostatni, a teraz ja przypominam sobie, co ona zrobiła po raz ostatni, kiedy i gdzie. Ostatni pocałunek przy jej łóżku. Ostatni seks, krótki i przelotny, w mocnym przekonaniu, że wkrótce znowu będziemy ze sobą spali. Ostatni raz bawiła się z dziećmi w pokoju szpitalnym, w „Memory” wygrała Luise, nawet dość wyraźnie.

Tak, to jeszcze pamiętasz, myślę, zapamiętujesz takie błahostki.

Dzieci rozumieją, że potrzebują pomocy, słuchają mnie, kiedy kładę je do łóżek, albo proszą, żebym pomagał im w odrabianiu lekcji. Będą teraz, tak jak dawno temu ja i moje rodzeństwo, wiodły zupełnie inne życie. Ich życie z matką się skończyło. A na tej nowej, niełatwej drodze potrzebują kogoś, kto przeprowadzi je przez to wszystko, i tym kimś będę ja.

I uświadamiam sobie, że może jednak jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, w końcu przecież sam przez to kiedyś przechodziłem.

Ta myśl wystarcza, aby dodać mi nadziei. Abym przynajmniej jako tako funkcjonował.

Mogę znowu się śmiać, kiedy muszę, czytać dzieciom, kiedy sobie tego zażyczą, gotować dla nich i radzić sobie z dniem powszednim. Pewnego razu jednak w radiu leci piosenka o latach osiemdziesiątych, kiedy byłem beztroskim dzieciakiem. Słucham jej prostych wersów i na chwilę tracę równowagę: *Things are better when they start,*

That's how the 80s broke my heart.

Po kilku miesiącach nasze życie znowu biegnie na tyle normalnie, na ile to możliwe. To, że nigdy już nie będzie całkowicie normalne, wynika także stąd, że ja i dzieci przeprowadzamy się do domu Marty'ego i Eleny w Englischer Garten. Zawsze mieli zbyt dużo pustych pokoi, a teraz nie będą już więcej sami, moje dzieci i ja również.

Patrzę na całkowicie już opróżnione mieszkanie, patrzę na puste pomieszczenia

i zastanawiam się, co Alva i ja zmienilibyśmy tu jeszcze z upływem lat. Wyobrażam sobie,

jak pokoje dzieciinne przemieniłyby się w pokoje dla nastolatków, w myślach wyburzam ściany i maluję na nowo kuchnię.

Marty stoi przy samochodzie do przeprowadzek i woła mnie.

– Jules, chodź tu na chwilę.

Po raz ostatni patrzę wokoło, spoglądam na podwórze, na huśtawkę i domek na drzewie.

Potem odwracam się i idę do niego.

*

Luise była początkowo przeciwna przeprowadzce, ale Vincent kocha wuja i jest zadowolony, że u niego mieszka. Często siedzą razem w pokoju dzieciennym, a Marty, tak jak dawniej, spędza całe godziny na majstrowaniu przy samochodzie zabawce na benzynę albo na nakładaniu różnych płynnych substancji na szklane płytki. Ten mały samochód i mikroskop Marty podarował Vincentowi. I trochę sobie samemu. W ogóle jest to czas spełniania życzeń, co dwa tygodnie chodzimy z dziećmi na stadion piłki nożnej albo do zoo, zwiedzamy Deutsches Museum i jego dział z okrętami. W niedziele wstawiam im telewizor do pokoju, robię gorące kakao z bitą śmietaną oraz tosty z bekonem, a potem oglądamy razem ich ulubione filmy rysunkowe.

Luise często tęskni za matką, ale po chwili jest już znowu wesoła. Uczucia Vincenta dojrzewają w ukryciu. Nigdy się nie uśmiecha, a szkoda, bo według mnie ma przepiękny uśmiech, taki, który za jednym zamachem przepędza całą zadumę z jego twarzy. Zaprzeszał już malowania, czym zajmował się z zachwytem przez kilka miesięcy, a od niedawna boi się ciemności. Teraz musimy uchylać drzwi do pokoju dzieciennego, aby dosięgało go dodające otuchy światło z korytarza.

Pewnego razu nie mógł mimo to zasnąć i przyszedł ze swoją kołdrą do dużego pokoju, gdzie jak zwykle oglądam nocami telewizję. Wszystko odbywa się bez jednego słowa. Spogląda na mnie pytająco, kiedy głaszczę go po głowie. Vincent przytula się do mnie. W telewizji pokazują właśnie film dokumentalny o kryształach górskich, o tym, że niektóre z nich rosną i dojrzewają tylko w ciemności i w cieniu. *Krystalizacja*.

Nagle Vincentowi napływają łzy do oczu. Nie wydaje jednak z siebie żadnego dźwięku i dalej wpatruje się w telewizor, jakby chciał to przede mną ukryć. Obejmuję go i dopiero wtedy zaczyna płakać naprawdę.

– Też mi jej brakuje – powtarzam mu kilkakrotnie.

Po chwili uspokaja się i zasypia. Od dawna już nie patrzę w telewizor, tylko na swojego syna. Znowu mam przed oczami dawne obrazy: jak po śmierci rodziców siedzę sam w pokoju w internacie, jeszcze ze śniegiem we włosach. Jak niepewny stoję podczas przerwy na szkolnym podwórku i obserwuję bawiące się dzieci. Jak bardzo chcę stąd uciec, byle dalej, dalej, dalej.

Zanoszę Vincenta do łóżka, przykrywam go, odczuwam głęboką więź. Tyle dostrzegam w nim z siebie samego, że to aż boli.

*

Późną jesienią odwiedziłem Liz w Berlinie. Zrezygnowała już ostatecznie z pracy w szkole, pisze teraz książki dla dzieci i sama je ilustruje. Uważam, że to znakomity pomysł, zwłaszcza odkąd zobaczyłem jej pierwsze rysunki i szkice. Poza tym Marty i ja przyrzekliśmy, że będziemy ją wspierać finansowo.

– Żałujesz, że zrezygnowałaś z poprzedniej pracy? – pytam ją.

– Ani przez sekundę. Uczniowie przestali pisać do mnie listy miłosne. Wtedy wiedziałam już, że czas przestać.

Liz przeprowadziła się do mieszkania na Kreuzbergu, większość swoich starych rzeczy porzuciła. Wszystkie te skrzyneczki i komody, lalki i figurki, azjatyckie filizanki i afrykańskie dzbanki. Jej nowe mieszkanie jest przestronne, jasne i puste. Tylko w kuchni wisi stare zdjęcie z czasów internatu: mam na nim trzynaście lat, jestem mały i rozmarzony, Marty to szesnastoletni olbrzym w skórzanym płaszczu i z długimi włosami, Liz, siedemnastolatka, z piętami w ustach spogląda buntowniczo w kamerę spod kaptura zielonej parki. Niezwyciężona w swojej młodości.

– Przepraszam, że tak nagle uciekłam – mówi teraz. – Chciałam być tą starszą siostrą, która zawsze troszczy się o swoich braci, i zamiast tego dwa razy cię opuściłam, kiedy mnie potrzebowałeś, a to jest o dwa razy za dużo. Nie umiem po prostu uciec sama od siebie.

Odwrociłem wzrok od fotografii.

– W porządku.

– Zawsze tak reagujesz: w porządku, ty także mógłbyś się kiedyś poskarżyć. Nic nie jest w porządku, jak się dobrze nad tym zastanowić.

– Może i tak, ale to nikomu nie pomoże.

Przytaknęła.

– Nawiasem mówiąc, śpiam z nim.

– Z kim?

– No, z kim?

Naprawdę nie wiem, o kim mówi.

– Z Tonim.

W pierwszej chwili jestem tak zaskoczony, że jedyne, na co mnie stać, to drwiące spojrzenie.

– A dlaczego akurat teraz?

– Ponieważ chciałabym mieć dziecko.

– A poza tym...

– Żadnego poza tym, służy wyłącznie do zapłodnienia. Wiem, że brzmi to dziwacznie, samą mnie irytowało zawsze to całe gadanie o macierzyństwie, a seks miał być dziki i przede wszystkim sprawiać przyjemność. Ale teraz służy do tego, do czego być może został wymyślony.

Chcę coś powiedzieć, ale ona daje mi znak, żebym się lepiej zamknął.

Tak więc nie dziwi mnie już, że Toni w tych dniach jest w euforii. Ostrzegam go, aby nie robił sobie zbyt wielkich nadziei, a on macha tylko ręką.

– *You can't be wise and in love at the same time.*

– Kto tak twierdzi?

– Bob Dylan. – Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Ale wiesz, że ona cię nie kocha.

– Może pokocha, kiedy pojawi się dziecko. – Toni mnie szturcha. – Nawiasem mówiąc, świetnie, że razem zamieszkaliście.

– Rzeczywiście, przypomina mi to nieco internat. Zaczynam powoli wierzyć, że wszystko kiedyś się powtarza.

– Internat... Jak nazywał się ten mały bar, gdzie zawsze graliśmy w bilard?

– Jackpot.

– Tak, Jackpot. Jakim cudem ty to wszystko pamiętasz? Mam wrażenie, że niczego nie zapominasz. – Toni wskazał na moje czoło. – Wszystko tam na górze zapuszkowane.

Jesteś tym, który wspomina i przechowuje, nie potrafisz inaczej, powiedziała mi przed laty Alva. Jej siostra Phine i fikołki przed snem, ciotka Helene, nasza znękana troskami babcia, dawni uczniowie z klasy, dalsi znajomi, były szef z wydawnictwa płytowego oraz oczywiście Norah: w mojej głowie istnieje całe królestwo z tymi, często już prawie zapomnianymi, współtowarzyszami. Chcę ich wszystkich uchronić przed zniknięciem, inaczej miałbym uczucie, jakby ich nigdy nie było.

I tak zaczynam przerabiać i uzupełniać swoją powieść. Niekiedy obawiam się wprawdzie, że wypadnie zbyt mrocznie, i wiem także, że będzie bardzo trudno ocenić wszystkich właściwie, a zwłaszcza ją. Moim zamiarem jest przecież uczynić z niej nieśmiertelną postać z powieści.

Gdybym jednak nawet nigdy tej opowieści nie skończył, nie zaprzestanę już pisania.

Zrozumiałem, że tylko pisząc, mogę być jednocześnie nimi wszystkimi. Wszystkimi, którzy się pojawiają.

Ten mały chłopiec, który boi się wszystkiego, to ja. Jestem jak dziecko, które z szaleńczą odwagą zjeżdża na rowerze ze wzgórze, łamie sobie rękę i mimo to nie zaprzestaje tych wyczynów. Jestem outsiderem, który po śmierci rodziców wycofuje się z życia i zanurza w świat marzeń. I tym cieszącym się powodzeniem u dziewcząt, pełnym temperamentu uczniem, którego rodzice jeszcze żyją. Jestem nastolatkiem, który nie ma odwagi wyznać miłości i ucieka w samotność. Wesołym, pewnym siebie studentem, który bierze życie za rogi. Tym zdezorientowanym facetem, który przerwał studia i pracuje w wydawnictwie muzycznym w Berlinie. Człowiekiem, któremu nie trafiła się ta praca, więc wyjeżdża za granicę, gdzie dotąd mieszka. Fotografem, który chciał koniecznie odnieść sukces, co też mu się udaje. Pisarzem, który zdążył pojednać się z ojcem i dzięki temu nie musiał odbywać pokuty jako fotograf. Nie miałem żadnych szans u Alvy, bo jej siostra nie zniknęła, a ona w związku z tym wcale mnie nie potrzebowała. Alva nie miała żadnych szans u mnie, ponieważ po szkole wiodło mi się znakomicie i o niej zapomniałem. Znalazłem kobietę mojego życia i zbyt wcześnie ją straciłem.

Udało mi się zatrzymać ją przy sobie w młodości i wykorzystaliśmy nasz czas. Nigdy już do niej nie wróciłem, lecz zostałem z Norah, mamy syna. I dorastałem w Montpellier i byłem żonaty, ale bezdzietny. Alvy nigdy nie poznałem.

Wszystko było możliwe, a to, że z tysiąca wariantów urzeczywistnił się właśnie ten, długo wydawało mi się czystym przypadkiem. Jako młody człowiek miałem poczucie, że od śmierci rodziców prowadzę inne, fałszywe życie. Zadawałem sobie pytanie, jeszcze częściej niż moje rodzeństwo, w jakim stopniu ukształtowały mnie wydarzenia z dzieciństwa i młodości.

Dopiero później pojąłem, że w rzeczywistości to ja sam jestem architektem własnej egzystencji.

To ja pozwalam, aby przeszłość na mnie wpływała, i to również ja jej się sprzeciwiam.

Wystarczy, że pomyślę o chwilach spędzonych z Alwą i dziećmi, aby zrozumieć jedno: to inne życie, w którym pozostawiłem już tak wyraźne ślady, nie może być fałszywe.

Ponieważ jest moje.

*

Tak jak dawniej Marty czyta nam przy śniadaniu interesujące artykuły z gazety.

Sprawiliśmy sobie nawet stół bilardowy do piwnicy.

– Czy to nie zabawne, że my dwaj zostaliśmy przyjaciółmi? – zapytałem go, kiedy nocą graliśmy partyjkę. – Jako dziecko byłem przekonany, że cię nienawidzę.

Zamiast odpowiedzi Marty posłał zieloną bilę do kieszeni, poklepał mnie po plecach i opowiedział, pozornie niewzruszony, o pewnym wyjątkowo uzdolnionym studencie. Ale

widziałem po nim, że był zmieszany.

– A tak między nami, przyznaj: kiedy ciągnęli mnie pod prysznic, naprawdę nic nie słyszałeś?

– Kiedy to niby miało być?

– W internacie. Darłem się tuż pod twoimi drzwiami. Słyszałeś mnie czy nie?

Marty wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam.

Roześmiałem się.

– Ty gnojku. Oczywiście że pamiętasz.

Przez jego twarz przemyka uśmiech poczucia winy, po czym Marty eleganckim odbiciem od bandy kieruje kolejną bilę do kieszeni.

– Nie popisuj się tak – powiedziałem.

Siedzimy we dwóch w kuchni, mój brat robi kanapki z kurczakiem, sałatą i majonezem, to jego specjalność. Podał mi talerze, postawił garnek z mlekiem na kuchence.

– Co to będzie, zrobisz mi jeszcze do tego kakao?

Uśmiecha się lekko. Z talerzami w rękach siadamy przed telewizorem.

– Muszę przyznać, że sandwich pierwsza klasa. – Opieram się wygodnie i wgryzam w kanapkę, w telewizji leci czarno-biały film, Charles Foster Kane wchodzi do zapyziałej redakcji „New York Inquirer” i wywraca cały interes do góry nogami.

– Jules, pamiętasz jeszcze, jak leżeliśmy w waszej starej sypialni? Dowiedziałeś się właśnie, że Alva z tego nie wyjdzie. Chciałem powiedzieć ci coś na pocieszenie, ale nic mi nie przyszło do głowy.

Kiwam głową, nie zapomniałem.

– Bardzo mnie to wtedy rozzłościło – mówi Marty. – Jestem twoim starszym bratem, wprawdzie w naszym wieku nie znaczy to już wiele, ale jednak. Przez ostatnie tygodnie często zastanawiałem się, co mógłbym ci wtedy powiedzieć. A jak byliśmy na tej wystawie z okrętami, coś przyszło mi do głowy. Porównanie, może niezbyt mądre.

Wypiłem łyk kakao.

– Dawaj.

– To znaczy... Od urodzenia jesteśmy na „Titanicu”. – Marty potrząsnął głową, nie czuje się zbyt dobrze podczas takich przemów. – Chcę powiedzieć: toniemy, nie przeżyjemy, to już nieodwołalne. Nic nie jest w stanie tego zmienić. Ale możemy wybierać: czy biegać w kółko, krzycząc w panice, czy też, jak ci muzycy, dzielnie i z godnością grać dalej, mimo że statek tonie. Tak jak... – Jego spojrzenie wędruje w dół. – Tak jak Alva. – Mój brat chce coś jeszcze dodać, ale znowu potrząsa tylko głową. – Przepraszam, po prostu nie jestem dobry w czymś takim.

*

Bardzo powoli wrastam w śmierć Alvy. Zapisalem się na uniwersytet i słucham wykładów na wydziale filozofii i anglistyce, nocami chodzę na długie spacery, moją nową towarzyszką jest bezsenność, włączę się więc nierzadko po naszej dzielnicy. Moje wyprawy zwykle kończą się w pewnej kafejce, jednej z niewielu otwartych jeszcze o tej porze. Ma stylowy i subtelny wystrój, na pianinie improwizuje starszy pan.

– A, wielbiciel Gershwin – mówi, kiedy mnie zauważa, jako że ostatnim razem zapytałem go, czy nie mógłby zagrać czegoś George’a Gershwin.

Kiwam głową w jego kierunku, przyglądam się niewielu gościom, którzy przychodzą tu noc

w noc, i zadaję sobie pytanie, dlaczego są w tej kawiarni, a nie u siebie w domu. Każdy z nich ma swoją historię, swój powód, a ja zamierzam odgadnąć go w panującej tu ciszy.

Nie odwiedzam regularnie Eleny w jej gabinecie, zamiast tego chodzimy od czasu do czasu na spacer po Englischer Garten.

– Jak często o niej myślisz? – pyta mnie pewnego dnia.

– Często – mówię od razu. Potem zastanawiam się. – Ale już nie tak często jak przed kilkoma miesiącami. Są chwile, w których o niej zapominam, i wtedy czuję się źle.

– Niepotrzebnie. Ważne, żebyś zaczął teraz patrzeć do przodu. Vincent i Luise będą cię potrzebować w kolejnych latach. Będą mieli przyjaciół, wejdą w wiek dojrzewania, zakochają się, będą mieli problemy i przyda im się twoja pomoc. To wszystko przed tobą. I świetnie sobie poradzisz.

Kiedy Elena w ten właśnie sposób rozmawia ze mną, uświadamiam sobie, że jak zwykle ma rację. Przeszłość blaknie z każdą chwilą, ale i przyszłość jest jeszcze odległa. Potrafię myśleć jedynie o tym, co tu i teraz, o dzieciach, o ich problemach w szkole albo o obowiązku wychowania tej dwójki. Ich potrzeby piętrzą się przede mną tak wysoko, że z trudem rozpoznaję, czy jest coś jeszcze poza nimi, na przykład moja starość. To w pewnym sensie uspokajające.

Zatrzymuję się i chwytam Elenę za rękę.

– Nigdy ci chyba nie mówiłem, jak bardzo się cieszę, że cię mamy. Nie wiem, jak ci za to wszystko dziękować. Uratowałaś Marty’ego, moje dzieci cię kochają...

Elena także przystaje i odgarnia sobie ciemny lok z czoła.

– Kiedy dowiedziałam się, że nie mogę mieć dzieci, coś we mnie pękło. Oczywiście zaakceptowałam to, ale byłam przekonana, że już na zawsze będzie mi czegoś brakowało. Czulałam niekończący się głuchy żal. Ty i twoje dzieci sprawiliście, że to uczucie powoli znika.

Wygląda to jak oficjalna wymiana, stwierdzam rozbawiony, jakbyśmy przekazali sobie wzajemnie jakieś ważne dokumenty. Raz jeszcze kiwam potakująco głową, a potem idziemy dalej. Czuję się znacznie lepiej.

*

Boże Narodzenie spędzamy w Monachium, oprócz Liz i Toniego przyjeżdża również ojciec Alvy. Na widok wnuków ożywa. Razem z nimi ubiera choinkę i opowiada pogodnie o fascynującej wyprawie wspinaczkowej na Mont Blanc, jednak krótko potem widzę, jak siedzi zatopiony w myślach na kanapie. Zamierzam do niego podejść, ale uprzedza mnie Elena i zaczyna z nim rozmowę.

Oświadczam uroczyście, że będę gotował dla wszystkich, a dzieci mogą mi towarzyszyć.

Vincent szybko się nudzi i wybiega z kuchni, za to Luise przygląda mi się z zainteresowaniem.

– Co robisz?

– Przygotowuję indyka. To będzie nadzienie.

– A co tam wkładasz do środka?

– Daktyle, paprykę, cebulę, trochę szałwii i pieprzu... Chcesz spróbować?

Pokazuję jej, jak to robić, a ponieważ sprawia jej to przyjemność, uczę ją jeszcze paru innych rzeczy. Spędzamy w kuchni pół dnia, pomaga mi przyrządzić sos ziołowy, zapiekankę ziemniaczaną, a potem także „ciasto, któremu nie można się oprzeć”. Obserwuję ją i wpadam w sentymentalny nastrój, ale ona tego nie dostrzega, pędzi do lodówki, wraca i skupiona roztapia czekoladę w garnku. Przypominam sobie, jak dawniej piekła to ciasto matka, i znowu myślę:

wszystko powraca.

Obrazy przeszłości nie wracają do mnie już tak często, ale kiedy to się zdarza, jestem za każdym razem zaskoczony, jak bardzo światło wspomnień ożywia niektóre chwile. Zwykły wieczór w internacie staje się z perspektywy czasu cudownym przeżyciem. Widzę siebie siedzącego wśród kolegów ze szkoły, pijemy coś, żartujemy, wyobrażamy sobie przyszłość.

Moja pamięć przybliżyła mnie do nich bardziej, niż było to w rzeczywistości, z czułością umieszcza mnie w samym centrum wydarzeń. Nagle śmieję się beztrudnie razem z kolegami, a przecież wiem, że zdarzały się także zupełnie inne chwile. Mimo to mam poczucie, że byłem wtedy zadowolony. Pamięć to cierpliwy ogrodnik, a malutkie ziarenko, które umieściłem w swojej głowie tamtego wieczoru, wyrosło przez lata na wspaniałe wspomnienie.

Przed rozdaniem prezentów śpiewamy kolędy, dorośli z autoironicznymi spojrzeniami, dzieci pełne ufności i radosne, a po kolacji, kiedy błogo nasyceni siedzimy przy stole, Toni pokazuje nam kilka sztuczek karcianych. Przemienia karty w banknoty, bierze widelec ze stołu – mój – i pociera nim, aż daje się zawiązać na supeł jak sznurek. Nie ochłonęliśmy jeszcze ze zdziwienia, a Toni już spogląda na swój lewy but, którego sznurówka się rozwiązała. Potrząsa niedbale stopą, a sznurówka sama się zawiązuje jak pod wpływem niewidzialnej siły, nawet z podwójną kokardką.

– Ty wariacie – woła Marty. – Natychmiast powiedz, jak to zrobiłeś.

Wysyłamy dzieci do łóżek. Żegna się również ojciec Alvy. Krótko, ale czule ściska wnuki, potem odprowadzam go do drzwi.

– Dziękuję za zaproszenie – mówi i kieruje się do swojego samochodu.

– Nie jestem pewien, czy wiesz, ale kiedy Alva była dzieckiem, uwielbiała jeździć z tobą na łyżwach na zamarzniętej sadzawce.

Zatrzymuje się.

Mówię dalej, z zakłopotania spuszczam głowę.

– I za każdym razem, kiedy odwiedzałeś nas w ostatnich latach, cieszyła się na twoją wizytę już kilka godzin wcześniej. Alva rozumiała twój ból, wiedziała, dlaczego tak rzadko u nas bywałaś i dlaczego nie mogłeś przyjść do szpitala. Ona zawsze wszystko rozumiała i kochała cię, wiem o tym...

Poczułem rękę ojca Alvy na ramieniu i spojrzałem na niego zdumiony. Po raz pierwszy tego wieczoru patrzy mi prosto w oczy. Jego oczy są zielone, nie tak jasne jak córki, ale za to bardzo łagodne i melancholijne. Chciałby chyba coś powiedzieć, ale w końcu tylko kiwa mi głową.

Odjechał, a mój wzrok pada na włoską komodę w przedpokoju, pochodzącą z mojego dawnego mieszkania. Alva bardzo lubiła siedzieć na tej komodzie, jak dziwne zwierzę, z przysuniętymi do siebie stopami, zaczytana, zatopiona w myślach, słuchająca muzyki albo pogrążona w dyskusji ze mną. I mimo że były to bardzo piękne święta, nagle wszystko się we mnie zapada, a oczy zachodzą mi mgłą. Przygryzam wargi i przypominam sobie oddział, na którym Alva spędziła swoje ostatnie dni. Tak bardzo mi jej brakuje, że zamiast wrócić do rodziny, wychodzę na werandę i patrzę w noc. Błyszczący szron na konarach i gałęziach drzew, kamienna posadzka pokryta delikatną krystaliczną powłoką. Jest zimno, ale nie przeszkadza mi to.

Po chwili podchodzi do mnie Liz. Wkłada mi w dłoń czerwoną kopertę.

– Jeszcze jeden prezent dla ciebie. Niech ci przyniesie więcej szczęścia niż mnie.

W kopercie znajduję białą cegielkę z drewna, jakiej używa się do gry w „Barykadę”.

Wzruszony obejmuję siostrę ramieniem.

– Nie myśl sobie, że tylko ty widzisz. – Liz oparła się o mnie. – Ciebie także widzą. Myślę często, o czym tak rozmyśla mój Jules i jak się czuje.

Spoglądamy na usiane gwiazdami niebo. Widok ten budzi we mnie głęboką ufność, po raz pierwszy odczuwam obojętność wszechświata jako coś pocieszającego.

Liz patrzy na mnie z boku, kąciki ust ma uniesione w uśmiechu.

– Coś się stało? – pytam.

Nie otrzymuję żadnej odpowiedzi.

– No powiedz, co jest?

Ale ona po prostu wraca do środka.

Później, kiedy wszyscy już śpią, a ja wybieram się właśnie na swój nocny spacer do kawiarni, widzę Liz siedzącą w piżamie na kanapie w salonie, z gitarą na kolanach. Nie zauważa mnie i improwizuje coś zamyślona, po czym gra melodię, którą znam od wczesnego dzieciństwa.

Początkowo nie mogę sobie przypomnieć, co to jest, ale kiedy słyszę Liz śpiewającą tę piosenkę, już wiem.

*

To pasowało do Liz, że przez kilka tygodni ukrywała swoją ciążę. Ja i Marty żartujemy sobie, że będzie najstarszą matką na świecie, ale ona twierdzi, że potrzebowała na to właśnie tyle czasu.

Toni jest oczywiście zachwycony, problem jedynie w tym, że Liz przestała z nim sypiać.

– *Mission accomplished* – mówi swoim wiedeńskim dialektem. – I chyba z nami koniec.

Nie myślałem tylko, że tak mnie to weźmie.

– Tak, to rzeczywiście bardzo dziwne.

– Kpij sobie, kpij. Jestem przekonany, że wróci do mnie, kiedy dziecko się urodzi. Może będzie chciała potem mieć jeszcze jedno i wtedy je wyczarujemy.

– Miałyby już czterdzieści sześć lat.

– Nieważne. Zegary tykają różnie.

Badanie wód płodowych wykazało, że wszystko jest w porządku. To będzie dziewczynka.

Cieszy się zwłaszcza Luise i zamierza później „uczyć” czegoś swoją kuzynkę, ale nie chce powiedzieć czego. Wydaje się, jakby do pewnego stopnia oswoiła już śmierć matki. Co tydzień chodzi na kurs akrobatyki (i popisując się, robi gwiazdę także w domu), często przyprawia przyjaciółki na obiad, a jej wychowawczynie zapewnia mnie, że Luise to wesołe, lubiane dziecko.

Vincent natomiast nadal ma problemy. Jego stopnie znacznie się pogorszyły, prawie nie mówi, inne dzieci zaczynają go unikać. Ma tylko dwóch, podobnie jak on zamkniętych w sobie, kolegów, u których spędza popołudnia na grach wideo. Wiem, że muszę coś przedsięwziąć, aby nie był tak samo wyalienowany i bojaźliwy, jak jego ojciec w młodości.

Chłopak jest przynajmniej wytrwały. Chodzę na wszystkie jego mecze piłkarskie.

Zazwyczaj siedzi na ławce rezerwowych i jest włączany do gry dopiero pod koniec meczu. Inne dzieci wydają się większe, silniejsze, bardziej zmotywowane, a on często stoi zamyślony na boisku, co doprowadza trenera do białej gorączki. Trener ustawia Vincenta na pozycji obrońcy, co stanowczo mu nie leży, jako że jest zbyt szczupły i lekki – atakujący drużyny przeciwnej z łatwością go odpychają.

Pewnego brzydkiego, deszczowego dnia u schyłku marca Vincent jak zwykle wchodzi do gry pod sam koniec meczu. Ale zamiast zostać z tyłu, ciągle idzie do ataku. Trener krzyczy zza linii, żeby wracał, ale mój syn trzyma się z przodu. Tuż przed końcowym gwizdkiem ktoś z jego

drużyny zagrał długą, wysoką piłkę. Wszyscy czterej obrońcy z drużyny przeciwnej mijają się z nią, i nagle Vincent znajduje się sam przed bramką. Strzela zbyt pospiesznie, piłka odbija się od bramkarza i wraca do Vincenta, on strzela raz jeszcze i tym razem piłka ląduje w siatce. Potem odwraca się, oczy ma wielkie jak spodki. To jego pierwsza bramka w życiu, sam nie może uwierzyć w to, co się właśnie stało. Inne dzieci podbiegają do niego, ściskają, trener chwali go z pewnym wahaniem, a on stoi nadal w tym samym miejscu i rozgląda się wokoło z niedowierzaniem. Później patrzy na mnie i nagle uśmiecha się swoim pięknym, wyjątkowym uśmiechem, z którego emanuje tajemniczość i wręcz mądrość.

Uśmiechem, którym może uratować wszystko.

Macham mu ręką, co jednak wydaje mu się nieco zawstydzające, więc już biegnie dalej, wycierając sobie nos koszulką.

*

Na Wielkanoc przyjeżdżają w odwiedziny Liz i Toni, zgodnie ze starą tradycją wybieramy się do Francji. Siedzimy już w samochodzie, wszystko jest spakowane. Tylko mój brat guzdra się jeszcze, jak zwykle jest ostatni. Przypominam sobie nagle, że nie wziąłem piłki do nogi. Wracam biegiem do domu i już na werandzie słyszę dobrze znany mi dźwięk.

Z drzwi wejściowych widzę, jak Marty, cały skoncentrowany, naciska klamkę, raz za razem i zawsze według tego samego schematu. Osiem razy szybko, osiem razy wolno, osiem razy szybko. Jest tym tak pochłonięty, że dostrzega mnie dopiero po dobrej chwili. Zawstydzony wzrusza ramionami.

– No tak, wszyscy mamy swoje małe sekrety.

Patrzmy po sobie w milczeniu.

– Tylko proszę, nie mów nic Elenie – odzywa się w końcu.

– Właściwie ile razy to robisz?

– W sumie sześćdziesiąt cztery. Osiem to moja szczęśliwa liczba, dlatego osiem razy osiem działa podwójnie. Wcześniej robiłem dwadzieścia trzy razy, ale nie działało. Teraz więc mnożę ósemki. Najpierw naciskam szybko, za szybkie szczęście, potem wolno, za nieustanne zadowolenie.

Nic nie mówię, tylko idę do domu po piłkę.

– Wiesz, że teraz muszę wszystko zaczynać od początku – wzdycha mój brat w drzwiach.

– Przepraszam.

– Co mam powiedzieć pozostałym, że gdzie jesteś?

– Wymyśl coś.

– Zdajesz sobie sprawę, że powinieneś porozmawiać o tym z Eleną?

Marty kręci głową i uśmiecha się do mnie bezradnie. Iskierka szaleństwa jako cena za normalność. Wracam sam do auta i odbijam piłkę o bruk. Słyszę, jak mój brat znowu naciska klamkę.

*

Silny blask wiosennego słońca pada na drzewa. Oczarowany kwitnącą przyrodą Langwedocji zabieram Vincenta i Luise na wycieczkę. Po drodze pytają, do kogo należał dom w Berdillac, dlaczego nie mówię prawie w ogóle po francusku, kto jest najlepszym piłkarzem na świecie, czy wujek Toni naprawdę posiada magiczną siłę i czy był w Hogwarcie, jak twierdzi.

Odpowiadam cierpliwie, przepełniony szczęściem posiadania ich obok siebie.

Dochodzimy do wzgórza.

– Kto pierwszy na górze! – woła Luise i rusza biegiem.

Vincent pędzi za nią, ja w pewnym odstępnie za nimi. Przez chwilę wygląda na to, że po długiej pogoni zostanie zwycięzcą, oboje piszczą, kiedy ich wyprzedzam, aż tuż przed metą puszczam ich przed sobą.

Dyszząc i śmiejąc się, stoimy na wierzchołku wzgórza. Pod nami dolina. Mijając sosnę, pod którą stoi mała ławka widokowa, dzieciaki reagują podobnie jak swojego czasu moje rodzeństwo i ja.

– Tutaj ktoś odrąbał gałąź. – Vincent podąża za moim wzrokiem i wskazuje na puste, zgrubiałe miejsce na drzewie.

– Wiem – mówię. – Podejrzewam, że to twój dziadek własnoręcznie ją odpiłował. – Nie chciałem opowiadać dzieciom bajeczki, którą sam usłyszałem od ojca.

– Twój tata ją odciął? – dopytuje się Luise. – Ale dlaczego?

Wzruszam ramionami, ale jednocześnie czuję lekki dreszcz.

Luise przesuwając dłonią po słowach wrytych w drzewie. *L'arbre d'Eric*. Wypisane nożem na korze przez mojego ojca przed ponad pięćdziesięciu laty.

*

Dwa tygodnie w Berdillac upływają szybko. Często myślę o tym, jak Liz, Marty i ja straciliśmy się z oczu po okresie dzieciństwa. Jak bardzo wcześnie zostaliśmy zmuszeni do konfrontacji ze skończonością życia i jak inaczej każde z nas na to zareagowało. Moja siostra, która łączywie kosztowała życia, brat, który bojaźliwe czuwał nad własnym. Jednak po tych wszystkich latach, podczas których każde z nas szło własną drogą, siedzimy teraz razem przy śniadaniu. Miejsca przy stole jest wręcz za mało, dzieciaki sobie dokuczają, Elena próbuje je uspokoić, głos Toniego rozbrzmiewa radośnie w całym domu, Marty szeleści gazetą i opowiada o jakimś artykule, Liz sprzecza się z nim, ktoś przewraca krzesło, słychać okrzyki, głosy nachodzą na siebie. Jestem jedyną osobą przy stole, która się nie odzywa, zamykam po prostu oczy i słucham: kocham te odgłosy. Samotność w nas możemy przezwyciężyć tylko wspólnie.

Ostatniego dnia robimy piknik na łące. Promienie słońca padają z bezchmurnego nieba, rozpalając trawy. Liz i Marty rozpościerają koc, husky obwąchuje podniecony przygotowane przez Elenę kanapki z szynką. Dzieci uciekają przed Tonim, który goni je z dzikim wrzaskiem i woła, że jest potworem z lasu, który zaraz je złapie i zje.

Liz, już w zaawansowanej ciąży, wzdycha.

– On jest taki dziecinny. – Jednak delikatny uśmiech zakrada się na jej twarz.

Obserwuję swojego syna, który z poważnym spojrzeniem ucieka przed Tonim i, jak zawsze, dobrze ukrywa swoje rozbawienie. I córkę, która wydaje z siebie piskliwe odgłosy. Rano mieliśmy dłuższą kłótnię, bo Luise po wakacjach powinna zacząć nosić aparat ortodontyczny.

Zbuntowana z płaczem pobiegła do swojego pokoju. W takich chwilach brakuje mi Alvy i zadaję sobie pytanie, jak ona zareagowałaby w podobnej sytuacji. Zastanawiam się też, czy rzeczywiście tak bardzo różnią się od swojego ojca.

Luise dawno już zapomniała o porannej kłótni, chowa się za moimi plecami i woła, żebym bronił jej przed potworem z lasu.

Toni podchodzi do nas i celuje we mnie palcem.

– Zjeżdżaj – warczy niskim, zmienionym głosem.

– Spadaj, ty głupku – mówię w odpowiedzi.

Z tyłu słyszę śmiech córki.

Toni podchodzi bliżej.

– Jeszcze jedna taka odzywka i jesteś martwy.

Szykuję się do odpowiedzi, kiedy zauważam Vincenta skradającego się skrajem lasu.

Mamrocze, że zaraz wrócę, i idę do niego.

– Ale pospiesz się – mówi Toni. – Chcemy zagrać w nogę.

Wbiegam między drzewa. Mój syn niezdecydowany napina gałąź i wypuszcza ją z rąk.

Kładę mu dłoń na ramieniu i wchodzimy głębiej w las. W końcu docieramy do kamienistej rzeki, przez którą przerzucony jest pień drzewa, a ja słyszę znowu ostrzeżenie ojca, że to jest zbyt niebezpieczne.

– Zobacz, jaki głęboki spadek – mówi Vincent.

– Ponad dwa metry.

– Myślisz, że ktoś kiedyś tędy przeszedł?

– Oczywiście.

– Nie wierzę.

– No więc, mój drogi, kiedy byłem w twoim wieku, często tędy przechodziłem. – Liczę w myślach i śmieję się. – To było trzydzieści cztery lata temu.

Przypomniałem sobie powiedzenie Wordswortha: „Dziecko to ojciec mężczyzny”. Patrząc Vincentowi w wypełnione bojażnią oczy i moja decyzja jest jasna. Kiedy on próbuje mnie jeszcze powstrzymać, wchodzę na pień. Vincent woła, żebym tego nie robił, ale ja już stawiam kolejne kroki. Pień chwieje się, mam zawroty głowy i czuję, jak strach zbija się w moich piersiach w jedną bryłę. Przed wielu laty, podczas swojej pierwszej wizyty w Berdillac, Alva z rozpostartymi ramionami przebiegła po tym pniu. Także i dla niej muszę teraz przejść na drugą stronę.

Jestem mniej więcej w połowie drogi, gdy Vincent orientuje się, że zatrzymywanie mnie nie ma żadnego sensu, i od tej chwili zaczyna mnie dopingować. Spoglądam w dół, na wielkie, oszlifowane przez wodę kamienie wystające z rzeki, i wyobrażam sobie kolejny pobyt w szpitalu.

Jednak wszystko idzie dobrze. Docieram do celu i widzę swojego syna po drugiej stronie.

Vincent znowu ma duże, pełne niedowierzania oczy i chyba na moment zaniemówił. Powrót jest trudniejszy, znów idę powoli po śliskim pniu, raz o mało się nie zsuwam. Ale wiem, że nie ma odwrotu, to chwila zasiewu. Tę scenę zasieję w moim synu, a ziarno za parę lat, taką mam nadzieję, wszędzie i mój syn pozbędzie się na zawsze części swojego strachu.

*

Kiedy doszedłem ponownie na drugą stronę, obsuwam się jednak i padam na ziemię, brudzę sobie przy tym koszulę. Vincent patrzy na mnie wystraszony, ale ja zrywam się z pewnym siebie uśmiechem.

– Nic się nie stało. – Wskazuję na pień. – Widzisz, to wcale nie było takie trudne

– mówię, ale serce wali mi jak szalone.

Muszę odsapnąć, odpocząć po tym ryzykanckim wyczynie.

Vincent już biegnie z powrotem do pozostałych, którzy wołają nas z łąki, bo chcą wreszcie zagrać w piłkę.

– Grasz z nami? – pyta jeszcze.

– Zaraz.

Stoję w cieniu drzew na skraju lasu i przez chwilę przyglądam się wszystkim. Toni stoi na bramce zrobionej z dwóch swetrów. Moja córka posyła piłkę w jego kierunku, potem przejmuje

ją Vincent. Zagrywa elegancko z klepki do Marty'ego, zręcznie omija Elenę i strzela – piłka odbija się od goleni Toniego. Liz stroi gitarę i tylko obserwuje grę, także pies mojego brata siedzi z boku. Od czasu do czasu melduje się krótkim szczeknięciem, ale nie rusza się z miejsca.

Dawniej z pewnością pobiegłby za piłką, ale już się postarzał i zrobił się spokojniejszy. Jeżeli będzie miał szczęście, to czekają go jeszcze jedno lub dwa gorące lata. Będzie miał spełnione życie, w przeciwieństwie do innego psa, który przed wielu laty utonął w pobliskiej rzece. Rzeczy przychodzą i odchodzą, długo nie mogłem tego zaakceptować, a teraz nagle udaje mi się to z łatwością.

Dzieci w końcu mnie dostrzegają, wołają, czy wreszcie jestem gotowy z nimi zagrać.

Wychodzę z lasu.

– Tak – odkrzykuję i otrzepuję nieco brudu ze swojej koszuli. – Jestem gotowy.

Podziękowania

Jeśli chodzi o tę książkę, chciałbym przede wszystkim podziękować swoim rodzicom.

Ojcu za humor i wszystkie cudowne, inspirujące rozmowy. Matce za wytrwałość w trudnych okresach oraz wiarę we mnie.

Bardzo wspierała mnie także Ursula Baumhauer. Jakie to szczęście mieć ją za redaktorkę!

Podziękować chcę także Thomasowi Hölzlowi, Annie Galizii oraz Georgowi Grimmowi, jak również Rogerowi Eberhardowi, Tanji Graf, Clarze Jung, Danielowi Kampie, Ronaldowi Rengowi, Muriel Siegwart, Veronice Vilgis, Danielowi Wichmannowi, Anne Wiebung, Friederowi Wittichowi i Klausowi Cäsarowi Zehrerowi.

Philipp Keel dał mi na tę książkę tyle czasu, ile potrzebowałem. Jego zaufanie oraz wielkie zaangażowanie znaczą dla mnie bardzo wiele. Głośno *muchas gracias!* także dla innych pracowników Diogenesa, a zwłaszcza dla Maria Schmukiego oraz Ruth Geiger, która zawsze mnie wspierała.

We wdzięcznym wspomnieniu mam Daniela Keela, który ściągnął mnie do swojego wydawnictwa i tym samym stał się jedną z najważniejszych osób w moim życiu. Tyle pięknych chwil przeżyłem od tego czasu. Nigdy tego nie zapomnę.

[1] R.M. Rilke, *Schlussstück*, w: *Buch der Bilder*, przeł. Janusz Szpotański (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] MDMA – ecstazy, downer – środek uspokajający.

[3] *Hunde, wollt ihr ewig leben?* – słowa rzekomo wypowiedziane przez Fryderyka II do żołnierzy, także tytuł filmu niemieckiego z 1959 roku.

[4] *Mainzelmännchen* – reklamowe figurki drugiego programu telewizji niemieckiej ZDF.

[5] Artists and Repertoire (ang.).

[6] J. Kerouac, *W drodze*, przeł. Anna Kołyszko, PiW, Warszawa 1993.

[7] S. Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie. Choroba na śmierć*, przeł. Jarosław Iwaszkiewicz, PWN, Warszawa 1972, str. 210–211.

[8] R.M. Rilke, *Schlußstück*, w: *Buch der Bilder*, przeł. Janusz Szpotański.